



ANN EVANS

*Dom moich marzeń*

Tytuł oryginalny:

*Home to Stay*

## PROLOG

Riley Kincaid ponuro patrzył w zamglone łazienkowe lustro.

- No więc, na co właściwie czekasz? - powiedział głośno. -  
Podnieś słuchawkę i zadzwoń do niej.

Przesunął brzytwą po pokrytych pianą policzkach. Musisz to zrobić. Abby jest ich córką, a Mac i Maggie potrzebują jej pomocy.

Pokręcił głową, jakby sam sobie chciał zaprzeczyć. Atak serca Maca nie należał do zbyt poważnych. Właściwie to nie był nawet atak, a jedynie coś, co według doktora Siedella mogło ten atak dopiero zapowiadać.

Ostrzeżenie, że powinien trochę zmienić swoje życie. No więc dobrze, ten uparty stary osioł wcale nie ma zamiaru się do tego zastosować, doprowadzając tym swoją żonę do szału. Ale czy to znaczy, że trzeba znaleźć kogoś, kto go przekona?

I czy tym kimś ma być właśnie Abby? Może gdyby on sam porozmawiał z doktorem Siedellem...

Boston należy do tej samej strefy czasowej. Abby prawdopodobnie szykuje się właśnie do pracy. Piętnaście minut i będziesz miał to z głowy. Dzień dobry, do widzenia, Abby. Porozmawiamy znowu za jakieś dziesięć lat.

Łatwe.

Riley wykrzywił się do lustra i mruknął:

- Podły kłamca. Od kiedy to z Abby MacAllister cokolwiek może wydawać się łatwe?

Nie zapomniał, jakie niegdyś potrafiło być życie z Abby. Ekscytujące. Zmysłowe. Prowokujące. Zwłaszcza prowokujące, ale z pewnością nigdy łatwe. Miał to już jednak za sobą. Dziesięć

lat zrobiło swoje i teraz nie miał ochoty wracać do tej zamierzchłej historii. Poza tym czyta przecież gazety. Abby jest ulubienicą bostońskich sal sądowych i przyparłaby go do muru w parę sekund, a jemu wcale się to nie uśmiecha. Nie teraz, kiedy próbuje stanąć na nogi i kiedy odbudowa i uroczyste otwarcie przystani wymagają ogromnego nakładu pracy.

Nachmurzył się.

- Ale czy tu chodzi o ciebie, Kincaid? - zwrócił się do swojego odbicia w lustrze.

Z pewnością nie. Chodzi o jego bliskich przyjaciół, o dwoje ludzi, którzy kiedyś mieli stać się jego rodziną i którzy teraz potrzebują pomocy. Telefon od ich córki, znanej prawniczki z wielkiego miasta, może przekonać starego Maca MacAllistera, by zastosował się do rad lekarza, i udzielić Maggie wsparcia w jej usiłowaniach wyciągnięcia męża z psychicznego dołka.

Ale może Abby nie zechce ograniczyć się jedynie do rozmowy telefonicznej? Może znajdzie trochę czasu, wsiądzie w najbliższy samolot i zjawi się tu już jutro? I co wtedy zrobisz, Kincaid?

Pokręcił głową i niecierpliwym ruchem ręki zgarnął z policzków resztę kremu do golenia i strząsnął go do umywalki. Nie ma się czego obawiać. Ona na pewno nie przyjedzie. Jest zbyt zajęta wyrabianiem sobie nazwiska w kolejnych wielkich procesach. Nie cierpi małego, nudnego Fort Myers na Florydzie i rzadko odwiedza rodzinny dom. Przyczyny, które spowodowały zerwanie ich związku przed dziesięciu laty, są chyba wciąż aktualne.

- A więc przestań się zachowywać jak tchórz - gniewnie rzucił w stronę lustra. - Ona nie przyjedzie. - I jakby te słowa miały być jakimś zaklęciem, które go przed Abby obroni, odetchnął głęboko i podeszedł do telefonu.

Jak na ironię nie mógł jej złapać. Telefon do firmy prawniczej, w której była zatrudniona, niczego nie wyjaśnił. Sekretarka nie kryła zdumienia, że spodziewał się zastać panią MacAllister w biurze. Czyżby nie czytał prasy? Nagłówki we wszystkich gazetach donosiły, że proces, w którym uczestniczyła od sześciu miesięcy, zakończył się jej wielkim sukcesem, jednak pozostało jeszcze trochę formalności, których pani mecenas musi osobiście dopilnować. Sekretarka zaproponowała, by zostawił swoje nazwisko albo wiadomość. Rileyowi nie spodobał się jej nazbyt arbitralny sposób bycia.

Tego samego dnia w informacji telefonicznej w Bostonie uzyskał domowy numer Abby.

Nie ma żadnego powodu, aby przypuszczać, że ta rozmowa będzie jak ta ostatnia, pełna złości i wzajemnych oskarżeń. Tyle wody upłynęło od tamtej pory i obydwójce stali się ludźmi w pełni dojrzałymi. Wiele się w ich życiu zmieniło. Za sobą zostawili miłość i cierpienie. Po tylu latach żal i pretensje nie mają już żadnego sensu.

Oto dlaczego taka rozmowa telefoniczna wcale nie musi być trudna, uznał. Postara się po prostu, aby była krótka, konkretna i pozbawiona akcentów osobistych.

Poszedł do kuchni, wziął do ręki butelkę piwa i wystukał numer na słuchawce bezprzewodowego telefonu. Tym razem nie było nawet czasu, aby się rozmyślić. Natychmiast po pierwszym dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

Tym kimś była Abby.

Jej głos zdawał się pokonywać dystans dziesięciu lat, ale nie było w nim sympatycznego: „Halo?”, a jedynie pełne zniecierpliwienia i rzeczowe: „Znalazłeś”?

- Nawet nie wiedziałem, że coś zginęło - odrzekł bezwiednie Riley.

W słuchawce nagle zapanowała cisza. Czuł, jak bardzo była zakłopotana.

- Kto mówi? - zapytała wreszcie nieco mniej poirytowanym głosem.

- Tu Riley, Abby.

- Riley? - powtórzyła z niedowierzaniem.

Przypomniawszy sobie, jak wyglądała, kiedy coś ją zaskoczyło. Drobnutka fałdka marszcząca prawą brew tuż nad ogromnymi, chabrowymi oczami, sposób, w jaki wysuwała koniuszek języka, by najpierw dotknąć nim warg, a potem przesunąć wzdłuż zębów.

Prawnik nie może sobie na to pozwolić. Musi wyglądać na człowieka, którego nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Abby z pewnością musiała wiele nad sobą pracować, żeby usunąć ten dawny nawyk. W ciągu minionych lat od czasu do czasu widywał jej zdjęcia w prasie i telewizyjne migawki pokazujące, jak opuszcza salę sądową podczas trwania słynnych na cały kraj procesów. Na jej twarzy nigdy nie widział nawet śladu tego, co naprawdę przeżywała. Szkoda. Bardzo mu było tego brak.

Wziął do ust łyk piwa i starając się, aby jego głos zabrzmiał obojętnie, powiedział:

- Chyba nie zapomniałaś mojego imienia? Gdzieś w pobliżu odezwał się drugi telefon.

- To moja druga linia - szybko wtrąciła Abby. - Spodziewam się bardzo ważnego telefonu. Czy możesz chwilę poczekać?

I zanim zdążył odpowiedzieć, położyła słuchawkę. Mój telefon nie jest dla niej tak ważny, pomyślał. Właściwie tego się

spodziewałem. Po paru sekundach, kiedy ponownie zjawiłem się w jej życiu, znowu mnie zostawiła dla spraw zawodowych. Wziął do ust kolejny łyk piwa i wsłuchując się w panującą w słuchawce martwą ciszę, wodził palcem po wzorze leżącego na stole obrusa.

Przerwa nie trwała dłużej niż pięć minut, ale jemu wydawało się, że minęły wieki. Zanim ponownie usłyszał głos Abby, skończył już drugą butelkę.

- Nie zapomniałam twojego imienia - oznajmiła, ponownie podnosząc słuchawkę. - Jestem po prostu zaskoczona, że dzwonicz do mnie... po tylu latach.

- Taaa, no cóż, gdyby w ubiegłym tygodniu ktoś mi powiedział, że to zrobię...

Jakiś męski głos wołał Abby, żeby wracała do salonu. Musiała zasłonić ręką membranę, ponieważ Riley nie słyszał jej odpowiedzi.

- Przepraszam - rzekła po chwili - ale dzisiaj mam taki zwariowany dzień.

- Co za kretyn ze mnie. Sądziłem, że jeśli zadzwonię do ciebie do domu, to będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Ale, jak widać, praca jest wciąż dla ciebie najważniejsza. Chyba nie zaprzeczysz?

Niezadowolony, że nie potrafił ukryć irytacji, cisnął ze złością pustą butelkę do kosza. Cholera! A miało być bez akcentów osobistych.

- Co za kretynka ze mnie! - zakpiła Abby. - Powinnam była przewidzieć, że właśnie dziś do mnie zadzwonisz. Po dziesięciu latach milczenia.

- Posłuchaj! - rzucił gniewnie. - Lepiej przejdźmy do rzeczy. Dzwonię w sprawie twojego taty.

- Mojego taty? Czy coś mu jest?
- Było, ale teraz nie ma już niebezpieczeństwa.

Zwięźle opowiedział jej o problemach Maca z sercem, zapewniając jednocześnie, że według lekarza są duże szanse, iż wyzdrowieje. Abby przez cały czas nie odezwała się ani słowem i nawet wtedy, gdy skończył mówić, przez dłuższy czas milczała.

- Abby? - zapytał z niepokojem. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Usiłuję coś z tego zrozumieć. Rozmawiałam z mamą i tatą jakieś dwa tygodnie temu i wszystko wydawało się w porządku.

- I znowu będzie - zapewnił ponownie. - Jeśli mam być szczerzy, to bardziej się boję o twoją matkę. Ona jest naprawdę u kresu wytrzymałości. Robi wszystko, żeby wpłynąć na ojca, on jest jednak straszliwie uparty i nie tylko nie chce przejść na dietę, ale również nie wykonuje zalecanych przez doktora Siedella ćwiczeń.

- Dlaczego mama mnie nie zawiadomiła?

- Jest tak samo uparta jak on, Abby. Gdyby chodziło o ratowanie ojca, z pewnością by zadzwoniła, ale gdy chodzi o nią... Pewnie uważa, że sama sobie jakoś poradzi, jednak moim zdaniem trzeba jej pomóc. Może porozmawiałabyś z ojcem? Zawsze potrafiłaś owinąć go sobie wokół małego palca, i to od pierwszej chwili, kiedy cię adoptowali.

- Czy wiedzą, że miałeś do mnie zadzwonić?
- Nie. Nie chcieliby, żebyś się o nich martwiła.

Znowu przez jakiś czas nie odzywała się, po czym, jakby pod wpływem impulsu, powiedziała cicho:

- Nawet nie wiesz, Riley, jak bardzo sobie cenię, że dla moich rodziców wciąż jesteś takim wspaniałym przyjacielem jak dawniej.

- Pomimo tego, co się między nami wydarzyło... - Urwał nagle, nie chcąc ponownie doprowadzić do sprzeczki. - Martwię się o twoją rodzinę, Abby.

- Wiem.

W jej głosie słychać było cień żalu za utraconymi latami.

I wtedy nieoczekiwanie Riley zrozumiał, że nie ma szans na pogrzebanie tego, co między nimi było w przeszłości. Nagle poczuł w nozdrzach jej zapach, serce zaczęło mu szybciej bić, a dłoń kurczowo zacisnęła się na blacie biurka. Przez jedną, krótką jak mgnienie oka chwilę, miał wrażenie, że czuje pod palcami chłód jej jedwabistej skóry, jak wtedy, gdy drżącymi rękami zdejmował z niej ubranie.

Z trudem przełknął ślinę.

- Zadzwoisz do matki? - zapytał w końcu.

- Zadzwoję - obiecała.

Odłożył słuchawkę, zanim Abby zdołała poczynić jeszcze większe szkody w murze, którym tak starannie się od niej odgrodził.



# 1

Mac MacAllister podniósł do góry pędzel i machnął nim w kierunku Riley'a Kincaida.

- I wiesz, co mu wtedy powiedziałem?

Riley przestał na chwilę przybijać deski pomostu i podniósł na niego wzrok.

- Aż się boję zapytać.

- Powiedziałem: Posłuchaj dobrze, młody człowieku, mam skarpetki, które są starsze od ciebie. Żaden więc smarkaty doktorek bez doświadczenia nie będzie mi mówił, co mam robić, co jeść i co pić. Żyję z tym ciałem od sześćdziesięciu sześciu lat i uważam, że sam najlepiej wiem, co dla niego jest najlepsze. I wiesz, co odpowiedział mi na to ten doktorek?

Riley, mając pełne usta gwoździ, jedynie pokręcił przecząco głową.

- Nic - triumfalnie oświadczył Mac. - Absolutnie nic.

Był kompletnie oszołomiony.

Riley wyjął gwoździe z ust i spojrzał na niego z ukosa.

- Mac, wiesz, że doktor Siedell jest młody, ale to przecież o niczym nie świadczy. Maggie mówi...

- Doskonale wiem, co Maggie mówi. - Mac machnął ręką z lekceważeniem i zanurzył pędzel w puszcze farby. - Wspaniały kardiolog. Absolwent Harvardu. Ale wiesz, co mój ojciec miał zwyczaj powtarzać? W każdej specjalności, żeby ktoś mógł się znaleźć na szczycie, ktoś inny musi być na dole. Dlaczego miałbym wierzyć temu smarkaczowi?

- Ponieważ każdy atak serca jest ostrzeżeniem, że najwyższy czas zmienić styl życia.

- To był jedynie przypadek, a nie żaden atak.

Riley pokręcił głową. Mac jest jak zawsze niepoprawny.

- No dobra, ale czy to takie bolesne zrezygnować z cygar i przejść na trochę zdrowszą dietę?

- Nudzisz zupełnie jak Maggie - prychnął ze złością Mac. - Przypuszczam, że mógłbym się obyć bez cygar, ale gdybym się zgodził, ona zaraz zafundowałaby mi bezsolną dietę. - Wstrząsnął się z obrzydzeniem. - Czy masz pojęcie, jak smakują ziemniaki bez soli?

Riley doskonale wiedział, co Mac ma na myśli. Spojrzał na swoje prawe udo, gdzie spod szortów wyglądała różowa pręga nowej skóry. Podczas tych wszystkich tygodni, kiedy leżał w szpitalu, do jedzenia nadawały się tylko te posiłki, które przemycili przyjaciele.

- O tak - uśmiechnął się szeroko. - Jak rozrobiona z wodą kreda.

- Właśnie - odrzekł Mac i oparł drewnianą tablicę na kolanach, by lepiej ocenić efekty swej pracy. - Maggie chce również, żebym trochę przyhamował, ale... - wskazał ręką na świeżo wymalowany szyld - czy to według ciebie ma być ciężka praca? Chcę ci pomóc doprowadzić to miejsce do porządku, a przy okazji zażyć trochę ruchu na powietrzu. Nie mogę przecież spędzić reszty życia w domu, czekając na śmierć. Nie uważasz?

Coś szczególnego było w tonie jego głosu, i Riley spojrział na niego badawczo. Mac prędzej by sobie odgryzł język, niż przyznał, że chce być komuś potrzebny, że od ubiegłego roku, gdy przeszedł na emeryturę, śmiertelnie się nudzi i że te trzy dni w tygodniu, kiedy pracuje na przystani, przywracają mu wiarę w siebie. W jego głosie wyczuwał również rozpaczliwy protest, który

mówił mu, iż były nauczyciel historii nie może się pogodzić ze starością i z nadmiarem wolnego czasu.

Riley wstał. Gwałtowny ruch spowodował ból w nodze, ale nie zwracając na to uwagi, ruszył w stronę przyjaciela. Po chwili zatrzymał się przed nim.

- Mac, nikt nie chce, żebyś zaszył się gdzieś w kącie i czekał na śmierć, ale Maggie martwi się o ciebie. Ja zresztą również. Doktor Siedell uważa, że powinieneś być w pewnym sensie dalej aktywny. Jeśli zadbamy o to, żeby twoja praca była lekka, a godziny, w których ją wykonujesz, nie- zbyt długie, on nie będzie miał nic przeciwko temu. Musisz jednak bardziej dbać o siebie. Jeśli nawet tobie na tym nie zależy, to pomyśl o Maggie. Ona jest jeszcze za młoda, żeby być wdową.

Mac spojrział na niego z ukosa i mruknął:

- Też coś! Poszłaby za pierwszym, który by na nią łyknął okiem.

Pomysł zdawał się tak absurdalny, że obydwaj wybuchnęli śmiechem.

- No dobra, co o tym myślisz? - zapytał Mac, odwracając świeżo pomalowany sztyl w stronę Riley'a.

Ten cofnął się parę kroków, by ocenić efekty pracy niedoszłego teścia. Zanim Mac zaczął mieć problemy z sercem, Maggie, emerytowana nauczycielka plastyki, zaproponowała, że zaprojektuje nowe godło dla zniszczonej przystani. Mimo upływu czasu jej artystyczna wyobraźnia nic nie straciła ze swojej świeżości. Mityczna postać egzotycznego ptaka wylaniała się z oryginalnie zaprojektowanego logo. Jedno z jego skrzydeł wplecione było w pierwszą literę nazwy firmy.

*Przystań Phoenix*

Świeża farba lśniła w słońcu i bajkowy ptak wyglądał zupełnie jak żywy. Logo prezentowało się wspaniale i niezwykle sugestywnie nawiązywało do katastrofy sprzed roku.

- Jest znakomite - przyznał Riley. - Maggie przeszła samą siebie...

Umilkł nagle, czując bolesny skurcz w żołądku. Na dole tablicy maleńkimi literami Mac wymalował napis: Riley Kincaid, właściciel/kierownik. Ostatni raz swoje nazwisko widział na szyldzie przystani na dzień przed wybuchem.

Niesamowite, jak doskonale to pamięta. Minał już prawie rok, a on wciąż czuł lekką bryzę wiejącą tamtego popołudnia od strony morza. Szedł wysypaną muszelkami alejką z żoną swego najlepszego przyjaciela, Huntera Garreta.

I wtedy właśnie nastąpił wybuch, który zniszczył łodzie, budynki, wiele lat jego życia. Kiedy w szpitalu odzyskał świadomość, ujrzał pochylone nad łóżkiem zatroskane twarze rodziców. Czuł, jak jego noga i klatka piersiowa płoną żywym ogniem, a w uszach słyszał uporczywe dzwonicie, które prześladowuje go do dziś. Lekarze powiedzieli mu, że w karetce przeszedł śmierć kliniczną i że to cud, iż mimo wszystko przeżył.

Wówczas nie zrobiło to na nim wrażenia. Za bardzo cierpiał, a utrata źródła utrzymania i świadomość, że miną długie miesiące żmudnej rehabilitacji, zanim odzyska władzę w prawej nodze, dopełniały reszty.

Dopiero niedawno zauważył, że robi postępy. Od kiedy trzy miesiące temu opuścił szpital, fizykoterapia, na którą uczęszczał dwa razy w tygodniu, zaczęła dawać rezultaty. Rzadko się już teraz budził zlany potem, nie mogąc złapać tchu po nocnym koszmarze, w którym rzeka ognia zalewała go niczym lawa po nagłej erupcji wulkanu.

Danny Osborne, uczeń szkoły średniej i jedyny pracownik Riley, który nie należał do jego rodziny ani do grupy bliskich przyjaciół, minął zbiornik z propanem, umieszczony w pobliżu doku i spojrzawszy na nowy szyld, zmarszczył brwi.

- Nie kapuję - powiedział. - To przecież Fort Myers, a nie Arizona. Dlaczego więc Phoenix?

Mac spojrzał na niego z dezaprobatą.

- Nazwa przystani nie ma nic wspólnego z miastem Phoenix, bałwanie. Wiąże się z legendą o pięknym ptaku, który odradza się z popiołów i zgliszcz, tak jak Riley po ubiegłorocznej katastrofie, kapujesz?

- To pewien symbol, Danny - wyjaśnił Riley. - Nowa przystań, nowa nazwa.

- Aha!

- Najwyraźniej nie uczą teraz takich rzeczy w szkole - zauważył Mac, kładąc szyld z powrotem na kolanach. Od kiedy w ubiegłym roku przeszedł na emeryturę, nigdy nie przepuścił okazji, by nie przypiąć łatki aktualnemu programowi nauczania. - Biedaku, ty pewnie nic nie wiesz nawet o „Odysei” czy Homerze...

- Simpsonie? - z niewinną miną wtrącił Danny.

Wyprowadzony z równowagi Mac wymamrotał coś pod nosem, a Riley z trudem ukrył uśmiech, widząc, jak kąciki ust chłopca leciutko zadrżały. Danny najwyraźniej był zachwycony, że dokuczył staremu, chociaż dla nikogo nie stanowiło tajemnicy, iż ich wzajemne stosunki opierają się na obopólnym szacunku i przyjaźni. Riley bardzo to cieszyło. Danny znakomicie wywiązywał się z obowiązków, lecz zanim na przystani pojawił się Mac, często bywał milczący i nieprzystępny.

- Posłuchaj tylko, niegodziwcze - odciął się starszy pan. - Za moich czasów nie do pomyslenia było, żeby wypuścić kogoś ze szkoły bez opanowania pewnych podstawowych wiadomości, jak chociażby...

- Co zrobić, żeby rozpałcić ogień przy pomocy dwóch patyków? - wtrącił Danny. - Czy też jak się bronić w razie ataku?

- Ty zarozumiały młokosie! Powiniennem dać ci w skórę, nawet jeśli masz już siedemnaście lat. I nie myśl, że nie mógłbym tego zrobić.

To oczywiście był blef i sądząc po wykrzywionej twarzy Danny'ego, chłopak doskonale o tym wiedział. W końcu Riley pozostawił przekomarzających się przyjaciół i powrócił do swej pracy na pomoście. Ich wzajemne docinki trwały jeszcze parę minut, po czym Danny zaproponował, że z pobliskiego baru przyniesie dla całej trójki lunch. Mężczyźni złożyli zamówienie, lecz gdy Mac poprosił o soczystego burgera, Riley i Danny zgodnie zaprotestowali, proponując mu sandwicza z kurczakiem.

Gdy tylko Danny się oddalił, Mac pokręcił głową i z uśmiechem powiedział:

- To przyzwoity chłopak.

- Jest skryty.

- Na pewno ma jakieś problemy w domu.

Uzbrojona w młotek ręka Rileya nagle zamarła w bezruchu w powietrzu.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Zapominasz, że mam za sobą jakieś czterdzieści lat belfrowania, jestem więc na pewne rzeczy wyczulony. Chłopak nie chce mówić o swoim domu, ale w końcu coś z niego wyciągnę. A ty wiesz może o czymś?

- Tylko tyle, że ma młodszego brata. Chyba nazywa się Ned. Kiedy Danny trafił do mnie w poszukiwaniu pracy, powiedział, że nie może pracować po piątej, ponieważ musi odebrać brata od opiekunki.

- Znasz jego rodzinę?

- Nie.

- Coś tu jest nie w porządku, możesz mi wierzyć - mruknął Mac, pokrywając skrzydła ptaka kolejną warstwą farby.

Riley powrócił do przybijania desek na pomoście, ale słowa Maca nie dawały mu spokoju.

Mac z pewnością wie, o czym mówi, pomyślał Riley. Coś rzeczywiście jest nie w porządku, ale problem wcale nie musi tkwić w domu Danny'ego. Tym problemem może być po prostu sam Danny.

Miesiąc temu Riley zakończył inwentaryzację nowo wybudowanego magazynu. Każda najmniejsza nawet rzecz została wpisana do ewidencji, ale w ubiegłym tygodniu, kiedy pomagał swojej siostrze Janet przy rozmieszczaniu towarów na półkach i rozpakowywaniu skrzyń, zauważył brak kilku cenniejszych pozycji. Wtedy zaczął podejrzewać, że ktoś go okrada.

Lista osób, które wchodziły w grę, nie była długa. Firma, której zlecił odbudowę przystani, dawno już skończyła pracę i przeniosła się na inną budowę. Wkrótce trzeba będzie uzupełnić personel, lecz na razie Riley korzystał jedynie z pomocy Janet, Maca i Danny'ego. Wszyscy mieli dostęp do kluczy, tak więc wśród nich należało szukać winowajcy. Janet i Mac byli poza wszelkimi podejrzeniami. W tej sytuacji pozostawał jedynie... Danny.

Riley wiedział, że jeśli to Danny kradnie, to wcale nie będzie trudno pokierować tak rozmową, by chłopak sam się do tego przyznał. Zbyt często miał do czynienia z nieuczciwymi pracownikami, by mieć z tym problemy. Mimo to wciąż jednak nie mógł się zdecydować na męską rozmowę z Dannym.

Lubił chłopca i jeśli ten rzeczywiście dopuścił się kradzieży, Riley wcale się nie spieszył, by się o tym przekonać. Może, jeśli zostawi Danny'emu trochę czasu, chłopak zrozumie swój błąd i zechce...

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekł nieoczekiwanie Mac i kiedy Riley odwrócił głowę, ze zdumieniem zauważył, że jego stary przyjaciel wygląda na zdenerwowanego. Riley nigdy go takim nie widział. - Ociągałem się z powiedzeniem ci czegoś, o czym powinienes wiedzieć, jednak postanowiłem zrobić to w ostatniej chwili. Wygląda na to, że ta chwila właśnie nadeszła i uważam, że lepiej będzie...

- Mac, na litość boską, wykrztuś to wreszcie!

Starszy mężczyzna chrząknął i spojrzał Rileyowi prosto w twarz. W jasnych promieniach słońca jego oczy były tak samo błękitne i czyste jak zawsze. I w tej właśnie chwili Riley zrozumiał, co Mac chce powiedzieć.

O Boże, pomyślał, czując, jak serce podchodzi mu do gardła. Nie chce słyszeć tego właśnie teraz. Nie mów nic, Mac. Nie mów nic. Ale usta Maca już się otwierały i nic nie mogło tego zmienić.

- Abigail przyjeżdża.

Riley patrzył nie widzącymi oczami na garść gwoździ na swej rozpostartej dłoni, jakby nie rozumiał sensu przekazanej mu informacji. Po chwili, czując na sobie wzrok Maca, odwrócił głowę.

- Kiedy? - zapytał z udaną nonszalancją.



- Dzisiaj, Maggie zabrała ją już pewnie z lotniska. Riley nie wiedział, czy ma kłać, czy raczej się śmiać.

Abby z powrotem w swym rodzinnym mieście? Dziesięć lat temu nie mogła się doczekać, by zamienić Fort Myers na wielkie miasto. Zrezygnowała z prowadzenia tu własnej firmy, a tym samym spędzenia reszty życia na prowincji. Zrezygnowała z Rileya.

- Ile to czasu minęło od ostatniej wizyty Abby? Pięć, sześć lat? - zapytał chłodno, mając nadzieję, że ton jego głosu brzmi dostatecznie obojętnie.

- Sześć. Oczywiście widywaliśmy Abby podczas naszych wypadów do Bostonu. I nie bądź taki złośliwy. Były powody, dla których nie mogła tu częściej przyjeżdżać. Wiesz, że praca bardzo ją absorbuje. Riley pokiwał głową.

- No tak, wszystkich łajdaków trzeba przecież wsadzić za kratki. - W jego słowach była gorycz. Miał tylko nadzieję, że Mac tego nie usłyszał.

Ale nic z tego; Mac spojrział na niego spode łba.

- Pamiętam, jak swego czasu powtarzałeś, że wolisz energiczne kobiety i że to o wiele bardziej interesujące, kiedy się spędza czas z kimś, kto ma zdecydowane poglądy.

W porządku, rzeczywiście tak mówił, parę lat po studiach. No i co z tego wyszło? Był na tyle głupi, by uważać, że ślub z Abby MacAllister jest czymś zupełnie oczywistym. Teraz nie chciał o tym myśleć. Wspomnienia okazały się zbyt bolesne.

- To było tak dawno.

Mac spojrział na niego spod oka i nie kryjąc ironii, zauważył:

- Ale nie aż tak dawno, żebyś sobie teraz tego nie przypomniał, prawda?

Riley nie zaprzeczył. Jakie to ma znaczenie? Teraz wypada mu tylko wierzyć, że dokąd Abby tu będzie, nie dojdzie do jakiegś kolizji. Oczywiście, musi robić wszystko, by do tego nie dopuścić.

- Jak długo ma zamiar tu pozostać? - spytał zrezygowany.

- Nie jestem pewien. Mag przysięga, że nic jej o mnie nie mówiła. Abby po prostu nie miała urlopu od lat i postanowiła trochę odpocząć od biura.

- Doskonale - rzekł Riley, czując, jak niewidzialna pętla zaciska się wokół jego gardła.

Wrzucił trzymane w rękę gwoździe do torby i usiadł na pomoście, opierając się o stertę desek. Tuż przed nim wiosenne słońce odbijało się od powierzchni wody marszczącej się w podmuchach lekkiej bryzy.

- Może jednak nie wpadniemy na siebie.

Nawet nie zdawał sobie sprawy, że głośno myśli, dopóki nie usłyszał głosu Maca:

- Może i nie wpadlibyście, gdybyś wciąż siedział na przystani. Ale mieszkając tuż obok...

- Tylko do czasu, aż Alex i Hunter zdecydują, co zrobić ze swoim domem.

- Dostatecznie długo, żebyście mogli się spotkać.

Riley spojrział na Maca. W oczach starego zauważył dziwny błysk, który wzbudził w nim nieufność. Pokręcił zdecydowanie głową.

- Niech ci nie przyjdzie do głowy bawić się wraz z Maggie w swatanie. Abby i ja to już przeszłość.

- To dlaczego żadne z was nie ułożyło sobie życia?

A więc Abby wciąż jest sama? Do kogo więc należał ten męski głos, który dochodził do niego gdzieś z głębi mieszkania, kiedy

dzwonił do niej kilka dni temu? Poirytowany, że wciąż go to nurtuje, zauważył cierpko:

- Gdyby to była twoja sprawa, powiedziałbym ci.

Mac roześmiał się krótko.

- W tej kwestii jesteś tak samo drażliwy jak Abigail.

- Jeśli z nią postępujesz tak samo subtelnie jak ze mną, to wcale się temu nie dziwię.

- Proszę cię, Riley - zaczął Mac pojednawczym tonem.

- Maggie i ja przez lata respektowaliśmy twoje życzenie i nigdy nie wracaliśmy do tego, co się stało. W rozmowach z tobą nawet nie wymawialiśmy imienia Abigail. Ale uważam, że najwyższy czas wyjaśnić sobie wszystko, co się wydarzyło w przeszłości. Ta wizyta wydaje się znakomitą do tego okazją.

Riley spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Okazją do czego? Czy nie rozumiesz, Mac? Ja nie muszę niczego wyjaśniać. Dla mnie wszystko stało się jasne w dniu, kiedy Abby zadzwoniła z Bostonu z informacją, że ma zamiar podjąć tam pracę i że chce na jakiś czas odłożyć nasz ślub. Co ty właściwie sobie myślisz? Uważasz, że mimo tych dziesięciu lat ja wciąż czekam, aż ona uzna, że ten czas właśnie nadszedł? Ale ten czas nigdy nie nadejdzie, więc daj sobie spokój.

- Mam dać sobie spokój? Z czym?

- Z patrzyeniem na mnie jak na tępaka w twojej klasie, któremu trzeba powtarzać coś parę razy, zanim w końcu pojmie. Przerobiłem tę lekcję, Mac. Być może nie miałem najlepszych ocen, ale jednak zdałem. Skończyłem studia i poszedłem dalej.

- To niedobra metafora - zauważył Mac i pokręcił głową. - Gorycz, gorycz. To nie jest sposób na życie, przyjacielu. I wcale nie jestem pewien, czy to do was dotarło. Czy wiesz, że za każdym razem, kiedy rozmawiamy, Abigail zawsze znajdzie

sposobność, żeby wpleść twoje imię do rozmowy? Interesuje się tobą, chce wiedzieć, co się z tobą dzieje. Bardzo się martwiła, kiedy powiedziałem jej o wybuchu i twoim pobycie w szpitalu.

Riley uniósł do góry brwi.

- Taaa - powiedział z nieskrywanym sarkazmem. - Otrzymałem nawet od niej kartę z życzeniami powrotu do zdrowia i kwiaty.

Mac jednak nie zrezygnował. Odłożył na ziemię sztyl i pochylił się w stronę Riley'a z miną, jakby miał właśnie zamiar powierzyć mu najgłębszy sekret.

- Powiem ci coś jeszcze, czego nie wiesz. Mówili mi, że kiedy w szpitalu odzyskałeś przytomność, pytałeś o Abby.

Riley zerwał się na równe nogi.

- Do cholery, Mac, kłamiesz!

- Nie kłamie - odparł spokojnie starszy mężczyzna.

- Jeśli rzeczywiście o nią zapytałem, to tylko dlatego, że byłem pod działaniem silnych środków przeciwbólowych. Byłem na wpół martwy i marzyłem tylko o tym, żeby ta druga połowa poszła w ślady tej pierwszej. I wcale się temu nie dziwię. Zbyt wiele wtedy straciłem.

Mac w sposób nieco afektowany skinął głową i starannie zamknął puszkę z farbą.

- Jestem przekonany, że tak właśnie było.

Riley spojrział na niego surowo. Wiedział, że Mac nie chce go zranić, ale rozmowa stała się już absurdalna i doprowadziła go jedynie do bólu głowy. Abby i on to już historia. Koniec. Kropka. Nie miał zamiaru grzebać się w przeszłości. Tym bardziej że jego terażniejszość pochłaniała go teraz bez reszty. Być może, gdyby sprawa potoczyły się inaczej...

W tej samej chwili myśli, które przysły mu akurat do głowy, posłał do diabła, gdzie według niego było ich miejsce. Ciężko westchnął i dotknął nasady nosa. Ten okropny ból głowy. Przeklęty Mac i te jego zwariowane pomysły. Powinien zwolnić starego i przyjąć na jego miejsce kogoś, kto będzie robił, co mu powie i komu na myśl nie przyjdzie, by go pouczać.

Zamknął oczy, walcząc z narastającym bólem w skroniach, a kiedy znowu je otworzył, zaklął. Abigail energicznym krokiem zmierzała prosto w jego kierunku.

Dobry Boże, chyba nie jestem zdenerwowana? - pomyślała Abby, idąc kilka kroków za matką. Nie możesz sobie na to pozwolić, powtarzała w myślach. Pamiętaj, kim jesteś, do czego dzięki sobie doszłaś.

To właśnie ją kilka lat temu, po wygraniu wyjątkowo trudnego procesu, prasa nazwała „Żelazną Abby”. Krzepki jak dąb oskarżony płakał wtedy jak dziecko, narzekając, że taki surowy wyrok doprowadzi go do bankructwa. Kiedy wychodziła z gmachu sądu, reporterzy dopadli ją na schodach i zasypali lawiną pytań. Śmiertelnie znużona, mając wciąż przed oczami obraz ofiary oskarżonego, odwróciła się i lodowatym tonem oświadczyła:

- Po tym, co ten sukinsyn zrobił, chciałabym, żeby do końca życia musiał żebrac na ulicy.

Tym powiedzeniem zjednała sobie całą prasę, a jej pozycja w firmie ogromnie wzrosła. Wygranie procesu dodało jej pewności siebie. Od tej pory nigdy się już nie denerwowała - bez względu na to, czy chodziło o przyjęcie u gubernatora, gdzie sama zastawa miała wartość miliona dolarów, czy też o zmierzenie się z całą chmarą wrogo usposobionych świadków.

A więc dlaczego teraz nagle wydało się jej, że brakuje jej tchu? Dlaczego serce zaczęło tak mocno bić? Ponieważ to był Riley, a Riley...

Matka zasugerowała, by w drodze z lotniska do domu zatrzymać się na przystani. Abby przystała na to, chcąc jak najszybciej spotkać się z ojcem. Teraz jednak, widząc tuż przed sobą Riley'a, zaczęła mieć wątpliwości, czy to naprawdę był dobry pomysł.

Nerwowym ruchem obciągnęła spódnicę i przystanąła. Jeśli nawet były na niej jakieś załamania, to przecież wciąż wyglądała na kobietę, która wie, jak się ubierać, aby osiągnąć sukces, i jak się poruszać, aby uchodzić za elegancką. Nie była już tamtą ubraną w dżinsy dziewczyną z college'u, a to, kiedy się Riley o tym przekona, nie miało dla niej żadnego znaczenia.

Dziesięć lat temu zostawiła dwudziestotrzyletniego, uwielbiającego plażę i słońce czarującego chłopaka, o którym już w szkole myślała, że kiedyś wyjdzie za niego za męża. Riley Kincaid mógł się pochwalić ciałem tak pięknie wyrzeźbionym jak najsłynniejszy symbol seksu w Hollywood, włosami tak gęstymi i miękkimi jak jedwab i głosem, który w kilka sekund zniewalał każdą kobietę. Był wytworny i ogromnie towarzyski. Pamiętała, że kiedy przychodził po nią do akademika, wszystkie dziewczyny wyglądały przez okna.

Ale to było wieki temu, a krótka rozmowa telefoniczna, jaką kilka dni temu z nim przeprowadziła, niewiele jej dała. Wyobrażała sobie, że bardzo się zmienił. Lata ciężkiej pracy z dała od kraju. Ogień. Rany, jakie odniósł. Dlaczego nie ma starej, spalonej przez słońce skóry, nie widać na nim śladów hulaszczego trybu życia, a wokół nie walają się puszki po piwie? Przynajmniej powinien zacząć siwieć.

Jednak nic na to nie wskazywało. Jego włosy w słońcu wyglądały na ciemniejsze niż kiedykolwiek. Ubrany był w beżowe szorty i koszulkę polo w odcieniu szmaragdowej zieleni, która, kiedy nagle skrzyżował ręce na piersiach, uwydatniła nadal imponujące mięśnie. Powiedział coś do Maca i wtedy ojciec odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Moja królewno! - zawołał. - Jesteś wreszcie!

Rzucił się do niej i otworzywszy szeroko ramiona, objął ją tak mocno, jakby chciał ją w nich zatrzymać na zawsze. To ją trochę uspokoiło. Bez względu na wszystko jej ojciec wciąż wydaje się energiczny i silny. Pocałowała go w policzek. I ten zapach, jedyny na świecie, sprawił, że coś ścisnęło ją w gardle.

- Poza tobą nikt nigdy mnie tak nie nazywał, tatusiu - powiedziała. - I wcale nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby to słyszeli moi koledzy w pracy.

- Jestem jedyną osobą, której wolno tak do ciebie mówić - odparł i odsunął ją nieco od siebie, chcąc się jej lepiej przyjrzeć. W jego oczach widać było zachwyt.

- Wspaniale wyglądasz, skarbie!

Dawno już nauczyła się, jak reagować na liczne komplementy i fakt, że ten przyjęła z zażenowaniem, ogromnie ją zirytował.

- Tatusiu...

- Czyż ona nie jest piękna? - rzucił Mac w stronę Rileyę. - Chodź i sam się przekonaj, jak moja córka rozkwitła.

Tuż za sobą Abby usłyszała ostrzegawcze psyknięcie matki. Czowała, że Riley idzie w jej stronę i że robi to bez szczególnego entuzjazmu. Chwila, której tak bardzo się obawiała, właśnie nadchodzi. Za późno na ucieczkę. Wprostowała się i uniosła do góry głowę, przybierając minę, która miała oznaczać:

przysięgałeś mówić prawdę, całą prawdę, nie próbuj więc kłamać. Jeśli chce wyjść obronną ręką z tej sytuacji, musi, jak nigdy dotąd, zmobilizować całą swą odwagę. Dziesięć lat...

Ich oczy się spotkały i wtedy przekonała się, że jej pierwsza ocena wyglądu Riley'a była błędna. Teraz dostrzegała zmiany.

Rysy jego twarzy wydały się jej bardziej ostre, jakby piętno czasu usunęło z nich tak typową dla młodości miękkość. Jego nos i kości policzkowe bardziej się uwydatniły, a po pełnym nonszalancji wygięciu ust, tych ust, o których tak rozpaczliwie starała się zapomnieć, nie było już prawie śladu. Głęboko osadzone oczy wciąż miały intensywny kolor brązu, a otaczające je czarne rzęsy były tak samo długie i gęste, jednak w kącikach oczu dostrzegła drobne linie i wcale nie dałaby głowy, że to śmiech był ich sprawcą.

Czy to jest wciąż ten beztrojski, uwielbiający zabawę Riley Kincaid, w którym niegdyś tak bez pamięci się zakochała? Jeśli tak, to musi głęboko to ukrywać.

Oczywiście, biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się rozstali, wydawało się więcej niż prawdopodobne, że nie dba o to, co ona o nim myśli. Walczyła z sobą, by nie ruszyć się z miejsca, podczas gdy jego oczy lustrowały ją nieufnie. Zauważyła w nich dziwny chłód i nie miała wątpliwości, dla kogo jest przeznaczony. Sytuacja stawała się niezręczna, chcąc jakoś z niej wybrnąć, wyciągnęła rękę.

- Witaj, Riley - powiedziała, mając nadzieję, że zabrzmiało to szczerze i przyjaźnie. Jeśli mimo to lody nie zostaną przełamane, nie ona będzie temu winna. - Jak to dobrze znowu cię widzieć.

Na szczęście nie odrzucił wyciągniętej w jego kierunku ręki. Jej chłodne palce nagle poczuły ciepły uścisk spracowanej, męskiej dłoni. Te same dłonie kiedyś błądziły po jej skórze.



Wspomnienie było tak wyraziste, że na chwilę straciła poczucie czasu.

- Dobrze wyglądasz, Abby - zauważył bezbarwnym głosem. - Życie w wielkim mieście najwyraźniej ci służy.

Poczuła niepokój. Co on właściwie ma na myśli? Czyżby znalazł w jej wyglądzie coś, co chciałby skrytykować? Elegancki kostium, modnie obcięte włosy - wszystko to znakomicie pasuje do Bostonu. Nagle zapragnęła, by jej strój był mniej oficjalny, a makijaż delikatniejszy. To jest przecież Fort Myers, gdzie kobiety po zakupy chodzą w szortach, a mężczyźni nie uznają krawatów.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Życie w mieście rzeczywiście mi służy. Nigdy nie czułam się bardziej szczęśliwa.

Jednak prawda była zupełnie inna. Obawa o zdrowie ojca to nie jedyny powód, dla którego zdecydowała się tu przyjechać, lecz Riley i rodzice nie muszą o tym wiedzieć.

- Obcięłaś włosy - zauważył Mac, marszcząc czoło.

- Mnie się podobają - z uśmiechem powiedziała Maggie i wyciągnawszy rękę, odgarnęła włosy z policzka córki.

Abby potrząsnęła głową i niesforne kosmyki z powrotem ułożyły się w nienagannie wymodelowaną, chłopięcą fryzurę. Mistrz nożyczek, Maxim, znakomicie się spisał. Jeden ruch głowy i wszystko wracało na miejsce.

Mac spojrział na nią z aprobatą.

- Myślę, że nie wypada, żeby znanemu prawnikowi włosy wchodziły w oczy i sięgały do połowy pleców.

Skinęła głową. Nie mogła jednak zapomnieć o tym, co kiedyś powiedział Riley. Zawsze uwielbiał jej długie włosy. Twierdził, że kiedy na nie patrzy, wyobraża sobie kobietę, taką jakby księżniczkę z bajki, która czeka na wybawiciela. Gdy rozpuszczała włosy, wplatał w nie palce i przyciągał ją mocno do siebie.

Spojrzała na niego i serce się jej ścisnęło. Twarz Riley'a była kamienna. Najwyraźniej o wszystkim zapomniał.

- Widzę, że zająłeś się malowaniem szyldu! - zawołała Maggie, podchodząc do miejsca, gdzie stały małe puszki z farbą. - I jak wyszło?

Mac pospieszył za nią i po chwili słychać było, jak obydwójce dyskutują pochyleni nad świeżo pomalowaną tablicą. Kiedy po chwili Riley ruszył w ich kierunku, Abby zauważyła, że lekko utyka na prawą nogę i że na jednym udzie wciąż widać ślady oparzeń. Różowy płat świeżo zarosłej skóry ciągnął się prawie do kolana.

Rodzice opowiedzieli jej wszystko o wybuchu. Z przerażeniem myślała, jak bliski śmierci był Riley i jak ciężką musiał stoczyć walkę, aby wydobyć się z tej strasznej przepaści. Zawsze był bardzo wytrzymały. Należał do ludzi, którzy im boleśniej padają, tym szybciej się podnoszą. Mimo to ubiegły rok musiał go wiele kosztować.

Przebiegła wzrokiem po zabudowaniach, szczęśliwa, że nie musiała oglądać, jak dorobek jego życia zamienia się w ruinę. Wypalone resztki długo trzeba było stąd usuwać, aby w końcu zastąpić je tymi prostymi, doskonale zaprojektowanymi budynkami. Magazyny, biura, hala z miejscami postojowymi dla łodzi - wszystko lśni nowością. Potrzebne są jeszcze niewielkie

prace wykończeniowe, lecz Abby wiedziała, że tu, nad wodą, właśnie urzeczywistniało się marzenie Riley'a.

Tak bardzo kiedyś chciał, aby ona je z nim dzieliła. Dlaczego tak się nie stało?

Instynktownie odwróciła głowę i zauważyła, że Riley zostawił rodziców, wciąż dyskutujących o nowym logo, i szedł w jej kierunku. Ciesielska torba wisiała mu u pasa, a on sam zdawał się zupełnie pochłonięty wrzucaniem do jednej z kieszeni gwoździ, które opadając na dno, wydawały metaliczny dźwięk.

- Przystań wygląda imponująco - odezwała się Abby w obawie, że znowu zapanuje kłopotliwa cisza.

Riley spojrział na nią z ukosa.

- Mówisz tak, jakbyś była tym zaskoczona.

- Chyba trochę jestem zaskoczona. Tego rzeczywiście się nie spodziewałam.

- A czego właściwie się spodziewałaś? Że zastaniesz mnie cuchnącego rybami i zajętego budową jakiejś marnej chałupy?

Czuła, jak rumieniec oblewa jej policzki, ale nie miała zamiaru tak łatwo dać się pokonać.

- To nie fair - powiedziała cicho. - Zawsze w ciebie wierzyłam, Riley. Nawet wtedy, gdy ty nie wierzyłeś. I wbrew chwilowym niepowodzeniom, takim jak chociażby ten pożar, nigdy nie wątpiłam, że odniesiesz sukces.

Roześmiał się ironicznie.

- Ale nie aż tak duży, żeby cię zatrzymać przy sobie.

- Mogłeś pomyśleć, że był ku temu jakiś powód.

- Nie mogłem się go doszukać.

- Może za słabo się starałeś.

- Pewna rozmowa telefoniczna nie zostawiła mi żadnych złudzeń... ani żadnej nadziei - dodał po chwili pozbawionym emocji głosem.

Wiedziała, co miał na myśli. Odwróciła głowę i zagryzła wargi. Parę kroków dalej jej rodzice pakowali puszkę z farbą do kartonowego pudła. Jakże pragnęła, by przyszli jej w sukurs. Była budzącym respekt prawnikiem z wielkiego miasta, ale w obecności Rileya jej pieczołowicie budowana linia obrony rozsypywała się jak przysłowiowy domek z kart.

Z trudem opanowała drżenie, gdy odwrócił jej twarz do siebie. Nie spuściła wzroku, usiłując odzyskać stracony grunt. Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Wstrzymała oddech, gdy zaczął wodzić palcem wzdłuż linii jej brody. Wierch jego dłoni wolno przesunął się w dół, zatrzymując w zagłębieniu szyi. Czowała, że drży i że jej skóra zaczyna płonąć. Wplótł palce w jej włosy tuż u nasady karku. Pochyliła ku niemu głowę, poddając się tej niemej pieszczocie.

- Woląłem, kiedy były dłuższe - powiedział. Zesztywniała, a on powoli cofnął dłoń, przyglądając się,

jak jej włosy przepływają między jego palcami.

- Przykro mi - odrzekła pozornie spokojnym głosem. - Nie jestem już tą młodziutką dziewczyną, którą zapamiętałeś. Zdażyłam wyrosnąć.

Uśmiechnął się kątem ust.

- Czyżby? - zapytał drwiąco. - Wątpię.

Po chwili odwrócił się i bez słowa ruszył w górę doku.

## 2

Dom przy Tropical Drive należał do typowych bungalowów wybudowanych w stylu lat pięćdziesiątych. Trzy lata temu Riley, idąc z wizytą do MacAllisterów, na terenie sąsiedniej posesji zauważył napis „Na sprzedaż” i polecił to miejsce swojemu przyjacielowi, Hunterowi. Hunter, z zawodu biolog, w efekcie rządowego śledztwa przeciwko jego szefowi, które zresztą sam zainicjował, i po stracie wszystkiego, co miało dla niego najwyższą wartość - rodziny, pracy i poczucia własnej wartości - szukał jakiegoś schronienia, by móc się pozbierać.

W ubiegłym roku Hunterowi udało się wreszcie uporządkować swe życie. Otrzymał telefon z kół rządowych z przeprosinami i ofertą pracy w departamencie obrony, a nowa żona, która pomogła mu stanąć na nogi, obdarzyła go upragnionym synem. Teraz, w związku z jego przeprowadzką do świeżo wyremontowanego wiktoriańskiego domu w Waszyngtonie, bungalow prawdopodobnie znowu zostanie wystawiony na sprzedaż.

Sugestia Huntera, by to Riley go kupił, nie była pozbawiona sensu, szczególnie w sytuacji, gdy odbudowa mieszkania na przystani nie wchodziła w grę.

Riley poważnie o tym myślał - aż do dzisiejszego dnia, gdy o zachodzie słońca wrócił do bungalowu i uświadomił sobie, że Abigail MacAllister, kobieta, której miał nadzieję nigdy już nie zobaczyć, zamieszkała, aczkolwiek na pewien tylko czas, w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od niego.

Wysiadł z jeepa i spojrział w stronę domu MacAllisterów. Zauważył, że firanka w oknie frontowego pokoju lekko się poruszyła.

Czyżby go ktoś obserwował? Może Abby?

Pokonał gwałtowną chęć udania się w tamtym kierunku. Jakie to ma jednak znaczenie, czy Abby rzeczywiście go obserwuje? Te czasy, gdy interesowało go, co mówiła, robiła czy też myślała, dawno już minęły. Chwycił z siedzenia samochodu plik kartek z planami przystani i skierował się w stronę drzwi bungalowu.

Wielkie psisko, ogar Buster, powitał go z takim samym jak zawsze entuzjazmem. Uniósł do góry oparty na łapach łeb, przez chwilę głośno węszył, po czym z westchnieniem znowu ułożył się do snu. Miał dopiero pięć lat, ale leniwe usposobienie sprawiało, że wyglądał, jakby miał znacznie więcej. Spanie było jego ulubionym zajęciem i nawet zjawienie się kogoś, kto przyrządzał dla niego jedzenie, nie wzbudzało w nim specjalnego entuzjazmu.

- Ja również się cieszę, że cię widzę, łapserdaku - zawołał Riley, rzucając kluczyki i trzymane w ręku plany na kuchenny stół. - Chcesz wyjść?

Pies podniósł się powoli, jakby był jakąś żywą konstrukcją, która przy pierwszym nieostrożnym ruchu może się zawalić, i niechętnie ruszył w kierunku przeszklonych, wahadłowych drzwi, które prowadziły do leżącego z tyłu domu ogrodu.

- Tylko gdzie nie odchodź! - zawołał za nim Riley.

Mimo że Abby zaofiarowała swą pomoc przy robieniu kolacji, już po pięciu minutach starsza pani usiłowała ją przegonić z kuchni. Maggie MacAllister nie znosiła, kiedy ktoś kręcił się po

jej „terytorium”. Jednak obydwie doskonale wiedziały, z jakiego powodu matka tak naprawdę rezygnuje z pomocy córki.

- Po tylu latach dalej nie odróżniasz klopa od klapsa - rzekła Maggie z desperacją i pokręciła głową. - Jak to możliwe, że sobie w ogóle radzisz?

- Umiem gotować - zaprotestowała Abby. - Mam kuchenkę mikrofalową.

Dom MacAllisterów był prawdopodobnie jednym z nielicznych w Ameryce, które takiej kuchenki nie uznawały. Maggie patrzyła na córkę tak, jakby ta zaklinała się, że w ich domu przed chwilą wylądowały zielone ludziki.

- Abby! Ty chyba nie mówisz serio. Nie możesz jeść z pudełek. To bardzo niezdrowe.

- Dlaczego? Regularnie się gimnastykuję. Biegam. A po ostatnich badaniach lekarz powiedział, że jestem w dobrej formie. A więc chyba nie jest tak źle, jak myślisz.

- To obrzydliwe i sprzeczne z zasadami przyrządzania zdrowych posiłków.

Abby nalała do szklanki soku owocowego i obserwowała, jak matka krząta się po kuchni.

- Mamo! Jesteś nadzwyczajna, a twój przepis na ciasto z jeżynami nie ma sobie równego w całej Florydzie. Natomiast ja... no cóż, mnie w kuchni nigdy nic się nie udawało, chyba pamiętasz?

- Ależ wcale nie było tak źle...

- Chyba wymieniliście tapety - zauważyła Abby, rozglądając się po kuchennych ścianach.

Maggie skrzywiła się, jakby nagle rozboleły ją zęby i Abby wiedziała, o czym jej matka pomyślała. Obydwie przypomniały sobie pewien niedzielny poranek sprzed kilku lat, kiedy to cała

kuchenka stanęła w płomieniach, gdy Abby smażyła naleśniki. Czujnik dymu włączył alarm, który postawił na nogi całą okolicę, a ślady sadzy na tapecie okazały się nie do usunięcia.

- Trzeba już było to zrobić - wyjaśniła matka, po czym nieoczekiwanie dodała: - Naprawdę, Abby, jeśli nie będziesz chociaż trochę lepszą gospodynią, możesz nigdy nie złapać męża.

- Mamo! - zawołała Abby, krztusząc się sokiem. - Jak możesz coś takiego mówić!

Maggie zmieszala się.

- Źle się wyraziłam. Chodzi mi po prostu o to, że lat ci nie ubywa. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- No wiesz, bardzo ci dziękuję. A więc, według ciebie, nie mam już szans?

- Mimo że nigdy nie popychałam cię do małżeństwa, to jednak chciałabym mieć wnuki. Zanim nie będę za stara, aby się nimi nacieszyć. Nie mam zresztą pojęcia, co powinno się dzisiaj zrobić, żeby zapewnić sobie zainteresowanie i opiekę mężczyzny.

Takiej logiki Abby mogła się raczej spodziewać po ojcu, który będąc człowiekiem ogromnie konserwatywnym, wciąż uważał, że kobiecie najbardziej potrzeba męskiej opieki. Patrzyła podejrzliwie na matkę, nie mogąc pojąć, skąd to nagłe zainteresowanie jej planami matrymonialnymi.

- Mamo, w moim życiu było wielu mężczyzn...

Maggie znowu się zmieszala.

- Och, kochanie...- szepnęła.

- No cóż, chyba jednak nie było ich tak wielu - dodała szybko Abby, zdając sobie sprawę, że popełniła gafę. - Właściwie tylko kilku. Jeden, może dwóch...

Zamyśliła się. Ale jak dawno to było?



Nagle uświadomiła sobie, że minął prawie rok, jak zerwała z Davidem. Właściwie wcale się tym nie przejęła. Przygotowanie do procesu Lindseya, a następnie sam proces, wymagały ogromnego zaangażowania. W tym czasie miała może z dziesięć randek, lecz żadna nie sprawiła jej szczególnej satysfakcji.

Nie oznaczało to oczywiście, aby miała zamiar w ogóle z nich zrezygnować i spędzać odtąd czas w domu na oglądaniu telewizji. Gdzieś tam żyje mężczyzna stworzony dla niej, prędzej czy później z pewnością się spotkają i to właśnie będzie ten jedyny. Tym razem nie popełni już takich błędów, jak z Rileyem...

Szybko jednak otrząsnęła się z tych myśli. Jak mogło przyjść jej do głowy, żeby brać całą winę na siebie? Zgoda, popełniła wtedy kilka błędów, ale Riley też nie ma czystego sumienia.

Dziesięć lat temu była taka młoda, zdezorientowana i pełna wątpliwości, a on wcale jej nie pomógł swym żądaniem, by wybrała między karierą w Bostonie a małżeństwem z nim. Nie zdobył się nawet na to, żeby dać jej czas do namysłu.

A kiedy ociągała się z przekazaniem mu wiadomości, zbyt bolesnej, by potrafił ją znieść, zdecydował się opuścić kraj, twierdząc, iż nie tylko ona ma przed sobą cel i głowę pełną marzeń. Powiedział jej, że Fort Myers również dla niego nie jest już interesujący. Hotel na Teneryfie zaproponował mu pracę, a ponieważ nic go tu nie wiązało...

- Wiem, że dobrze ci idzie w Bostonie - szepnęła matka, zerkając na drzwi prowadzące do salonu, gdzie Mac ucinał sobie drzemkę. - To twój ojciec mnie martwi. Nie przyznaje się do tego, ale ta historia z sercem nieco go wystraszyła. W efekcie zaczął trochę więcej myśleć o przyszłości.

Zgodnie ze złożoną Rileyowi obietnicą Abby zadzwoniła do matki pod pretekstem omówienia zbliżających się wakacji. Nie potrzebowała zbyt wiele czasu, by wyciągnąć od niej prawdę o stanie zdrowia ojca. Uzgodniły wtedy, że Mac się o tym nie dowie. Jednak dzisiejszego popołudnia Abby oświadczyła, że znalazła w kuchni lekarstwa i tak długo nękała ojca, aż ten w końcu wyznał prawdę o swym pobycie w szpitalu.

Teraz Abby spojrzała na matkę z lękiem.

- Mamo, czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś? Czy lekarz...

- Nie, nie, to nie jest tak, jak myślisz. Doktor Siedell twierdzi, że ojcu nic nie będzie, jeśli się zastosuje do jego zaleceń. Ale dobrze znasz swojego ojca i wiesz, jak się wszystkim przejmuje. Chce, żebyś była szczęśliwa... i ułożyła sobie życie. Nie sądzę, żeby mógł kiedykolwiek uwierzyć, że Boston to właściwe miejsce dla ciebie.

Abby zmarszczyła brwi i, odwróciwszy się do kuchennego blatu, wzięła do ręki nóż i zaczęła kroić oskrobaną przez matkę marchewkę. Dziwne, że Maggie właśnie teraz to mówi. Ostatnio Abby sama zaczęła mieć wątpliwości, czy powinna zostać w Bostonie.

Maggie MacAllister należała do spostrzegawczych kobiet. Abby powinna wiedzieć, że przed nią nic się nie ukryje. Matka podeszła do niej i patrząc jej badawczo w oczy, z niepokojem zapytała:

- Abby, co się stało?

Abby pokręciła przecząco głową i ze zdwojoną energią znowu zabrała się do krojenia marchewki.

- Nic.

- Abby...?

Gorączkowo szukała jakiegoś wykrętu, ale po chwili się poddała. Na sali sądowej radziła sobie lepiej niż niejeden wytrawny prawnik, jednak tu, przed matką, była bezradna jak dziecko.

- To właściwie zabawne, że to powiedziałaś - zauważyła, nie odwracając oczu od stosu pokrojonych warzyw. - Nie tylko tata uważa, że Boston nie jest najlepszym miejscem dla mnie. Ostatnio mnie samej coś takiego przyszło do głowy.

- Ale przecież tak dobrze ci idzie. Masz szansę zrobić karierę w tej firmie. Powiedziałaś, że twój udział w procesie Lindsaya był bardzo znaczący...

- To prawda - przyznała Abby niechętnie, biorąc do ręki kolejną marchewkę. - Prasa zrobiła z całej naszej ekipy gwiazdy. Tylko że ja wcale nie jestem pewna, czy na to zasłużyliśmy.

Maggie spojrzała na nią spod oka.

- Jak możesz tak mówić? Paul Lindsay zjawił się w sądzie jako charyzmatyczny polityk, pochodzący ze znanej rodziny. Miał prawie wszystkich za sobą. A jednak prawda jest taka, że zabił swoje dziecko. I kiedy dziadkowie ofiary wystąpili przeciwko niemu z oskarżeniem o zabójstwo, ty pomogłaś to udowodnić. Teraz żadne koneksje ani pieniądze nie uchronią go przed poniesieniem konsekwencji tego, co zrobił. W ubiegłym tygodniu media podały, że prokurator okręgowy przygotowuje już przeciwko niemu oficjalny akt oskarżenia.

Abby przerwała krojenie i odwróciła się do matki.

- Popelniliśmy błąd, mamo - rzekła cicho. - Potworny błąd.

- Czyżby Paul Lindsay był niewinny? - zawołała Maggie ze zdumieniem.

- Nie, oczywiście, że nie! To, że bardzo źle traktował swojego syna, nie ulega wątpliwości. Ale my...

- Domyślam się, że w takich procesach nie zawsze wszystko przebiega zgodnie z planem, ale ten człowiek otrzymał to, na co zasłużył. Kiedy pomyślę, co to dziecko wycierpiało... - Wzdrygnęła się, po czym dodała: - Wiem, że nie byłaś zachwycona sposobem, w jaki nakłoniono cię do wzięcia tej sprawy, jednak przyznasz, że okoliczności całkowicie to usprawiedliwiały. Ty nie robisz błędów. Wierzę, że postąpiłaś właściwie.

- Czy to właściwe powołać na świadka kogoś, o kim się wie, że będzie zeznawał nieprawdę?

- Och, skarbie! Nie mogliście przecież wiedzieć, że niania chłopca skłamię.

Abby sprawiała wrażenie, jakby słowa matki z trudem do niej docierały.

- Ta kobieta marzyła o tym, żeby mieć swoje piętnaście minut, żeby o niej mówiono. W rzeczywistości nigdy nie widziała, żeby Paul Lindsay szarpał swojego syna. Tuż przed rozprawą chciała odwołać zeznanie, ale ja dałam się przekonać kolegom, że jeśli mamy wygrać, nie możemy jej na to pozwolić. To, co nie daje mi jednak spokoju, to drzemiące gdzieś w głębi duszy przeświadczenie, że od samego początku znałam prawdę.

- Nonsens. Gdyby tak było, z pewnością postąpiłabys inaczej.

- Czyżby? Wszyscy domagali się krwi, a ja, być może, nie chciałam zejść z głównej trybuny. Wiesz, jak to jest. Ogromna wrzawa, zainteresowanie mediów. To wciaga. I wkrótce sama już nie wiesz, czy podjęłaś decyzję dlatego, że jesteś przekonana o jej słuszności, czy też dlatego, że dzięki niej twoja twarz znajdzie się nazajutrz na pierwszych stronach gazet.

- Ty nie jesteś taka - zaprotestowała Maggie.

- Nie jestem ideałem, mam. Maggie uśmiechnęła się.  
- Oczywiście, w przeciwnym razie lepiej byś sobie radziła z tą marchewką. - Wyjęła nóż z ręki córki i zajęła się krojeniem. - Jesteś zmęczona, skarbie. Ten proces zbyt dużo cię kosztował i dlatego dobrze się stało, że przyjechałaś do domu. Nie tylko ze względu na ojca. Tobie również przyda się trochę spokoju.

Abby z podziwem obserwowała, jak pod rękami matki szybko rośnie pomarańczowa góra. Mogłaby przysiąc, że każdy plasterek ma dokładnie pół centymetra grubości.

Przypomniała sobie tamto feralne lato przed wyjazdem na rozmowę kwalifikacyjną w Bostonie. Pewnego dnia, kiedy przyszła do kuchni, matka również była zajęta krojeniem warzyw. Zdobyła się wówczas na odwagę i ku zdumieniu matki powiedziała:

- Chcę odnaleźć moich biologicznych rodziców.

MacAllisterowie nigdy nie kryli przed nią prawdy, że została adoptowana, kiedy była noworodkiem. Nie mieli jednak pojęcia, iż przez cały czas w Abby tkwi głęboko skrywana potrzeba dowiedzenia się, kim są jej prawdziwi rodzice.

Abby doskonale pamiętała reakcję matki. Jej ręka trzymająca nóż nagle zamarła, a twarz stała się kredowobiała, niemal przezroczysta. Po chwili zduszonym głosem powiedziała:

- W porządku. Ojciec i ja pomożemy ci.

- Nie. Muszę to zrobić sama. Teraz, kiedy jestem dorosła i wkraczam w nowe życie, chcę pokazać mojej biologicznej matce, że niczego mi nie brak, że ty i tatuś doskonale wywiązałeś się z roli przybranych rodziców. Może to ją ucieszy. Rozumiesz, prawda?

Oczywiście, Maggie skwapliwie się wtedy z nią zgodziła, ale czy było to szczere, nigdy się nie dowiedziała. Natomiast

stanowisko ojca w tej sprawie było aż nadto czytelne. Często mruzczał coś pod nosem i spoglądał na nią z ukosa. Za każdym jednak razem, gdy Abby już myślała, że ojciec da w końcu wyraz swemu niezadowoleniu, Maggie dyskretnie pociągała go za rękaw, spojrzaniem prosząc, żeby zachował spokój.

Teraz, zerkając na matkę, dla której czas najwyraźniej nie był znanadto łaskawy, zastanawiała się, czy kiedykolwiek podziękowała jej za te wszystkie lata bezgranicznego zaufania, jakim Maggie ją obdarzała. Serce ścisnęło się jej na myśl, iż niewiele zrobiła, aby na to zasłużyć. Ostatnie tygodnie przez wyjazd do Bostonu były bardzo trudne. To, czego dowiedziała się o swych prawdziwych rodzicach, było tak bolesne, że z nikim nie chciała o tym rozmawiać, a do tego doszło jeszcze odroczenie ślubu z Rileyem.

Ty nie robisz błędów, powiedziała jej matka.

Ależ tak, mamó. Robię. I być może zagubiłam właściwe proporcje...

Broniła się przed takim myśleniem. Dziesiątki razy przeglądała stenogramy z procesu i pewnie niejedną raz jeszcze do nich sięgnie. I bez względu na wątpliwości dotyczące zeznań opiekunki dziecka, kongresman nie uniknie kary za to, co zrobił małemu.

Przyglądała się szczupłym palcom matki, jak szybko poruszają się nad kuchennym blatem. Jej dłonie pokrywały ciemne plamy, widoczne oznaki starości, których nie zauważyła podczas ostatniego pobytu w domu. Wyciągnęła rękę i nagle jej dłoń przykryła dłonie matki. Maggie podniosła na nią oczy, w których malowała się bezgraniczna miłość. Długo tak stały, matka i córka, nie odzywając się do siebie ani słowem.

- Kocham cię, mamó - rzekła w końcu Abby.

- Ja także cię kocham, skarbie - cicho dodała matka.

- Tak bardzo się cieszę, że jesteś w domu. Cokolwiek cię dreczy, z pewnością dasz sobie z tym radę. Potrzebujesz tylko trochę czasu. - Ścisnęła leciutko rękę córki. - A teraz uciekaj mi stąd. Zawołam cię, kiedy będzie kolacja.

Abby, czując się już znacznie lepiej, ponownie napełniła szklankę sokiem i bez protestu opuściła kuchnię. Ojciec wciąż chrapał w swojej ulubionej półleżącej pozycji, po cichutku podeszła więc do kanapy i zabrawszy pozostawioną tam uprzednio aktówkę, skierowała się w stronę patio.

Bardzo lubiła ten zakątek, chociaż nie zawsze tak było. Jako dziecko marzyła, żeby mieć przy domu basen. Wszyscy jej przyjaciele mieli... Na Florydzie był to prawie warunek, aby jakoś przetrwać upalne lato. Jednak ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. Tu, na Florydzie, pęd do budowania basenów uważał za szkodliwe szaleństwo. Za dużo betonu tam, gdzie powinna być zieleń.

Zawsze z upodobaniem oddawał się hodowli roślin i ogród, który założył z tyłu domu, stanowił przedmiot jego prawdziwej dumy. Abby zauważyła, iż od czasu jej ostatniej wizyty krzewy ogromnie się tu rozrosły, tworząc urocze za- kątki pełne spokoju i tajemniczości. Właśnie kwitły bugenwille i festony rózu i czerwieni z wdziękiem zwieszały się ze specjalnie skonstruowanych krat i ścianek altanki, a powietrze przesycone było zapachem oleandrów, kwiatów pomarańczy i jaśminu.

Postawiła szklankę z sokiem na trawie i z rozkoszą wy- ciągnęła się na leżaku. W kącie ogrodu, nad ustawionym tam pojemnikiem z wodą, dwa ptaszki zawzięcie kłóciły się o prawo do kąpieli. W końcu jeden z nich poddał się i odleciał. Drugi, jakby dla podkreślenia zwycięstwa, zabawnie nastroszył piórka i

rozpoczął trele. Abby z uśmiechem wyciągnęła twarz do słońca. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak spędzała czas. Leniwie i bez troski.

Po chwili położyła na kolanach aktówkę i zaczęła przeglądać dokumenty, starając się wzbudzić w sobie choć trochę entuzjazmu dla sprawy, którą na prośbę jednego z kolegów miała się zająć. Na próżno. Po paru minutach, nie mogąc się skupić, złożyła papiery i z dezaprobatą spojrzała na swoje nieprzyzwoicie białe nogi.

Wyciągnęła przed siebie ramiona. Mój Boże, gdzie się podziała jej niegdyś tak piękna karnacja... Wyglądała, jakby po rocznym pobycie dopiero wyszła ze szpitala.

Przed oczami stanęła jej postać Riley'a. Wyobrażała sobie, że po tych wszystkich przeżyciach to on właśnie tak będzie wyglądał. Jakże się jednak myliła! Pomimo upływu lat wciąż mógł zawrócić w głowie każdej dziewczynie.

Ale czy zawrócił jakiejś jednej, jedynej? Za żadne skarby świata go o to nie zapyta, nawet za milion lat. Rodzice nigdy jej o tym nie wspominali, ale było więcej niż prawdopodobne, że jakiejś kobiecie udało się go zdobyć. Przechyliła się do tyłu i oparłszy głowę na poduszce leżaka, zamknęła oczy, usiłując sobie wyobrazić wybrankę Riley'a.

Może to córka jakiegoś właściciela jachtu z nadmiarem wolnego czasu i pieniędzy albo jakaś ładniutka masażystka, która wie, jaki użytek zrobić z rąk. Riley z pewnością jest zachwycony.

- Riley... - wyszeptała. Jak wygląda ta, która zawładnęła twoim sercem? Czy jest ładna i elegancka? Mądra i czuła? Czy jest do mnie chociaż trochę podobna? Czy potrafi gotować? Uśmiechnęła się. Nie, to nie może być ważne. Jej brak



umiejętności kulinarnych nigdy mu nie przeszkadzał. Zawsze powtarzał...

Nagle zdała sobie sprawę, że to wszystko nie ma sensu. Jakie to może mieć znaczenie, z kim Riley teraz jest. Z nią z pewnością już nigdy nie będzie.

Nagle usłyszała cichy brzęk lodu uderzającego o brzeg szklanki, a po chwili dołączyło do niego wyraźne chleptanie. Otworzyła oczy i odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził hałas. Ze zdumieniem zauważyła, że jakiś ogromny pies dobiera się właśnie do jej soku.

- No, no! - zaprotestowała, podnosząc do góry szklankę. - W tej chwili przestań!

Zwierzę jednak najwyraźniej nie miało zamiaru ustąpić. Jego nos, ogromny i wilgotny, przez chwilę niespokojnie węszył, po czym jego właściciel uniósł się do góry i oparł przednie łapy na kolanach Abby, starając się za wszelką cenę dosięgnąć szklanki. Abby jęknęła, widząc, jak dokumenty, które przed chwilą przeglądała, rozsypują się na trawie. Wyprostowała się, usiłując zepchnąć psa z kolan, jednak wcale nie było to łatwe.

- Miły piesek, dobry piesek - powtarzała, usiłując go udobruchać. - Zabieraj się z moich kolan, ty wstrętny kundlu - nie wytrzymała.

W końcu doszła do wniosku, że zwierzę nie ustąpi, dopóki nie wypije reszty płynu. Klnąc pod nosem, opuściła rękę. Może jeśli da mu ten cholerny sok, pozbędzie się wreszcie bydlaka. Trzymała teraz szklankę tuż pod pyskiem psa, który ze spokojem znowu zabrał się do opróżniania jej zawartości. Ogromny, czerwony jęzor przesuwiał się po ściankach naczynia z nieprawdopodobną szybkością, a potężne łapy wbijały się w gołe udo Abby, która na próżno starała się od nich uwolnić.

- Gdzie jest twój pan? - zapytała bezradnie. - Czyżby nie wiedział, że w tym mieście psom nie wolno chodzić bez smyczy?

Brwi bestii poruszały się w górę i w dół, jakby udzielały w ten sposób odpowiedzi, ale smakowite chleptanie nie ustawało.

- Nie wolno mu dawać niczego słodkiego po piątej. Masz na sumieniu jego kolację.

Słyszając znajomy głos, Abby odwróciła głowę.

Nie myliła się. Tuż za nią stał Riley. Ubrany był wciąż w te same szorty i koszulkę polo, w których widziała go wcześniej. W promieniach popołudniowego słońca, które nadawały jego skórze odcień złotego brązu, wyglądał jeszcze bardziej atrakcyjnie niż zwykle. Obrzucił ją błyskawicznym spojrzeniem i wiedziała, że w ułamku sekundy jego wzrok zdołał zarejestrować nie tylko jej gołe nogi, ale i zarys piersi pod napiętym przez psie łapy cienkim materiałem bluzki. Czują, jak fala gorąca przebiega przez jej ciało.

Zirytowana, chwyciła psa za gęste futro i mocno pociągnęła. Gdy zwolniła uścisk, fałdy futra wróciły na swoje miejsce.

- Ty jesteś właścicielem tego worka skóry? - zapytała szorstko. - Dlaczego nie wytniesz nadmiaru i nie zrobisz z niego przynajmniej kilku płaszczy?

Riley przyklęknął przy leżaku i poklepał psa po łbie. W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Buster, słyszysz, stary? Ona cię obraża. Przegryź jej gardło. Spojrzała na niego spod oka.

- Pewnie by cię to ucieszyło?

- Nie mów głupstw. Pomyśl o tych wszystkich policyjnych formularzach, które musiałbym wypełnić. A biedny Buster skończyłby w areszcie.

Jest teraz tak blisko niej... Zbyt blisko. Chciała się odsunąć, ale to przeklęte bydlę wciąż tkwiło na jej kolanach. Nie mogąc się ruszyć z miejsca, obserwowała twarz Riley'a. Leciutki zarost pokrywał jego policzki, a wzdłuż szczęki biegła niewielka blizna, której wcześniej nie zauważyła. Jego włosy były za długie i sięgały górnej części ucha. Jakże dokładnie pamiętała ich miękkość, gdy odgarniała mu je z czoła...

- No dobrze, Buster. Chyba już wystarczy tego dobrego - rzekła zdecydowanym tonem do psa, spychając go jednocześnie z kolan.

Riley odwrócił głowę i spojrzał na nią z uwagą. Dzieliły ich już tylko centymetry. W jego oczach lśniły wesołe ogniki.

- Kiedyś lubiłaś psy - zauważył.

Z zadowoleniem przyjęła zmianę tematu.

- Lubiłam Rocketa. Co z nim zrobiłeś? Nakarmiłeś nim tę bestię?

- Niestety, pewnie jest już w psim niebie. Miał piętnaście lat, kiedy zapadł w sen. Nie najgorszy sposób, by odejść. Wszystko się kiedyś kończy.

- Tak mi przykro, lubiłam tego psa.

- Nazywałaś go „Kudłaczem”.

- To wcale nie znaczy, że go nie lubiłam. Chyba tego nie zapomniałeś?

Riley milczał i Abby zastanawiała się, czy pamięta te wszystkie cudowne chwile, gdy cała trójka - chłopak, dziewczyna i pies - wyruszyli w świat w poszukiwaniu przygód. Riley na swe trzynaste urodziny otrzymał syberyjskiego husky; od pierwszej chwili zwierzę uznawało za pana tylko jego i nikomu nie pozwalało do siebie podejść. Wyjątek robiło jedynie dla Abby. Właściwie pies polubił ją od samego początku i Riley zaklinał się,

iż Rocket, znacznie wcześniej nawet niż on sam, wiedział, że jego pan ją poślubi.

Biedny Rocket, pomyślała Abby. Zapewne spodziewał się, iż dwójka jego najlepszych przyjaciół okaże więcej rozsądku. Dopuszczenie do tej głupiej wojny zniszczyło lata przyjaźni i miłości...

Odgłos uderzającego o szklane ścianki lodu zdawał się dochodzić z czasów odległych o lata świetlne. Jednak wkrótce Abby znowu wróciła do teraźniejszości. Sok się skończył i Buster patrzył na nią, jakby oczekiwał, że powinna przynieść więcej. Przechyliła szklanekę, i gdy kostki lodu wypadły na trawę, ostrożnie postawiła ją na ziemi.

- To wszystko, stary. Teraz możesz już sobie iść.

Ale zwierzę nie ruszyło się z miejsca, a jego łagodne oczy patrzyły na nią z wyrzutem.

- Nie siedź tak! - zawołała do Riley'a. - Pomóż mi się od niego uwolnić. Nie widzisz, co zrobił z moimi papierami?

Riley wstał i pochyliwszy się nad ogarem, zaczął ciągnąć za fałdy futra, które zdawały się nie mieć końca.

- Chodź, Buster. Jesteś wyjątkowo paskudnym psem.

Zwierzę, jakby wyczuwało, że wkrótce zostanie zmuszone do opuszczenia wygodnego miejsca, szybko usiadło tuż przy nogach dziewczyny, ale łapy wciąż trzymało na jej kolanach.

- Nie zabrzmiało to specjalnie groźnie - zauważyła Abby ironicznie, jednocześnie nie przestając napierać na ścianę psiego futra.

- Zazwyczaj zachowuje się lepiej.

- Oczywiście - mruknęła.

Nagle podskoczyła do góry, jakby coś ją sparzyło. Riley trzymał jedną z łap Bustera i kiedy zwierzę szamotało się, chcąc

pozostać tam, gdzie było, ta właśnie łapa nieoczekiwanie znalazła się między udami Abby. Razem z ręką Riley'a.

- Mógłbyś uważać!

Natychmiast cofnął rękę.

- Przepraszam. Staralem się pomóc.

- Cóż, nie pomogłeś - mruknęła, czując, że się czerwieni. - Czy nie możesz czegoś w końcu zrobić? Znęcić go czymś? Obiecuj na przykład, że sprowadzisz mu panią ogarzycę. Cokolwiek.

Kiedy Riley się roześmiał, zawołała z furją:

- Co cię tak rozbawiło?

- Pani ogarzyca nie pomoże. Buster jest wykastrowany.

Jęknęła. Usiłując zachować chociaż resztki powagi, dała spokój psu i lodowatym głosem powiedziała:

- To daj mu stek. Chyba jada mięso?

Buster, jakby wyczuwając, że Abby znajduje się u kresu wytrzymałości, podniósł łeb i oparł go na jej brzuchu, po czym wysunął ogromny jęzor i polizał ją po rękę.

Riley patrzył na tę scenę z najwyższym zdumieniem.

- Coś takiego! Myślę, że się w tobie zakochał.

- Nie powinieneś się temu tak bardzo dziwić - zauważyła, gładząc łeb Bustera. - Psy mnie lubią, a one się znają na ludziach.

Riley pokręcił głową z niedowierzaniem i mruknął:

- W przeciwieństwie do ludzi, którzy w ogóle tej umiejętności nie posiadają.

Udała, że nie słyszy. W milczeniu obserwowała, jak Riley usiłuje ściągnąć psa z jej kolan, starając się nie dopuścić do dalszych spustoszeń wśród rozrzuconych dookoła dokumentów.

- Myślę, że niczego już więcej nie zniszczy. Zostaw go w spokoju - powiedziała. - Jeśli nikt go nie będzie szarpał, może w końcu sam odejdzie.

- Może. - Riley wyprostował się i skrzyżowawszy na piersiach ramiona, dodał surowo: - To uparte, leniwe stworzenie powinno pamiętać, kto płaci za jego żarcie.

- Czy myślałeś kiedyś o jego tresurze?

- Spróbuj go zmusić!

Roześmiała się. Nietrudno było wyobrazić sobie Bustera, ciągniętego po ziemi przez zadyszanego i klnącego Riley'a. Biedny facet. Jeszcze nigdy nie widziała, aby ktoś był aż tak manipulowany przez swego ulubieńca. Popatrzył na nią i w jego oczach pokazały się wesołe iskierki, pierwsze szczerze oznaki przyjaźni, jakie jej okazał po przyjeździe.

Pokręciła głową.

- Och, Riley, nie masz ręki do zwierząt. Pamiętasz tę głupią papugę, która niemal nie oderwała ci palca? A ten niesamowity chomik, który potrafił wydostać się z każdej klatki, chociaż za każdym razem zaklinałeś się, że więcej mu się to nie uda?

- Houdini. - Riley uśmiechnął się od ucha do ucha. - Tak, doskonale go pamiętam. Po kilku miesiącach poważnie się obawiałem, że mama mnie zamorduje, jeśli ten wścibski stwór nie przestanie myszkować po kuchennych zakamarkach. Zaczynałem już nawet podejrzewać, że dysponuje jakąś tajemną siłą.

- Prawda jest taka, że nawet Rocket cię nie słuchał.

- Rzeczywiście. Najczęściej robiłem to, czego on chciał.

Wspomnienie tamtych dni zmieniło jego twarz. W promieniach zachodzącego słońca wyglądał teraz, jakby nagle ubyło mu lat, jak mężczyzna, w którym przed laty się zakochała.

- Byłaś jedyną osobą, od której przyjmował jakiekolwiek polecenia. Gdybyś mu kazała przynieść księżyc, zrobiłby to bez wahania. Rocket był na twoim punkcie tak samo zwariowany jak ja.

Uśmiech nagle zamarł jej na ustach, jak aktorce, która właśnie otrzymała wiadomość, że nie przyznano jej Oscara. W milczeniu patrzyła na Riley'a, walcząc z falą uczuć, która tak nieoczekiwanie nią owładnęła.

Blade światło rzucało cień na jego twarz. Nie miała wątpliwości, że tak samo jak ona był zaskoczony kierunkiem, w jakim potoczyła się ich rozmowa. Co oni zrobili? Zapomnieli o wzajemnych urazach i cierpieniu i zdecydowali się na grę „Pamiętasz, jak...”

- Riley... - zaczęła i urwała.

Co mogłaby mu właściwie powiedzieć? Ze tęskni za tam- tymi chwilami intymności? Że chciałyby, by wróciły? Może podświadomie tak pokierowała rozmową, by wrócić do przeszłości, kiedy ich wzajemne stosunki miały w sobie tyle fascynacji? Do przyjaźni, do zaufania... i idealnego zrozumienia między dwojgiem ludzi, którzy są sobie tak bliscy i tak ściśle związani, że żadne z nich nie może sobie nawet wyobrazić życia bez drugiego.

Nie. Nie mogłaby tego powiedzieć.

W pewnej chwili Riley schylił się, żeby pozbiierać dokumenty, które zsunęły się z kolan Abby. Na jego kamiennej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Rzucił okiem na widniejący na jednej z kartek nagłówek.

- Marilyn Broadhurst contra Harlan Driggs - przeczytał beznamiętnym tonem, tak znakomicie pasującym do wyrazu jego

twarży. - Kolejna głośna sprawa, dzięki której twoje zdjęcie znajdzie się na pierwszych stronach gazet?

- Pewnie tak, jeśli ją przyjmę - odrzekła sucho, biorąc do ręki plik papierów. Że jej nie przyjmie, wiedziała, zanim jeszcze zjawił się przy niej Buster i nie mogła pojąć, dlaczego Riley'a o tym nie poinformowała.

- Chcesz powiedzieć, że nie przyjmiesz? - zapytał z ironią. - Sława, fortuna, władza... Dziewczyna z małego miasteczka, która robi ogromną karierę w wielkim mieście...

Urwał nagle i z wyrazem dezaprobaty odwrócił twarz. Oddychał ciężko, jakby gonił za czymś, co wciąż mu ucieka. Abby poczuła się dotknięta jego słowami.

- A ty? - spytała chłodno. - Co właściwie tu robisz poza tym, że pozwalasz swojemu głupiemu psu na tak kretyńskie zachowanie? Jeśli przyszedłeś zobaczyć się z tatą, to jest w domu.

- Rodzice ci nie powiedzieli? - zdziwił się Riley.

- Nie powiedzieli mi czego?

Riley podszedł do szpaleru oleandrów.

- A więc niespodzianka - rzekł spokojnie. - Mieszkam w sąsiednim domu.

Gdyby nie rozwalony na jej kolanach Buster, z pewnością zerwałaby się na równe nogi.

- Jak to, w sąsiednim domu? Przecież mama mi powiedziała, że kupił go Hunter.

- To prawda. Ale niedawno przeniósł się do Waszyngtonu i teraz ja opiekuję się tym domem. Jesteśmy sąsiadami.

Czuła się jak sparaliżowana. Riley w domu tuż obok?

- Wspaniale - zauważyła bez odrobiny entuzjazmu.

- Spróbuj nie być aż taka szczerą.



- Taka szczerza jak ty, gdy dawałeś reprimendę Busterowi? Przyjmij, że jesteśmy kwita.

- Tak uważasz? - zapytał. - Bo ja nie.

Buster, jakby wyczuł, że coś złego wisi w powietrzu, zsunął nagle łapy z kolan Abby i machając ogonem, zbliżył się do Riley'a. Po chwili zaczął potrącać łbem jego rękę, głośno przy tym sapiąc, jakby chciał w ten sposób zwrócić na siebie uwagę swego pana. Riley podrapał psa po łbie, po czym, klepnąwszy go w siedzenie, surowo zawołał:

- Idź do domu, Buster, i nie waż się tu więcej pokazywać. - Po chwili odwrócił się do Abby i spokojnie dodał: - Postaram się, żeby więcej cię nie niepokoił.

Nagle stał się bardzo oficjalny, a jego oczy - chłodne i nieruchome - przypominały oczy kobry. Zupełnie go nie poznawała. Nie było w nim nic z tamtego mężczyzny, któremu niegdyś oddała serce.

Obserwowała, jak powoli się oddala i po chwili niknie w zapadającym zmierzchu.

### 3

- Riley, czy ty mnie słyszysz? Usłyszawszy zniecierpliwiony głos kobiety, Riley wrócił na ziemię i odetchnawszy głęboko, podniósł głowę znad rejestru. Uśmiechnął się do Janet, która rozłożyła się ze swoją pracą na przykrytej dywanem podłodze magazynu. Pomimo siódmego miesiąca ciąży siedzenie ze skrzyżowanymi nogami wciąż nie sprawiało jej trudności. Wokół niej leżały sterty bajecznie kolorowych przynęt dla ryb.

- Słyszę każde słowo, siostrzyczko - odrzekł, ale nie było nic bardziej odległego od prawdy. Katalogowanie dostawy sprzętu wędkarskiego było czynnością mechaniczną, tak więc tego ranka myśli Riley'a błądziły zupełnie gdzie indziej.

Janet spojrzała na brata podejrzliwie.

- Ile sztuk ostatnio wymieniłam? Chodzi mi o pozycję z katalogu nr 46630.

- Tuzin - zaryzykował.

- Dwa tuziny - poprawiła go. - Widzisz? Wcale nie słuchasz.

- To dlatego, że za wolno liczysz.

- Piętnaście minut temu powiedziałeś, że za szybko.

Spojrzał na nią pojednawczo.

- Może by więc tak coś pośredniego?

Janet była od niego starsza o siedem lat. Miała już za sobą burzliwy okres dojrzewania swojej córki Deborah i w równym stopniu nagłą co niedorzeczną decyzję swojego męża, by zrezygnować z pracy programisty komputerowego i przekwalifikować się na zawodowego instruktora kajakowego. Przeżyła nawet ingerencję matki w to, jak powinna urządzić

pokoik dziecinny. Janet zawsze była bardzo uparta i Rileyowi nigdy nie udało się jej do niczego zmusić.

Teraz oparła na biodrach zaciśnięte w pięści dłonie i spojrzała na niego tak, jakby miała zamiar powiedzieć coś na temat bezsensu poświęcania się dla kogoś, kto nie potrafi tego docenić.

- Wiesz co? Mogłabym, nie czekając, aż zjawi się Mac, zostawić cię z tym spisem i pójść kupić dziecinny wózek.

Riley z rezygnacją podniósł do góry ręce.

- Przepraszam, masz rację. Oddałem się marzeniom.

- Powiedziałabym, że było to coś więcej - zauważyła, patrząc na niego spod oka. - Od czterdziestu pięciu minut gapisz się na ten spis, jakby cię zęby bolały. Co się dzisiaj z tobą dzieje? Jesteś tak samo naburmuszony jak Lew, kiedy mu oznajmiłam, że w pokoju komputerowym mam zamiar urządzić pokój dziecinny.

- Nie jestem naburmuszony.

- Tak samo jak ja nie jestem w ciąży - mruknęła, usiłując jednocześnie podnieść się z podłogi. Riley automatycznie zsunął się z taboretu i wyciągnął rękę, aby jej pomóc. Zauważył, że stopy Janet były obrzmiałe, a oczy podpuchnięte z braku snu. Nie skomentował tego jednak. Kobiety w ciąży zdają się tracić poczucie humoru wprost proporcjonalnie do powiększania się ich obwodu w talii, a jego siostra miała czterdzieści lat i była właśnie w ciąży - zasługiwała więc na szczególne względy.

Otworzyła drzwi wiodące do biura Riley'a i po chwili dobiegł stamtąd charakterystyczny odgłos otwieranej i zamykanej lodówki, po czym ponownie zjawiła się w magazynie z butelką wody w rękę. Wziąwszy do ust duży łyk płynu, skrzywiła się z niesmakiem.

- Boże, jak ja tęsknię za kawą. Czuję, że dłużej tego nie wytrzymam. Jeśli Lew junior szybciej się nie urodzi, jak gangster zakryje twarz chustką i zorganizuje napad na Bennie's Diner. Zapach ich kawy rano jest dla mnie czymś najcudowniejszym na świecie.

Riley nie odezwał się. Dla niego i Abby, Bennie's Diner miało szczególne znaczenie, ale od czasu, gdy ich związek się rozpadł, konsekwentnie unikał tego miejsca. Zdawał sobie sprawę, że postępuje głupio i sentymentalnie, było jednak tyle innych lokali, gdzie mógł się napić kawy i gdzie nie prześladował go duch Abby, siedzącej przy ich ulubionym stoliku.

Z pozornym zainteresowaniem obserwował widok przez wychodzące na portowe nabrzeże okno. Chmury wrzeszczących mew unosiły się nad gładkim lustrem wody, polując na przepływające tuż pod powierzchnią ryby. W pobliżu najspokojniej w świecie drzemał Buster, jakby ten niesamowity ptasi jazgot zupełnie nie robił na nim wrażenia. Riley zabrał go dziś ze sobą, mając nadzieję, że pies się wybiega i po powrocie do domu nie będzie składał wizyt sąsiadom. Riley nie miał ochoty znowu wyciągać go od MacAllisterów. Szczególnie teraz, gdy jest tam Abby.

- Myślałeś o niej? - zapytała nagle Janet.

A więc o to chodzi. Powinien był to przewidzieć, kiedy mówił siostrze, że Abby przyjechała odwiedzić rodziców. Oczywiście, miał nadzieję, że ta informacja nie wzbudzi jej specjalnego zainteresowania, jednak Janet, zawsze w stosunku do brata taka opiekuńcza, uważała, że on i Abby powinni się rozstać. Niezależnie od przyjaźni, jaką niegdyś obydwie panie się darzyły, Janet ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że wszystkiemu winna była Abby.

Jednak Riley nie miał zamiaru o tym dyskutować.

- Nie, skąd ci to przyszło do głowy - skłamał. - Myślałem o tym, że za niecały miesiąc jest otwarcie przystani i że nie dam sobie z tym rady, ponieważ wynajęta pomoc nie chce wykonywać moich poleceń.

Janet roześmiała się i wyciągnąwszy przed siebie ręce, skłoniła się przed Rileyem na tyle głęboko, na ile pozwalał jej wydatny brzuch.

- Wybacz mi, najjaśniejszy panie. Żyję jedynie po to, aby ci służyć.

Uśmiechnął się i pociągnął ją za ciemnoblond koński ogon tuż u nasady karku.

- Wracaj do pracy, niewolnico. Jeśli będziesz posłuszna, pozwolę ci wyjść trochę wcześniej po ten twój wózek.

Dotknęła jego ramienia.

- Riley, jeśli chcesz, moglibyśmy o tym porozmawiać - powiedziała nieoczekiwanie poważnym tonem. - Wiem, że tego nie lubisz, ale...

Pokręcił głową.

- Stało się, Jan. Teraz nie ma już o czym mówić.

- Chciałabym w to wierzyć. Ale jeśli ona zamierza tu zostać i mieszkać tak blisko ciebie, jest bardzo prawdopodobne, że będziecie się spotykać.

- Nie będziemy - odrzekł o wiele bardziej gwałtownie, niż zamierzał. - Nie spędzam wiele czasu w domu, a przystań nie należy do specjalnie atrakcyjnych obiektów, tak więc nie istnieją powody, dla których mogłaby tu przyjść. Poza tym Mac doskonale wie, co czuję.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Nie sądzę, żeby w tej sytuacji mógł ją tu przyprowadzić.

- Być może, ale Abby potrafi czasem być taka przekonywująca...

Popatrzył na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że uważa temat za skończony.

- Jeśli nawet nie wie, to sprowadzę go na ziemię i zrobię solidny wykład.

Janet spojrzała w kierunku wiodącej do przystani ścieżki i uśmiechając się złośliwie, powiedziała:

- Spójrz tylko, profesorze, jakie za chwilę będziesz miał audytorium.

Riley odwrócił się gwałtownie. Do drzwi budynku zbliżał się właśnie Mac, a tuż za nim szła Abby. Miała na sobie zwyczajną kretonową sukienkę, a mimo to wyglądała na znakomicie ubraną. W idealnie wymodelowanej fryzurze każdy włos był na swoim miejscu. Zobaczywszy ją, Riley zaklął pod nosem.

- Nie krępuj się, braciszku - mruknęła Janet. - Moje odczucia są identyczne.

Nie minęło parę sekund i MacAllisterowie, ojciec i córka, stanęli w drzwiach. Rileyowi wystarczyło jeszcze mniej, aby odtworzyć wszystko, co przeżył ostatniej nocy, kiedy na próżno usiłował zasnąć.

Zegar odmierzał ciągnące się w nieskończoność minuty i godziny, a on wciąż gapił się w ciemność, obserwując tańczące na suficie cienie. To było tak, jakby wróciły tamte koszmarne noce, kiedy odzyskiwał przytomność i kiedy bał się zasnąć, aby znowu nie dręczyły go koszmary, w których płomienie pochłaniały jego i całą przystań. Tym razem nie było złych snów, było jednak coś, co również nie pozwalało mu zasnąć i co

sprawiało, że czuł się dziwnie rozdrażniony, jakby tuż pod powierzchnią jego skóry przebiegały jakieś uparte insekty.

Kiedy w końcu o świcie wstał z łóżka z zaczerwionymi i piekącymi oczami, usiadł nad filiżanką kawy i jeszcze raz wszystko dokładnie przeanalizował.

Nie powinien sam siebie okłamywać. To Abby jest powodem jego bezsenności. Pojawiła się na jego drodze, kiedy myślał, że zdołał wreszcie wyrzucić ją ze swego życia - Abby o lśniących, miękkich włosach, oczach zbyt niebieskich, aby mogły być prawdziwe i o zapachu, który tak doskonale pamiętał i który zdawał się nieodłączną jej częścią. Nie. Czas spędzany w jej towarzystwie niesie z sobą zbyt wiele ryzyka, na które on już nie miał ochoty.

Teraz zastanawiał się, czy wyraz jego twarzy jest dostatecznie chłodny i nieprzyjazny i obserwował, jak Abby, idąc za ojcem, mijają podwójne, przeszklone drzwi. Z dezaprobatą spojrział na Maca, ale ten wcale nie wydawał się zachwycony towarzystwem córki.

- Dzień dobry - rzekł Mac takim tonem, jakim niegdyś witał uczniów, wchodząc do klasy.

Riley jednak prawie nie zwracał na niego uwagi. Jego oczy skierowane były na Abby. Trudno mu było się zorientować, o czym myśli, ale spojrzenia, jakie wymienili, zapowiadały otwartą wojnę.

- Dzień dobry wszystkim - rzekła wesoło. - Jaki piękny dzień! Floryda tuż przed letnimi upałami jest cudowna, nie uważacie? - Pytanie musiało być wyłącznie retoryczne, ponieważ, nie czekając na odpowiedź, Abby zwróciła się do siostry Riley: - Janet, jakże się cieszę, że cię widzę. Wiem od mamy, że znowu

jesteś w ciąży. To cudownie! Czy już wiesz, co się urodzi? Chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec - odrzekła krótko Janet, jakby chciała dać odczuć, że ta rozmowa nie sprawia jej przyjemności.

Kochana siostrzyczka, pomyślał Riley, potrafi być taka sympatyczna jak pies broniący swojego podwórka. Przez jakiś czas przysłuchiwał się krótkiej wymianie zdań między obydwiema paniami. Odpowiedzi Janet były chłodne i krótkie, lecz Abby zdawała się tego nie dostrzegać. Jej ostentacyjnie wesoły nastrój zaczynał mu działać na nerwy. Co ona tu właściwie robi? I, co może nawet ważniejsze, jak długo ma zamiar tu zostać? Wydawało się, że tylko w jeden sposób można się o tym przekonać.

- Wystarczy tych uprzejmości - wtrącił gwałtownie. - Co tu robisz, Abby?

Nie wyglądała na zakłopotaną.

- Miałam zamiar odwiedzić kilku przyjaciół z college'u, ale się rozmyśliłam. Spędzę ten dzień tutaj. Może nawet kilka następnych.

- Co takiego?! - zawołał Riley i spojrzał pytająco na Maca.

Starszy mężczyzna z oburzeniem pokręcił głową.

- Nie patrz tak na mnie! To nie był mój pomysł, żeby przyjść tu z niańką.

Abby minęła ojca i energicznym krokiem zbliżyła się do Riley'a. Jej włosy kołysały się jak zboże w podmuchach wiatru. Doskonale pamiętał ich dotyk; dziesięć lat nie było w stanie zatrzeć tych wspomnień. Zaciśnął zęby aż do bólu, chcąc się z tego za wszelką cenę otrząsnąć.

- Tata powiedział mi o swoim ataku serca, Riley - ciągnęła. - Nie jestem pewna, czy jego praca tutaj to dobry pomysł.



Postanowiłam więc, że przed rozmową z doktorem Siedellem sama się tu trochę rozejrzę.

- Doskonale wiem, co mi wolno, a czego nie wolno - burknął stojący za nią Mac.

Riley nie mógł pojąć, do czego Abby zmierza; jednak cokolwiek to było, nie miał zamiaru w tym uczestniczyć. Zrobił krok do przodu, jakby chciał w ten sposób zmanifestować swoją nieustępliwość, ale na niej nie zrobiło to najwyraźniej żadnego wrażenia. Ona również była gotowa do walki. Pomyślał, iż przesłuchując tę kanalię, Paula Lindsaya, jej twarz musiała wyglądać tak samo.

Doprowadzony do ostateczności, zawołał z furją:

- Czy to ma być jakiś żart?

- Nie sędzę - odparła spokojnie.

Patrzył na nią przez dłuższy czas, prawie żalując, że do niej zadzwonił i że w ogóle dzisiaj zjawił się na przystani. W końcu zwrócił się do Janet:

- Siostrzyczko, czy mogłabyś razem z Makiem skończyć inwentaryzację?

Kiedy Janet skinęła głową, chwycił Abby za rękę i pociągnął za sobą. Nie zrobiła nic, by się od niego uwolnić, czując, jak przenika ją fala ciepła.

- Chodź ze mną - powiedział.

Wyprowadził ją na dwór, po czym dalej ciągnął za sobą w stronę podjazdu, mijając sterty desek, puszek z farbą i skrzyń, które przyszły w ostatnim transporcie. Szedł szybko, nie zwracając uwagi, że musiała chwilami biec, aby za nim nadążyć.

- Dokąd idziemy? - spytała w końcu.

- Do twojego samochodu. Mac może zadzwonić, kiedy będzie gotowy wrócić do domu.

Zatrzymała się gwałtownie.

- Nigdzie nie pójde!

Puścił jej rękę i odwrócił się do niej.

- Nie zostaniesz tutaj!

- Tu jest mój ojciec. Mam prawo wiedzieć, w jaki sposób go wykorzystujesz...

- Wcale go nie wykorzystuję. Rozmawiałem z doktorem Siedellem i dobrze wiem, czym może się zajmować.

Rozejrzała się wokół, jakby w poszukiwaniu nowych argumentów.

- Sądząc po tym, co widzę, masz jeszcze dużo do zrobienia, a więc skoro chcesz otworzyć przystań w kwietniu...

Zacisnął pięści.

- Co ty właściwie sugerujesz, Abby? Uważasz, że mógłbym ryzykować życie twojego ojca, żeby tylko dotrzymać terminu?

- Wcale nie. - Po raz pierwszy naprawdę wyglądała na zatroskaną. - Chodzi mi o to, że tata chce ci za wszelką cenę pomóc i że może przeliczyć się z siłami. Nie możesz go przecież przez cały czas pilnować.

- Twój ojciec jest dorosły. Nie potrzebuje cerbera.

- A jeszcze bardziej ryzyka, że nie odzyska zdrowia.

Riley przypomniał sobie, iż nie dalej jak wczoraj rozmawiał o tym z Makiem, ale za żadne skarby nie przyznałby jej racji. W niczym.

- A więc co chcesz zrobić, Abby? - zapytał, krzyżując na piersiach ramiona. - Wyślesz go wraz z matką do jakiegoś domu spokojnej starości i każesz im czekać na śmierć? Mam nadzieję, że teraz będziesz do nich przyjeżdżała częściej niż raz na dziesięć lat.

Słowa Riley'a ją zraniły, ale poranna rozmowa z matką wciąż nie dawała jej spokoju.

- To tani chwyt, Riley. I nie pozbędziesz się mnie w ten sposób - powiedziała spokojnie.

Widziała, jak bardzo się stara, żeby nie stracić nad sobą panowania. Szybko przesunął ręką po włosach, a jego szczęki nerwowo się zacisnęły, jakby chciał zdusić w sobie całą litanię przekleństw. I kiedy po chwili znowu się do niej odwrócił, jego głos brzmiał już zupełnie rzeczowo.

- Mac potrzebuje tej pracy, Abby. Dzięki niej czuje się potrzebny. Dzięki niej ma powód, żeby rano wstać z łóżka. Zamiast go pilnować, dlaczego po prostu z nim nie porozmawiasz? Przekonaj się, co czuje, kiedy nie ma już klasy pełnej dzieciaków, dla których zawsze był autorytetem.

- Porozmawiam, ale muszę mieć również pewność, że nie pracuje ponad siły.

- Wcale tak nie jest.

- Chcę się o tym przekonać sama, nie wolno mi? - Przechyliła na bok głowę, a jej głos ponownie stał się lodowaty i wyzywający. - Dlaczego tak się przed tym bronisz? Czego się obawiasz?

Uśmiechnął się, jakby chciał jej pokazać, że nie jest w stanie go zdenerwować.

- To na mnie nie działa, pani mecenas - oznajmił spokojnie.

- Nie jestem jakimś półgłówkiem, którego podczas przesłuchania bez problemu potrafi pani zapędzić w kozi róg.

- Po prostu chcę zrozumieć. - Zagryzła wargi, starając się nie popełnić błędu przy następnym pytaniu. - To, co było między nami, dawno już umarło, czy tak?

- Umarło? - Zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał pytania albo nie wierzył, że je zadała. - Moja droga, masz rację. Ja to wszystko już dawno pogrzebałem.

Te słowa paliły jak rozżarzone żelazo. Czyżby nie doceniła głębi niechęci, jaką do niej żywił? Niechęci? Nie, to jest coś więcej niż niechęć. Riley nawet nie dopuszczał myśli, że mógłby z nią spędzić chociaż chwilę. Ale teraz, kiedy знаła już prawdę, nie zamierzała się poddać. Czuła się zraniona, ale nie pokonana.

- Posłuchaj, to wcale nie musi być dla nas przykre - powiedziała. - Doskonale wiem, że świadomie nie skrzywdziłbyś mojego ojca. Ale dobrze go znasz i wiesz, że jest straszliwie uparty. Nie chce się pogodzić z faktem, że nie jest już młody i musi trochę zwolnić. Rozmawiałam dziś rano z mamą. Ona bardzo się o niego martwi. Uważa, że specjalnie będzie się popisywał, aby nam udowodnić, że cały ten szum wokół jego serca nie ma najmniejszego sensu. - Bezwiednie dotknęła jego ramienia. - Proszę cię, Riley, pozwól mi zostać chociaż na trochę, żebym mogła uspokoić mamę i oczywiście siebie. Nie było mnie przy nich, kiedy tata miał ten atak, i z pewnością masz rację, że muszę im to wynagrodzić. Teraz już wiem, jak to jest z moim ojcem. Myślałam, że kiedy przyjadę do domu, będziemy mieli dużo czasu dla siebie, skoro jednak on nie ma zamiaru siedzieć w domu, chcę tu być razem z nim.

Kątem oka spojrział na jej palce, które dotykały jego ramienia, i Abby natychmiast cofnęła rękę. Pokręcił głową i suchym tonem rzekł:

- Nie mam czasu roztkliwiać się nad tobą i twoim poczuciem winy w stosunku do twoich rodziców. Muszę się zająć moją pracą, a ty mi tylko w tym przeszkadzasz.

Niezależnie od tonu, jakim to powiedział, Abby czuła, że zaczyna odzyskiwać grunt.

- Dzień, najwyżej dwa - dodała. - Później już nie wejdziesz ci w drogę.

Riley odwrócił się i długo patrzył na lśniąca taflę wody w portowym basenie. Wciąż milczał, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć. Kiedy ponownie na nią spojrzął, na jego twarzy nie było już irytacji.

- W porządku - rzekł. - Możesz tu zostać, jak długo zechcesz, ale na moich warunkach.

- To znaczy? - zaniepokoiła się.

- Chodzi o to - odrzekł z uśmiechem - że przepisy ubezpieczeniowe wymagają, żebyś figurowała na liście płac. A więc, jeśli to akceptujesz, musisz się wziąć do pracy.

- Doskonale.

- Ale to nie jest twoje luksusowe biuro w Bostonie. Nie mam na myśli siedzenia za mahoniowym biurkiem i sporządzania opinii prawnych. Mam na myśli prawdziwą pracę. Ciężką pracę.

- Moje biuro wcale nie jest luksusowe - zaprotestowała. Miała wrażenie, że jest bliska odkrycia, jak daleko Riley zabrnął we wrogości do niej. Z największą wyniosłością, na jaką było ją stać, powiedziała: - Dopóki będę mogła czuwać nad ojcem, mogę nawet rozbijać skały młotem kowalskim, jeśli tego właśnie chcesz.

Znowu się nachmurzył i zastanowiła się, czy to jej zgoda na przyjęcie pracy tak go zaniepokoiła.

- Przyjdź jutro - dodał, patrząc na nią krytycznie. - Jesteś ubrana, jakbyś szła na herbatkę z przyjaciółkami.

- Masz na myśli ten stary ciuch? - Wskazała na sukienkę, której nigdy jeszcze nie miała na sobie i prawdopodobnie nigdy więcej już jej nie włoży. - Zaryzykuję.

- Nie mam zamiaru płacić za szkody.

- Nie mam zamiaru cię o to prosić.

Przez chwilę patrzył na nią tak, jakby ją chciał przewiercić wzrokiem. Nagle odwrócił się i zaczął z powrotem iść w kierunku przystani.

- Chodź. Przedstawię cię twojemu nowemu szefowi.

Dziesięć minut po przekazaniu Abby w ręce Janet, która nie kryła, iż pomysł brata wcale jej nie przypadł do gustu, Riley opuścił magazyn.

Mac, trzymając w ręku malarski pędzel, rzucił córce pełne otuchy spojrzenie i również opuścił budynek. Obie panie zostały same. Przez jakiś czas Janet patrzyła na Abby tak, jakby ta była wybrakowanym koniem wyścigowym, którego właśnie wygrała w pokera.

Coś mi się zdaje, pomyślała Abby, że przyjdzie mi za ten upór zapłacić. Być może za kilka innych przewinień również. Zdecydowana zachować zimną krew, z uśmiechem zwróciła się do Janet:

- A więc, co mam robić?

- Idź do domu - rzekła powoli Janet. Abby westchnęła.

- Przykro mi, spierałam się już o to z Rileyem.

- Ja wcale nie chcę się z tobą spierać. Chcę tylko tego, co jest najlepsze dla mojego brata. Twoja obecność źle na niego wpływa. On na to nie zasłużył.

- Nie zasłużył na co? Ja staram się tylko upewnić, że z moim ojcem jest wszystko w porządku. Od twojego brata niczego nie chcę.

- To dobrze - odburknęła Janet - ponieważ upłynęło dużo czasu, zanim się pozbierał po tym, co mu zrobiłaś i szczególnie teraz, kiedy stracił wszystko, co miał, nie potrzebuje rozgrzebywania starych historii.

- Przykro mi, że tak uważasz - odrzekła Abby. - Kiedyś byłyśmy przyjaciółkami. Aż do tej chwili wierzyłam, że nigdy byś nie pomyślała, że mogłabym świadomie zranić Rileyę.

Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że w oczach Janet pojawił się cień żalu, ale prawie natychmiast jej dawna przyjaciółka odwróciła wzrok, jakby lustrowanie tego, co znajduje się na ladzie, miało dla niej w tej chwili największe znaczenie. Kiedy znowu spojrzała na Abby, jej twarz wydawała się chłodna i bez wyrazu.

- Masz rację - powiedziała. - Nasza kłótnia nie ma sensu, a poza tym Riley zjadłby mnie żywcem, gdyby się dowiedział, że ingeruję w jego sprawy. Proszę tylko o to, żebyś nie komplikowała mu więcej życia.

- Nie mam takiego zamiaru - odrzekła Abby szorstko.

- Teraz daj mi coś do roboty. Najchętniej coś takiego, co umożliwiłoby mi obserwowanie taty.

Janet uśmiechnęła się leciutko.

- Chodź ze mną - rzuciła i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę wyjścia.

Abby podążyła za nią i kiedy znalazły się na zewnątrz, zaintrygowana spytała:

- Dokąd mnie prowadzisz?

Janet milczała aż do chwili, kiedy dotarły do sterty drewnianych belek. Wtedy, wskazując na nie ręką, powiedziała:

- Riley uratował je z pożaru. Chce wykorzystać przy budowie, ale przedtem trzeba usunąć z nich gwoździe. Może tym byś się zajęła?

Abby odetchnęła z ulgą, spodziewając się, że zostanie poproszona co najmniej o wyczyszczenie cysterny po jakichś żrących środkach albo wyszorowanie wszystkich łodzi przy pomocy szczoteczki do zębów. Te gwoździe to nie jest żaden problem. Pomagała ojcu przy budowie domu i wówczas często to robiła. Oczywiście, od tego czasu minęło wiele lat, ale tego się przecież nie zapomina.

- Nie ma sprawy - odrzekła z czarującym uśmiechem.

- Czy mogę używać młotka, czy też wolisz, żebym to robiła przy pomocy własnych zębów?

Janet bez słowa sięgnęła do skrzyni na narzędzia i wyciągnąwszy z niej młotek, wcisnęła go Abby do ręki.

- Mac przez jakiś czas będzie malował zbiorniki na przynętę przy końcu tego doku. - Wskazała ręką w kierunku drewnianego pomostu.

- Doskonale.

Podjąwszy decyzję, Abby nie marnowała czasu. Po raz ostatni spojrzała na swe wypielegnowane paznokcie i sięgnąwszy po najbliższą deskę, zabrała się do wyciągania tkwiących w niej gwoździ, podczas gdy Janet w milczeniu ją obserwowała. Zadanie wcale nie było takie łatwe. Abby musiała ciągnąć parę razy, zanim pierwszy zardzewiały gwóźdź ustąpił.

Jeden załatwiony, pomyślała, ale jest ich tu co najmniej dwa tysiące. O Chryste! Co też mi przyszło do głowy? Kiedy ustąpił drugi gwóźdź, zawołała za oddalającą się Janet:



- Hej! O której lunch?

Ale siostra Riley nie zadała sobie nawet trudu, aby się do niej odwrócić.

RS

## 4

Pozostałą część przedpołudnia Riley spędził w najbliższym składzie gawriur przy projektowaniu latawca na uroczystość otwarcia przystani. Wiedział, że to tchórzostwo, ale za wszelką cenę chciał uniknąć spotkania z Abby.

Im rzadziej ją będzie widywał, tym lepiej, i to zarówno dla niego, jak i dla niej. Powiedział, że może żyć bez niej i żył przez wiele lat. Teraz jednak ona wróciła i niezależnie od starych pretensji, które ożyły, niezależnie od złości, jaką do niej czuł za ponowne wtargnięcie w jego życie, nie mógł zaprzeczyć, że wciąż budziła w nim zainteresowanie.

Chciał wiedzieć, jaka jest teraz, czy dużo w niej zostało z tamtej Abby i, co jest również ważne, czy dawne pragnienie, aby znalazła się w jego łóżku, przestało go wreszcie prześladować. Sądząc po tym, jak szybko biło jego serce, ilekroć Abby znalazła się blisko niego, nic na to nie wskazywało.

To tylko złość, przyjacielu. Tylko złość.

A jeśli nawet jej widok sprawiał, że krew w nim żywiej krążyła, to czy może być w tym coś złego? To przecież wciąż cholernie atrakcyjna kobieta. A on tak długo żył w celibacie...

W ciągu ostatnich kilku miesięcy, kiedy to ciężko pracował, aby się jakoś pozbierać, sprawy seksu odstawił na boczny tor. Nic więc dziwnego, że tak reagował na każdy jej ruch, na przesunięcie koniuszkiem języka po wargach, delikatne pulsowanie skóry pod dotykiem jego palców i na śmiech, kiedy rozmawiali w ogrodzie jej rodziców. I nic dziwnego, że zapomniał, ile w nim nagromadziło się żalu...

Musisz się opanować, Kincaid. Lepiej dla ciebie, abys nie zapomniał. Lepiej, jeśli chcesz szczęśliwie dotrzeć do końca jej wizyty.

To nie była już ta dawna Abby, którą pamiętał z dziecięcych i młodzieńczych lat. To już nie ta dziewczynka, która przysięgała, że jeśli uciekną razem, to zabierze z sobą tylko to, co zmieści się w chusteczce do nosa, i która całowała w pysk jego psa. Nie była już nawet tą studentką, którą pamiętał z college'u. Obszarpane dżinsy i niesforne włosy, byle jak związane w koński ogon, dawno już nie istniały. Ta Abby, która zjawiła się dziś na przystani, wyglądała, jakby zesła ze stron najnowszego żurnalu.

Do tej pory klnie go już chyba na czym świat stoi. Być może już się nawet poddała i poszła do domu. Nie bardzo jednak w to wierzył. Sama przecież powiedziała, że dookoła jest jeszcze tyle do zrobienia. A Janet z pewnością zadba, aby jej podopieczna się nie nudziła.

Prosta zabawa, którą Abby wymyśliła, uratowała ją tego ranka przed popełnieniem głupstwa. Dzięki niej aż do południa przetrwała głód i krótkie załamanie, kiedy około pierwszej niewiele brakowało, a wybuchnęłyby histerycznym płaczem.

Osiemdziesiąt osiem klawiszy w klawiaturze pianina.

Pięćdziesiąt dwie karty w talii.

Dwustudolarowy mandat.

Co jeszcze mogłaby do tego dodać? Wreszcie wyciągnęła ostatni gwóźdź z ostatniej deski i z satysfakcją popatrzyła na zakrzywiony, pokryty rdzą kawałek metalu. Pomimo ogromnego zmęczenia uśmiechnęła się do siebie.

Czterysta trzydzieści osiem cholernych gwoździ w cholernej stercie zbutwiałego drewna. Skończone.

Zrobiła to, nie prosząc o pomoc. Nie miała przerwy na lunch. Nie oddaliła się nawet do toalety. Nie spoczęła, aż u jej stóp wyrosła góra zardzewiałego żelastwa. Zwycięski okrzyk byłby w tym przypadku zupełnie na miejscu, ale Abby nie potrafiła wydobyć z siebie nawet cichego hip hip hurra!

Czuła się jak zbity pies. Bolały ją wszystkie mięśnie. Prawa dłoń, trzymająca najcięższy młot, jaki można było sobie wyobrazić, piekła ją od rozległych pęcherzy, które powstały pomimo rękawic ochronnych. W pewnej chwili jakiś gwóźdź rozerwał materiał i skaleczył jej dłoń. Rana nie była głęboka, lecz obficie krwawiła.

Mijały godziny i nikt się nie zjawiał, aby sprawdzić, jak też sobie radzi. Wyglądało na to, że Janet również o niej zapomniała. Tylko Mac był chyba zadowolony, że ma córkę tak blisko. Jeśli nawet wciąż go irytowało, że zdobyła się na tę krępującą kuratelę, to starał się tego nie okazywać. Od czasu do czasu Abby podnosiła głowę, aby się upewnić, czy wszystko w porządku, i to były jedyne przerwy, na jakie sobie pozwalała. Z tego, co widziała, praca Maca nie należała do specjalnie uciążliwych. Polegała jedynie na zagruntowaniu i pomalowaniu drewnianych boksów w magazynie i metalowych zbiorników przeznaczonych na przynęty. Przekonawszy się, że ojcu nic nie grozi, mogła spokojnie wrócić do swoich gwoździ.

Jej nowy przyjaciel, Buster, kilkakrotnie ją odwiedzał, prosząc o pieśszoty, lecz jego pan nie zjawił się ani razu. Z tego miejsca, gdzie pracowała, nie widać było parkingu, nie mogła więc sprawdzić, czy Riley w ogóle znajduje się jeszcze na przystani.

Mając za sobą najgorsze, odetchnęła z ulgą i z triumfem spojrzała na stertę drewna. Teraz dopiero poczuła, jak

straszliwie jest głodna. Może w końcu zasłużyła na późny lunch? Nawet zatrudnieni przy robotach publicznych więźniowie otrzymują coś do jedzenia.

Pięć minut później wchodziła do magazynu, niosąc torbę pełną gwoździ. Janet, zajęta rozwieszaniem marynistycznych obrazków, zerknęła przez ramię, ale kiedy przekonała się, że to Abby, bez słowa wróciła do swej pracy.

- Gdzie ten poganiacz niewolników, a twój szanowny braciszek? - zawołała Abby, dzwoniąc trzymanym w rękę żelastwem. - Mam tu dla niego prezent.

- Wyszedł. I nie wiem, kiedy wróci.

- Pewnie nie zostawił żadnych instrukcji, czym mam się zająć po przerwie na lunch? Bo to chyba dozwolone?

- Nie zostawił.

- Może ci pomóc? - ciągnęła Abby nieoczekiwanie uprzejmym tonem, który ją samą zaskoczył. - Zawsze byłam w tym dobra.

Janet przerwała rozwieszanie obrazków i odwróciła się do niej. Najwyraźniej coś ją w wyglądzie Abby uderzyło, ponieważ przez jakiś czas uważnie się jej przyglądała. Abby wyciągnęła przed siebie brudną, zakrwawioną dłoń.

- Macie tu coś, co mogłabym na to przyłożyć?

Janet patrzyła na nią w osłupieniu.

- Czy to poważne? - zapytała.

- Nie. Macie tu gdzieś apteczkę?

- W biurze Riley'a. W jednej z szafek nad lodówką. Potrzebujesz pomocy?

Oferta brzmiała szczerze, aczkolwiek trudno było doszukać się w niej entuzjazmu.

- Nie. Dam sobie radę - odparła Abby i przeciskając się wśród stojących na podłodze kartonów i skrzyń, ruszyła w stronę drzwi.

Gabinet Riley'a był nieduży i dosyć skromnie urządzone: szafa na książki, parę krzeseł i proste biurko stanowiły całe jego wyposażenie. Do gabinetu przylegała mała kuchenka. Abby położyła torbę z goździami na blacie i zaczęła otwierać szafki.

Zauważyła, że w szufladach poupychane były różne artykuły biurowe, ale nigdzie nie widziała apteczki. Na domiar złego w pewnej chwili, kiedy oparła rękę na jednej z półek, rana na dłoń zaczęła krwawić i zanim się zorientowała, jasnoczerwone krople spłynęły na nowiutki blat i dywan. Wciąż zdecydowana nie prosić Janet o pomoc, rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś, co powstrzymałoby krwawienie, i w końcu dostrzegła rolkę papierowego ręcznika.

Przyłożyła ręcznik do rany zdrową ręką, przytrzymując ten prowizoryczny opatrunek, po czym przedramieniem odgarnęła opadające na twarz włosy. Bóg jeden wie, co Janet teraz dla niej wynajdzie. A do tego doszło jeszcze jedno zmartwienie: jak się usprawiedliwić z tych plam w nowiutkim biurze Riley'a.

Wyobrażała sobie, jak mógłby zareagować, ale ona nie miała zamiaru czekać. Sama wcześniej mu o tym powie. Nie godzi się na rolę chłopca do bicia. Jeśli Janet i jej kochany braciszek szukają okazji, by wziąć na niej odwet, będą musieli wymyślić coś innego!

W przypływie złości oderwała spory zwój papieru i klnąc, zaczęła wycierać zabrudzenia. Każdy ruch ręki po podłodze wyzwał w niej kolejną serię przekleństw pod adresem Riley'a i jego parszywego charakteru, a każda następna była bardziej wyrafinowana od poprzedniej. Czuła, jak tętni jej w skroniach,

ale z tym większą rozkoszą myślała, że nie istnieją takie tortury, których by temu typowi nie zadała.

- Sukinsyn - wysyczała, zamykając długą listę przekleństw swoim najbardziej ulubionym.

- Ktoś, kogo znam? - zapytał tuż za nią męski głos.

Zerknąwszy przez ramię, zauważyła Riley'a, który oparty o framugę drzwi patrzył na nią z ironicznym uśmiechem. Ileż by dała, by zetrzeć mu z twarzy ten bezczelny uśmiech!

- Zgadnij - odrzekła, nie widząc powodu, dla którego miałyby cokolwiek ukrywać.

Oderwał się od drzwi i spokojnie ruszył w jej kierunku.

- Janet powiedziała mi, że już skończyłaś. Co właściwie ci dała... - Urwał nagle, widząc krew. - Co ci jest? - zawołał z przerażeniem.

- Skaleczyłam się. A na domiar złego nie mogę znaleźć tej cholernej apteczki.

Zaklął pod nosem i podniósł do góry jej rękę. Kiedy usunął papierowy ręcznik, rana znowu zaczęła krwawić; szybko więc przyłożył do niej zwój papieru i lekko go przycisnął.

- Och! - syknęła. - Nie rób tego!

- Chodź tu! - zawołał, ciągnąc ją w stronę umywalki.

- Nie podoba mi się, że tak mną komenderujesz.

- Abby - warknął - przestań się zachowywać jak małe dziecko.

- Przestań mnie traktować, jakbym nim była.

Na jego twarzy nieoczekiwanie pojawiła się skrucha.

- Trzymaj rękę tak, żebym mógł zobaczyć, co sobie zrobiłaś.

Czuła się tak znużona, że już nie protestowała. Riley odkręcił kran, po czym ponownie usunął z jej ręki prowizoryczny opatrunek. Ostrożnie przesunął skaleczoną dłoń pod zimną

wodę, spryskując jednocześnie jej palce mydłem w płynie, aby usunąć maksymalną ilość zanieczyszczeń.

- Jak to się stało?

- Gwóźdź numer dwieście dwanaście nie chciał wyjść.

- Co takiego?

- Jak widać, Janet wiernie wykonuje twoje polecenia.

Przecież musiałeś jej powiedzieć, że ma mi dać nieźle w kość; postawiła mnie więc przed stertą starych desek z czterystu trzydziestoma ośmioma pogiętymi i zardzewiałymi gwóźdźkami.

Nie zareagował na to oskarżenie, ale kiedy pochylił się, by zbadać ranę, mars na jego czole jeszcze bardziej się pogłębił. Krew i brud obficie spływały do umywalki.

- Nie wygląda to znowu tak strasznie. Jak dawno miałaś szczepienie przeciwężcowe?

- Ubiegłego lata.

- Doskonale. Nie muszę się więc martwić, że zeszywniejesz. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Chociaż... mogłoby to mieć pewne zalety.

Chciała mu coś odpowiedzieć, ale zimna woda tak przyjemnie łagodziła ból, a przytrzymujące ją ręce były tak delikatne i czułe...

- Usiądź - powiedział, wskazując stojące przy biurku krzesło.

- Zaraz coś ci na to przyłożę.

- Sama mogę to zrobić - zauważyła, starając się, aby zabrzmiało to w miarę chłodno, ale efekt okazał się dosyć mizerny.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Nie chciałbym jednak, żeby mój gabinet wyglądał tak, jakby ktoś dokonał w nim morderstwa.



No cóż. Mogłaby się oburzać, gdyby istotnie nie krwawiła i gdyby niewiele brakowało, aby zemdlała z wyczerpania. Opadła na najbliższe krzesło i położyła skaleczoną dłoń na brzegu biurka. W tym czasie Riley przeglądał zawartość szafek. Po chwili podszedł do Abby, trzymając w ręku apteczkę. Zamiast zająć miejsce za biurkiem, wziął krzesło i usiadł tuż obok niej. Znużona zamknęła oczy, czekając na opatrunek. Dobrze jest móc tak spokojnie siedzieć. W tej chwili większą przyjemność sprawiłaby jej jedynie długa, ciepła kąpiel w wannie. Co zrobić, by przekonać ojca, że już czas iść do domu? Lada chwila powinien się tu zjawić...

- Do diabła, Abby! - zawołał Riley. - Gdzie ty masz rozum?

Otworzyła oczy. Znowu ujął jej dłoń i dopiero teraz zobaczył, ile było na niej pęcherzy. Z dezaprobatą pokręcił głową.

- Dlaczego nie pomyślałaś o rękawicach?

- W skrzynce z narzędziami znalazłam tylko jedną bawełnianą parę. Biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że i tak miałam szczęście.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że sprawiał wrażenie, jakby czuł się winny. Przez jakiś czas w milczeniu przyglądał się jej dłoniom, po czym, wzięwszy z apteczki tubę jakiejś maści, wycisnął jej zawartość na pęcherze.

Jego ręce były takie delikatne, że prawie nie czuła bólu. Był blisko niej, tak blisko, że niemal czuła na swych palcach strumień wydobywającego się z jego ust powietrza. Oddychała głęboko i bardzo powoli. Miała wrażenie, jakby w jej brzuchu ktoś rozniecał żar. Ostro, tak dobrze jej znany zapach miał w sobie coś niepokojącego, jak wzburzony w podmuchach wiosennej bryzy ocean.

To było miłe, naprawdę miłe. Niemal zapomniała, że to właśnie Riley przekazał ją pod opiekę Janet.

- Przytrzymaj się teraz mocno - polecił, biorąc do ręki dozownik z jakimś płynem. - Będzie trochę piekło.

Skinęła głową i znieruchomiała.

Nagle poczuła przeszywający ból, jakby ktoś nieoczekiwanie ugodził ją nożem. Z jej ust wydobył się cichy jęk. Przymknęła oczy i opuściwszy głowę, z trudem łapała powietrze.

- Spokojnie, spokojnie - powtarzał Riley, jakby chciał ujarzmić rozszalałego konia. - Spróbuj pomyśleć o czymś innym.

Cała wdzięczność, którą jeszcze tak niedawno do niego czuła, ulotniła się gdzieś bez śladu. Teraz patrzyła na niego jak na demona zła, który czerpie przyjemność z zadawania innym bólu.

- O czym myślisz? - zapytał, dmuchając na ranę, aby jak najszybciej wysuszyć płyn.

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

Roześmiał się, ale w jego oczach widać było trochę współczucia.

- A więc co byś dla mnie wybrała: utopienie i poćwiartowanie czy też powieszenie na najbliższym noku rei?

- Nie jestem pewna, czy wiem, co to jest nok rei. Raczej wybrałabym wrzący olej.

- Chyba trochę przesadziłaś - zaprotestował. - Rana wcale nie jest duża, a pęcherze do rana z pewnością przyschną.

- Łatwo ci powiedzieć. - Wykrzywiła usta, patrząc na swoją rękę wciąż uwięzioną w dłoniach Riley'a. - To prawdziwa katastrofa. Poczekaj tylko, co ci zrobi moja manikiurzystka. Nie chciałabym znaleźć się w twojej skórze.

- Upredziłem cię, że to będzie ciężka praca.

- Tak, wiem - przyznała z rezygnacją. - Tata zawsze powtarza, że jeśli coś nie jest trudne, to z pewnością nie można tego nazwać pracą.

Tym razem obydwójce się roześmiali. Czuła, jak pomiędzy nimi odradza się dawna zażyłość, jak w każdym jego dotyku jest coraz więcej pieśczoćy, która sprawia, że serce mocniej zaczyna jej bić.

W pracy zawodowej Abby do perfekcji opanowała sztukę nie ujawniania uczuć, lecz oczy Riley'a zdawały się widzieć wszystko, zaglądać w każdy zakątek jej duszy. Czuła, że się rumieni i tak jak dawniej, kiedy coś ją zaskakiwało, przesunęła koniuszkiem języka po wargach.

Godziny pracy na powietrzu sprawiły, że jej fryzura nie była już taka idealna jak na początku. Riley pochylił się i, podniósłszy do góry rękę, odgarnął z jej twarzy kilka kosmyków. Jego palce wolno przesunęły się wzdłuż linii jej brody. Bezwiednie poddała się tej pieśczoćy.

- Wyglądasz jak półtora nieszczęścia, Abbot - powiedział miękko.

Zamarła. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak ją nazwał. Jego oczy wciąż były poważne, ale po raz pierwszy od swego przyjazdu z Bostonu dostrzegła w nich żal. Coś w głębi niej drgnęło, jakby maleńki nerw w okolicy żołądka, po czym, jak zawsze, kiedy przy niej był, w koniuszkach palców znowu poczuła delikatne mrowienie.

To przecież nie ma żadnego sensu. Wszystkie jego uczucia do niej dawno zostały złożone do grobu. Jak to Riley powiedział? Że dawno już wszystko pogrzebał? Nie wolno jej o tym zapomnieć. Desperacko pragnąc odnaleźć bezpieczny grunt, cofnęła się i powiedziała:

- O to ci przecież chodziło, nie pamiętasz?

Zmarszczył brwi.

- Chcesz w to wierzyć, to wierz, ale bardzo się mylisz. Wcale nie poleciłem Janet, żeby, jak to określiłaś, dała ci nieźle w kość.

Nieoczekiwanie zdecydowała postawić wszystko na jedną kartę.

- Powiedz mi, Riley, czy ty mnie nienawidzisz?

Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Czekaając na odpowiedź, modliła się, żeby zaprzeczył. Mijały denerwujące minuty, ale kiedy w drzwiach pojawiła się siostra Riley, a tuż za nią Mac, na odpowiedź było już za późno.

- Wszystko w porządku? - zapytała Janet, z niepokojem patrząc to na Abby, to na brata.

- W porządku - uspokoił ją Riley. Jego głos znowu był chłodny i bezosobowy.

Podnieśli się i podczas gdy Riley robił porządek na blacie, Mac z niepokojem patrzył na ręce Abby. Troska ojca rozczuliła ją, lecz jednocześnie sprawiła, że czuła się trochę jak dziecko, które ma za mało rozsądku, aby nie wpaść w tarapaty.

- Nic mi nie jest, tatusiu - uspokajała ojca i zerkała kątem oka na Riley, lecz ten zdawał się jej nie dostrzegać. - Jestem nawet gotowa wykonać następne polecenie Janet.

Riley wrzucił pomięty, papierowy ręcznik do kosza na śmieci i odwrócił się od blatu.

- Właściwie moglibyście już pójść do domu. Dochodzi druga. Dostyc się dzisiaj napracowaliście.

Abby spojrzała na niego z ironią.

- Nie musisz tego robić ze względu na mnie.

Wzruszył ramionami.

- To, co Mac pomalował, musi przeschnąć, żeby można było położyć następną warstwę, a Janet od dawna chciała zrobić zakupy dla dziecka. - Pokazał ręką na wielkie pudło stojące tuż obok biurka. - Potrzebuję trochę spokoju, żeby się oswoić z nowym komputerem.

- Jesteś tego pewien? - zapytała Janet.

- Absolutnie.

Nieoczekiwanie dla samej siebie, jakby mówił za nią jakiś uparty chochlik, Abby oznajmiła prowokującym tonem:

- Jutro tu wrócę.

Riley chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym spokojnie powiedział:

- Ani przez moment w to nie wątpię. A więc punktualnie o dziewiątej. Tylko nie zapomnij o odpowiednim stroju.

Danny Osborne cicho wśliznął się przez frontowe drzwi do wnętrza trzypokojowego bungalowu, który on i jego brat Ned od czterech lat nazywali domem. Było późno, zegar wskazywał prawie jedenastą. Zwykle wracał do domu natychmiast po skończeniu pracy na przystani. Wuj Woody nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że tak długo bawił poza domem. A tego właśnie Danny chciał za wszelką cenę uniknąć.

Kiedy rodzice Danny'ego zginęli w wypadku samochodowym w pobliżu Everglades, władze stanowe wysłały jego i Neda do Woodrowa Torrence'a, jedyne ich żyjącego krewnego - wuja ze strony matki - którego właściwie ledwie pamiętali. Mieszkając do tej pory na prowincji, nie przypuszczali, że życie w mieście, nawet tak małym jak Fort Myers, może być zupełnie inne. Wręcz niebezpieczne.

Ich wuj na początku sprawiał wrażenie wesołego, nieco może zbyt impulsywnego mężczyzny, i z entuzjazmem przyjął ich do siebie. Po pewnym czasie chłopcy przekonali się, że kiedy coś nie szło po myśli wuja, te sympatyczne cechy szybko stawały się mniej sympatyczne. Wuj miewał kłopoty z utrzymaniem pracy na budowie. Czasami zbyt dużo pił i wtedy nadchodziły tak zwane złe dni, kiedy nie mógł normalnie funkcjonować, miał kłopoty z pamięcią, i kiedy nie potrafił odnaleźć drogi do domu.

Gdy w końcu udawało mu się do niego dotrzeć, wyładowywał swe niezadowolenie i frustrację na Danny'm i Nedzie. Czasem krzyczał tylko i przeklinał i cała awantura kończyła się rozbiciem kilku przedmiotów o ścianę. Zdarzało się jednak, że wpadał w furję, kiedy chłopcy zupełnie się tego nie spodziewali i nie potrafili w porę zejść mu z drogi.

Szczególnie dotyczyło to Neda, który, mając zaledwie osiem lat, nie potrafił się bronić. Danny'emu serce pękało, ilekroć widział sińce na ciele braciszka, a ostatnio, gdy się to zdarzyło, solennie sobie obiecał, że wkrótce wyzwoli siebie i Neda spod kontroli wuja.

Dziś wieczorem, kiedy zostawił Riley'a na przystani, spędził dwie godziny w bibliotece, wierząc, że jeśli zrozumie, na czym polegają problemy wuja, łatwiej mu będzie się z nim dogadać. Podświadomie czuł, że te problemy tkwią znacznie głębiej, niż mu się początkowo zdawało, i że nie ograniczają się jedynie do kłopotów samotnego mężczyzny wychowującego dwóch nieletnich chłopców.

Jednak większość zawartych w podręcznikach wyjaśnień okazała się dla niego zbyt trudna. Jeden semestr psychologii, który miał już za sobą, nie wystarczył, by mógł zrozumieć, na czym polega różnica pomiędzy depresją maniackalną a

schizofrenią czy paranoją. Wiedział tylko jedno: to, że w miarę upływu lat Woody stawał się coraz bardziej dziwny, gnuśny i niezrównoważony.

Posuwając się w ciemnościach, Danny czuł, jak narasta w nim złość do wuja. W domu panowała kompletna cisza, a na podjeździe nie było ciężarówki. Wyglądało na to, że Woody gdzieś zniknął i że zabrał z sobą Neda.

Zapalił światło i poszedł do kuchni. Na stole widniały ślady po skromnej kolacji: brudny talerz z zaschniętymi resztkami jajeczniczy, kubeczek po mleku, do połowy zjedzona grzanka. Pocieszył się, że wuj przynajmniej pomyślał o nakarmieniu małego.

Szedł na górę, zastanawiając się, gdzie obydwaj się podzieli. Ned o tej porze nie powinien znajdować się poza domem, ale to było takie podobne do wuja - zapomnieć, że mały chłopiec potrzebuje snu.

Przechodząc obok sypialni brata, zmarszczył brwi. Ned nie lubił, kiedy drzwi od jego pokoju były zamknięte. Często dręczyły go koszmary senne i wtedy przybiegał do pokoju brata.

Zatrzymał się, chcąc otworzyć drzwi, ale ze zdumieniem stwierdził, że są zamknięte na klucz.

- Ned, jesteś tam? - Zaniepokojony, zaczął szarpać za klamkę. - Neddy?

Gdy odpowiedziała mu cisza, przerażony zaczął walić pięścią w drzwi.

- Hej, chłopie! Co ty tam robisz?

Po chwili w środku coś się poruszyło i Danny poczuł, że ktoś oparł się o drzwi.

- Kto to? - usłyszał cichutki głos brata.

- A jak myślisz, głuptasie? To ja, Danny.

- Mogę już wyjść? - drżącym głosem zapytał malec. Danny czuł, jak ogarnia go wściekłość.

- Czyżby Woody cię zamknął?

- Uhm. Ale ja nic nie zrobiłem. Naprawdę.

Aby nie przerazić Neda, Danny za wszelką cenę starał się nad sobą zapanować. Oparł głowę o framugę i kilka razy głęboko nabrał powietrza w płuca.

- Dobra, poczekaj, zuchu. Spróbuję znaleźć klucz.

Większość domowych kluczy trzymana była w jednej z kuchennych szuflad, lecz Danny wątpił, by Woody zadał sobie aż tyle trudu, by pilnować porządku. Zamiast do kuchni, poszedł więc do pokoju wuja i kiedy po krótkich poszukiwaniach odnalazł klucz na komodzie, natychmiast pobiegł z nim do Neda.

Klucz był staromodny, zamek trochę się zacinał, ale w końcu drzwi ustąpiły. Ned odsunął się, żeby brat mógł wejść do środka. W rękach ścisnął swoją ulubioną zabawkę, małego, mocno już sfatygowanego pingwinka, którego nazywał Petrie.

Danny pociągnął chłopca w stronę łóżka, gdzie było lepsze oświetlenie. Zauważył, że Ned ma na sobie piżamę, ale na jego łóżku nie było pościeli. Koc i poduszka leżały w kącie pokoju ułożone w piramidę, jakby chłopiec chciał się przed czymś schronić.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Danny, starając się zachować spokój, chociaż żał do wuja ścisnął mu krtań.

Chłopiec skinął głową i zerknął na prowizoryczne posłanie na podłodze.

- Zasnąłem.

- Co się stało?

- Przyszli jacyś faceci. Chcieli, żeby wuj Woody z nimi poszedł. Pani Skyler nie było w domu, nie mogła więc przyjść,



żeby się mną zająć. - Chłopiec ziewnął szeroko. - Woody powiedział, że jeśli zostanę w swoim pokoju i będę grzeczny, zabierze mnie jutro do salonu gier.

Danny'ego wcale to nie zaskoczyło. Woody lubił odwiedzać knajpy ze swymi kumplami z budowy i to, że nie miał gdzie zostawić Neda, nie miało dla niego znaczenia.

- A więc przez cały wieczór byłeś zamknięty?

- Nie wiedziałem, że on ma zamiar mnie zamknąć - odrzekł Ned niespokojnie. - Nie byłem przecież niegrzeczny. Przysięgam.

Danny poklepał malca po plecach, siłą powstrzymując się, aby nie cisnąć czymś o ścianę.

- Wszystko w porządku. Nie zrobiłeś niczego złego. - Poglądził ręką materac. - Połóż się teraz do łóżka, dobrze? Jutro rano trzeba iść do szkoły.

- Danny?

- Tak?

Chłopczyk spuścił głowę. Jego uszy zaczerwieniły się.

- Muszę zmienić piżamę. Nie mogłem wytrzymać.

- Nie mogłeś wytrzymać czego, Ned?

Danny schylił się, chcąc podnieść z ziemi poduszkę i koc, ale kiedy Ned nie odpowiedział, zaniepokojony odwrócił do niego głowę. Buzia chłopca była mokra od łez.

- Drzwi były zamknięte - wyszeptał. - Staralem się wytrzymać, ale nie mogłem...

Teraz dopiero Danny zrozumiał, co malec ma na myśli. Spojrzał na jego piżamkę i zauważył, że spodenki zupełnie przemokły. W tej samej chwili pomyślał, że gdyby teraz dorwał Woody'ego, zabiłby go bez litości. Przyklęknął przy chłopcu i mocno go do siebie przytulił.

- Nie przejmuj się, nic się nie stało. Po prostu się przebierz.

- Czy jesteś na mnie zły?
- Nie.
- A na wujka Woody'ego?
- Też nie.

W pewnym sensie mówił prawdę. On nie był zły. On był wściekły. Jednak doskonale wiedział, że kiedy w końcu drań wróci do domu, nie będzie szukał z nim zwady. Nie dziś i nie jutro. Nie może dać się ponieść nerwom. Ma plany na przyszłość i musi myśleć o tym, by nic nie przeszkodziło mu w ich realizacji.

Przysiadł na skraju łóżka i w milczeniu obserwował, jak chłopiec wyciąga z szuflady czystą piżamę w kowboje na koniach - ulubiony dziecięcy wzór. Uśmiechnął się do siebie. Bracia Osborne wkrótce nie będą już musieli znosić wuja Woody'ego. Nie przejmował się, co na ten temat pomyślą pracownicy Wydziału do Spraw Dzieci i Rodziny. Wiedział, gdzie, zanim osiągnie wiek osiemnastu lat, powinien się schronić i jak się do tego przygotować.

Teraz pozostało mu tylko zrobić wszystko, aby ten plan jak najszybciej zrealizować.

## 5

Następnego ranka w drodze do pracy Riley zdecydował się na coś, czego nie robił od dziesięciu lat. Pojechał do Bennie's Diner na filiżankę kawy.

Był bardzo senny i to prawdopodobnie skłoniło go do podjęcia tej zaskakującej decyzji. Za sobą miał kolejną fatalną noc. Męczyły go straszliwe koszmary, a płytki i bardzo nerwowy sen sprawił, że w końcu uznał się za pokonanego i zanim wzeszło słońce, był już gotów do pracy.

Tak długo unikał tego miejsca, że teraz, kiedy wjeżdżał na parking, czuł się bardzo dziwnie. Ileż to razy wpadał tu z Abby? Ileż wspnianych deserów zjadali w drodze powrotnej z plaży czy też z seansu filmowego, z dala od czujnych oczu rodziców!

Minione lata niewiele tu zmieniły. Mimo że Bennie's położony był daleko od turystycznych traktów, lokal nie narzekał na brak klientów. Kiedy Riley otworzył drzwi, co najmniej pół tuzina gości podniosło głowę, chcąc sprawdzić, kto wchodzi, by po chwili wrócić do przerwanej lektury porannych gazet.

Aranżacja wnętrza też wydawała się bez zmian: cętkowane linoleum na podłodze, boksy z wysokimi oparciami z czerwono-białego winylu, bardzo wygodne, chociaż niespecjalnie gustowne; nawet obrazki na ścianach wciąż były te same.

Jakby na przekór sobie spojrział w kierunku odległego boksu po prawej stronie. To miejsce położone z dala od ciekawskich oczu, z dyskretnym oświetleniem, było wprost idealne dla dwojga zakochanych w sobie dzieciaków z college'u. Chociaż stół był wolny, Riley nie widział powodu, by odgrzebywać przeszłość. Zajął więc miejsce w pierwszym wolnym boksie po lewej stronie.

Kawa zjawiała się przed nim, zanim zdążył złożyć zamówienie. Rudowłosa kelnerka była przyjazna, lecz jednocześnie się nie narzucała. Riley pamiętał ją jak przez mgłę. Chyba nazywała się Dorothy. A może Doreen?

Ujął filiżankę w dłoń, usiłując ogrzać palce, dziwnie zeszywniałe i chłodne. Nagle poczuł się nieswojo. Szmer rozmów mieszał się z brzękiem talerzy jak przed dziesięciu laty. Wszystko wyglądało tak samo, pachniało tak samo. Była tylko jedna różnica i to z jej powodu tak długo tu nie przychodził.

- Czy ja ciebie czasem nie znam, skarbie?

Jak ktoś, kogo gwałtownie obudzono, podniósł do góry wzrok. Tuż przy nim stała kelnerka z dzbankiem kawy w ręku. Riley podał jej filiżankę i kiedy uzupełniła jej zawartość, powiedział:

- Kiedyś często tu zaglądałem. Ty jesteś chyba Doreen?

To, że ją zapamiętał, najwyraźniej sprawiło jej przyjemność.

- Zgadza się. A ty kruchym ciastkiem z truskawkami.

- Nie rozumiem.

- Przepraszam. Stałych klientów pamiętam na ogół po tym, co najczęściej zamawiają. Pamiętam ciebie. Ty i twoja przyjaciółka zwykle siadaliście tam - wskazała ręką odległy stolik - i pochłanialiście ogromne ilości tych ciastek.

Riley uśmiechnął się.

- Bennie był rzeczywiście niezrównany.

- Wciąż urzęduje w kuchni i aktualnie jest moim małżonkiem. Właśnie sprowadziliśmy z Plant City wyjątkowej urody okazy truskawek. Wróc w porze lunchu albo wieczorem na kolację, a przekonasz się, jakie robimy desery. I koniecznie przyprowadź swoją dziewczynę. Założę się, że do tej pory jesteście już małżeństwem, prawda?

- Jakoś nie wyszło - rzucił pozornie obojętnym tonem.

- Och, bardzo mi przykro. Z tego, jak na siebie patrzyliście, wynikało, że nigdy się nie rozstaniecie. Czasem, kiedy pytałam, czy napijecie się jeszcze kawy, miałam wrażenie, że jestem intruzem, który wkracza w wasz intymny świat.

- Byliśmy wtedy tacy młodzi.

Wzruszyła ramionami.

- Wszyscy kiedyś byliśmy młodzi, skarbie. Masz ochotę na jajka?

Pokręcił przecząco głową, po czym obserwował, jak Doreen obsługuje inne stoliki. Jego wzrok jeszcze raz powędrował w stronę odległego boksu. Przypomniwał sobie, jak Abby dzieliła się z nim wspianiałym deserem lodowym, jak podczas kolacji kusiła go co lepszymi kęsami z półmiska i jak podnosiła do ust ogromne, soczyste truskawki, a robiła to w tak niezwykle zmysłowy sposób, że z trudem tylko powstrzymywał się, by nie przeskoczyć przez stół i nie scałować wilgotnej, czerwonej słodyczy z jej ust.

Drażniła się z nim, po czym, kiedy udawał, że ma tego dość, obydwójce wybuchali śmiechem, ponieważ doskonale wiedzieli, jaki jest cel tej gry. Nie musiał się spieszyć. Wiedział, że ma przed sobą wiele lat, kiedy będzie mógł cieszyć się jej ciałem, poznając wszystkie jej tajemnice.

Wszystko wydawało się takie perfekcyjne. Takie... dawno już określone przez przeznaczenie.

Od lat mówili o małżeństwie. Pierwsze miesiące po ukończeniu przez Abby college'u miały być punktem zwrotnym w ich życiu. Riley zaoszczędził wreszcie odpowiednią sumę, aby zrezygnować z pracy u ojca i zbudować własną przystań. Abby mogłaby otworzyć praktykę adwokacką w jakimś małym lokalu

w pobliżu zatoki, gdzie Riley chciał kupić parcelę. W końcu mogliby wybudować dom i założyć rodzinę. Jego plany z pewnością nie były zbyt oryginalne, ale opierały się na wzajemnej miłości, przyjaźni i zaufaniu.

I nagle firma prawnicza z Bostonu zaprosiła Abby na rozmowę. Czekwały tam na nią wspaniałe perspektywy, pieniądze i prestiż, i Riley teraz mógł tylko się śmiać na myśl, jak bardzo był naiwny, gdy wierzył, że Abby mogłaby zrezygnować z takiej szansy.

Wówczas jednak, gdy poleciała na spotkanie z właścicielami firmy, Riley nawet przez chwilę nie wątpił, że wkrótce wróci do Fort Myers. Wyobrażał sobie, jak szefom w Bostonie zrzędną miny, gdy Abby ich poinformuje, że wkrótce wychodzi za mąż, że mężczyzna, którego kocha prawie od zawsze, czeka na jej powrót i że nic nie jest w stanie zatrzymać jej ani minuty dłużej.

Parsknął ze złością, patrząc na stojącą przed nim filizankę. To zdumiewające, do jakiego stopnia człowiek potrafi siebie oszukiwać, kiedy mu na coś bardzo zależy.

Jednak Abby, zamiast przylecieć najbliższym samolotem do Fort Myers, zadzwoniła do niego, informując, że otrzymała propozycję pracy i że poważnie bierze ją pod uwagę. Czy rzeczywiście powinni się tak szybko pobrać? - zapytała. Czy nie lepiej będzie, jeśli trochę z tym poczekają? Przynajmniej do czasu, aż się upewnią, czego tak naprawdę oczekują od życia.

Te pytania kompletnie Rileya zaskoczyły. Czuł, jak narasta w nim ból, złość i chęć zemsty. Wtedy właśnie popełnił pierwszy z całej serii błędów. Śmiejąc się ironicznie, powiedział jej, że wielkie miasto zbyt szybko uderzyło jej do głowy i że najwyższy czas, aby wracała do Fort Myers, gdzie jest jej miejsce.

Natychmiast pożałował swych słów. Zdał sobie sprawę, że Abby mu tego nie zapomni. Nie mógł już jednak niczego cofnąć, nawet gdyby jego duma mu na to pozwoliła.

Jej odpowiedzią było głuche milczenie. W pierwszej chwili pomyślał, że odłożyła słuchawkę. Kiedy się zorientował, że tego nie zrobiła, chciał coś powiedzieć, by uniknąć wyroku, który zdawał się już wisieć nad jego głową, ale zaciśnięte gardło odmówiło mu posłuszeństwa.

W końcu nieopanowana wściekłość, która zawsze go ogarniała, kiedy czuł się przyparty do muru, nie pozwoliła mu wziąć pod uwagę jej sugestii, że porozmawiają o tym spokojnie, kiedy przyjedzie do domu. Dalsza dyskusja nie miała już żadnego sensu. Padło wiele przykrych słów, wiele oskarżeń i bezwzględnych żądań. Ranili siebie nawzajem, boleśnie i głęboko, aż zdawało się, iż nie ma już w nich ani kropli krwi.

W pewnej chwili głosem pełnym łez Abby oświadczyła, że nie ma już o czym rozmawiać. To było zerwanie.

Tak bardzo chciał wierzyć, że to nieprawda. On i Abby czasem się kłócili, ale w końcu zawsze dochodziło do pojednania. Tym razem było jednak inaczej. Czuł, że rany, jakie sobie zadali, nigdy nie przestaną krwawić. Nie mogli już do siebie wrócić.

Następnego dnia dowiedział się od Maca, że Abby przyjęła propozycję pracy w Bostonie. W tej sytuacji dalszy pobyt w Fort Myers przestał mieć dla Rileya jakiegokolwiek sens i kiedy zaproponowano mu pracę w kompleksie hotelowym na Teneryfie, nie wahał się ani chwili.

Tydzień później, wbrew protestom rodziny, był już na pokładzie samolotu.

- Co z tobą, złotko? Wyglądasz, jakbyś był stąd o tysiące mil - rzekła Doreen, kładąc przed nim rachunek.

Uśmiechnął się do niej. Miała miłą twarz, trochę zniszczoną, ale uczciwą.

- Nie o tysiące mil - odparł - tylko o dziesięć lat.
- W porządku. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o nas.

Obiecał wrócić i zostawiwszy hojny napiwek, wrzucił rachunek do kasy fiskalnej. Podczas gdy Doreen, która pełniła również rolę kasjerki, wydawała mu resztę, Riley jeszcze raz zerknął w kierunku znajdującego się w końcu sali stolika. Teraz siedziały przy nim dwie osoby. Widział tylko czubki ich głów, ale był pewien, że to kobieta i mężczyzna. Kobieta miała jasne włosy i przez ułamek sekundy pomyślał, że to może być Abby. Ale gdy nieznajoma przesunęła ręką po włosach, nie miał już wątpliwości, że się pomylił. Jej włosy były znacznie dłuższe i miały trochę inny odcień.

Dosyć tego, pomyślał z niesmakiem. Przestań się zachowywać jak dziecko. Doreen odliczała dla niego resztę. Po chwili, wręczając mu pieniądze, powtórzyła:

- Nie zapominaj już o nas. Dziesięć lat to stanowczo za długo.

Riley uśmiechnął się, ale nie do końca się z nią zgadzał. Czasem dziesięć lat to rzeczywiście za długo, ale czasem diabelnie krótko.

Tego ranka Abby zjawiała się na przystani przygotowana na najgorsze. Nie mogła przewidzieć, co tym razem Janet dla niej wymyśli, ale jeśli nawet będzie to coś gorszego niż wczoraj, wygodne szorty, bawełniana bluzka oraz sportowe obuwie pomogą jej przetrwać. Wprawdzie gorąca kąpiel nie przyniosła takich skutków, jak się spodziewała, ale przynajmniej pęcherze przyschły i rana na dłoni zaczęła się goić. Jeśli to będzie konieczne, stanie do walki.



Nieoczekiwanie nie było żadnej walki. Riley wydał jej kilka szybkich, bezosobowych poleceń; jego głos brzmiał zaskakująco obojętnie i obco. Miała pomagać Janet i Macowi w magazynie. Ponieważ w weekendy nie było zajęć w szkole, zjawił się również Danny Osborne, lecz Abby zdażyła mu powiedzieć jedynie „Cześć”, zanim Riley zabrał go na nabrzeże z miejscami postojowymi dla łodzi, gdzie obydwaj mieli pracować przez cały dzień.

Czuła się jak sportowiec, który w ostatniej chwili dowiaduje się, że z powodu deszczu jego konkurencja została odwołana. Sytuacja wydała jej się zupełnie absurdalna. Z jednej strony obawiała się kolejnego spięcia z Rileyem, z drugiej zaś traktowała je jak fascynujące wyzwanie. Czy to możliwe, aby potrafiła zachować przy nim zimną krew? A on przy niej? Jego ucieczka przed nią być może sprawi, że nigdy się tego nie dowie.

- Mamy dużo roboty - odezwała się Janet. - Musimy się pospieszyć.

Abby cicho westchnęła. Spojrzała na ojca, ale Mac wzruszył tylko ramionami i zbliżywszy się do na wpół skompletowanej wystawy wędek, zaczął rozpakowywać kolejne pudła.

- Mogę robić wszystko - oświadczyła - jeśli tylko w grę nie będą wchodzić gwoździe.

Janet zatrzymała się w drzwiach prowadzących na zaplecze.

- Ja skończę porządki w biurze, a ty możesz pomóc Macowi przy rozpakowywaniu. - Spojrzała na Abby sceptycznie, po czym wolno zamknęła drzwi.

Abby stłumiła w sobie nagły impuls, by wejść za nią do środka. Klótnia z siostrą Riley'a nie ma żadnego sensu. Może nic już nie ma sensu.

- Daj jej czas - dobiegł do niej cichy głos ojca. - Ona nie jest z natury zawzięta. Kiedyś bardzo cię lubiła.

Abby wyciągnęła przed siebie pokryte bąblami dłonie.

- Powiedz to moim rękom.

Pogodziwszy się z koniecznością wyrabiania w sobie cierpliwości i panowania nad sobą, przez jakiś czas pomagała Macowi w inwentaryzacji towarów. To była wyjątkowo nudna praca, a co gorsza, pozostawiała zbyt wiele czasu na myślenie. Zaczęła od analizowania sprawy Lindsaya. Rozważała, czy są jakieś inne drogi, które mogłyby doprowadzić do bardziej satysfakcjonującego zwycięstwa. Nie trwało to jednak zbyt długo. Wkrótce znowu wróciła myślami do Riley'a, a tu nie mogło być mowy o żadnym sprawiającym satysfakcję zwycięstwie. Był tylko ból, złość, a ostatnio doszedł jeszcze żal.

Nie mogąc dłużej usiedzieć na miejscu, oderwała się od sortowania reklamujących Florydę widokówek. Chwilę kraźliwa po pomieszczeniu, po czym podeszła do ogromnych okien. Patrząc w lewo, można było dostrzec stanowiska dla łodzi.

Przy jednym z nich Riley przy pomocy Danny'ego wykonywał ostatnie kosmetyczne zabiegi. Aż do lata setka łodzi, od najprostszych począwszy, a na milionowej wartości jachtach skończywszy, może tu znaleźć schronienie przed morskim żywiołem i spokojnie czekać na powrót ich właścicieli. Oczyma duszy Abby widziała, z jaką łatwością Riley wprowadza je na przeznaczone dla nich miejsca postoju.

Riley kochał łodzie. Prawie tak, jak niegdyś kochał ją.

Niezadowolona z kierunku, w jakim biegły jej myśli, odwróciła się od okna. Czuła potrzebę zajęcia się czymś ciekawszym niż sortowanie widokówek. Janet wciąż tkwiła w

biurze Riley'a. No cóż, chciała, aby zajęła się czymś pożytecznym i Abby przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Wiesz, czego temu miejscu brak? - zawołała do ojca. - Trochę pieprzu. Koloru. Może je udekorujemy?

- Nie sądzisz, że powinnaś to najpierw uzgodnić z Rileyem? Albo przynajmniej z Janet?

Spojrzała na zamknięte drzwi do biura. Powinna zwrócić się do Janet o pozwolenie, ale nie miała złudzeń, że odpowiedź byłaby negatywna albo, w najlepszym wypadku, niezbyt entuzjastyczna. Poza tym, jeśli Rileyowi nie spodoba się jej pomysł, zawsze będzie można to zlikwidować.

- Janet powiedziała, że mam się zająć czymś pożytecznym - zauważyła. - To można różnie interpretować.

- Rozumowanie typowe dla prawnika.

Abby roześmiała się i poszła po drabinę.

Dwie godziny później siedziała na najwyższym szczeblu i krytycznie przyglądała się efektom swojej pracy. Podczas inwentaryzacji w kilku pudłach zauważyła kolorowe żeglarskie flagi i teraz te, które wybrała, przytwierdzone do nylonowych linek, biegły pod sufitem we wszystkich kierunkach. Wnętrze stało się znacznie przytulniejsze i weselsze.

Ponieważ nie pozwoliła ojcu wchodzić na drabinę, poprosiła go, by nawlekał flagi na linki, a sama zajęła się ich przymocowywaniem. Mac, obserwując z dołu jej pracę, uśmiechał się do niej i głośno wyrażał swe uznanie.

Ale jak przyjmie to Janet? - zastanawiała się. A Riley?

Jakby na zawołanie, drzwi biura nagle się otworzyły i w progu pojawiła się Janet. Spojrzała na zegarek, jakby chciała ogłosić przerwę na lunch. Była już prawie przy ladzie, gdy po raz

pierwszy podniosła do góry głowę. Jej oczy ze zdumieniem przesuwają się po niezliczonych, bajecznie kolorowych sznurach.

- No jak? - zapytała Abby, wysuwając głowę spod najbliższej flagi, by móc spojrzeć Janet w oczy. Z niepokojem czekała na jej reakcję.

Lecz zanim Janet zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach wejściowych stanął Riley w towarzystwie Danny'ego. Ze zdumieniem gapili się na udekorowany flagami sufit, Abby zaś z trudem powstrzymywała cisnący się na usta uśmiech. Cała trójka wyglądała jak grupa turystów, która po raz pierwszy podziwia Kaplicę Sykstyńską.

- Ekstra - szepnął Danny.

- Bardzo się to wewnątrz ożywiło, nie sądzisz? - dodał Mac.

Riley pokiwał głową z uznaniem.

- Wygląda wspaniale, siostrzyczko.

Janet rzuciła Abby szybkie spojrzenie, po czym znowu odwróciła się do brata.

- Ale ja... - zaczęła.

Jednak Riley był już w połowie drogi do swego gabinetu.

- Chodź, Danny - powiedział. - Jeśli przywieziesz lunch dla wszystkich, pozwolę ci wziąć mojego jeeпа.

Bez jednego słowa czy spojrzenia w kierunku Abby wszedł do biura, a Danny i Janet weszli tuż za nim.

Abby była szczęśliwa, że dzięki otaczającym ją ze wszystkich stron chorągiewkom może ukryć przed ojcem malujące się na jej twarzy rozczarowanie. Zgoda, zawieszenie tej złożonej kompozycji z chorągiewek trudno by porównać do jakiejś skomplikowanej operacji chirurgicznej. Zapewne nie jest to nawet nic szczególnie oryginalnego, jednak nie można nie dostrzec, że to kawałek dobrej roboty. Riley powinien był okazać

trochę więcej uznania dla zmiany wyglądu magazynu. Mógł przynajmniej przyjąć do wiadomości, że Abby ma w tym swój udział. Kiedy zesłała parę szczebli w dół, Mac, nie kryjąc irytacji, burknął:

- Musimy to wyjaśnić. To przecież był twój pomysł.

Pokręciła głową, nie chcąc dopuścić, by ktokolwiek, nawet jej ojciec, pomyślał, że czuje się dotknięta zachowaniem Riley'a.

- Proszę, tatusiu, nie przejmuj się. Dla mnie to naprawdę nie ma znaczenia.

Mac najwyraźniej miał na ten temat inne zdanie, ale Abby wchodziła już na drabinę z kolejnym sznurem flag. Jedna z linek, widocznie źle umocowana, obniżyła się trochę i Abby musiała poprawić wiązanie. Pochłonięta pracą zupełnie zapomniała o tym, co dzieje się na dole. Nagle z pokoju Riley'a dobiegła ją przytłumiona rozmowa, lecz udawała, że ją to zupełnie nie interesuje. Po chwili Mac zapukał w metalową obudowę drabiny.

- Jadę z Dannym po kanapki - oznajmił. - Czy mogą być z szynką i serem?

- Doskonale. - Zmarszczyła brwi. - Kanapki, mówisz? Nie sądzę, że powinienes...

Podniósł rękę w geście zniecierpliwienia.

- Obiecałem już Rileyowi, że przerzucę się na warzywa. Żadnego mięsa, żadnego majonezu, żadnej przyjemności. Zadowolona?

Uśmiechnęła się z satysfakcją.

- A może byś zrobiła sobie przerwę? Te dwa ostatnie sznury zawiesimy, kiedy wrócę.

Zgodziła się, ale w tej samej chwili, kiedy zamknęły się za nim drzwi, z powrotem wzięła się do pracy. Zupełnie nie miała

ochoty zejść z drabiny i spotkać się z Rileyem twarzą w twarz. Była tu sama, podczas gdy ta dwójka - Riley i Janet - prawdopodobnie spiskuje tam w biurze, jak się jej pozbyć, i to właśnie teraz, kiedy jej biedny ojciec i ten sympatyczny chłopak pojechali po lunch.

Szydząc z własnej głupoty, postanowiła, przynajmniej na razie, zapomnieć o doborowej parze Kincaidów i ze zdwojoną energią zabrała się do poprawiania wadliwie umocowanego sznura. Jeszcze raz okręciła linkę wokół zaczepu, lecz teraz flagi powędrowały za wysoko. Usiłowała manewrować gwoździem tak, by osiągnąć właściwe napięcie sznura, nic to jednak nie dało. W końcu doszła do wniosku, że jedyne wyjście to wbicie gwoźdźcia nieco wyżej. Wzięła do ręki nowy gwóźdź i podniósłszy do góry głowę, uważnie przyglądała się drewnianej belce.

W pewnej chwili poczuła, że ktoś delikatnie dotyka jej łydki. Spojrzała w dół, zastanawiając się, kiedy Janet zdążyła wyjść z biura. Jednak zamiast Janet ujrzała Rileyę. Miał w ręce młotek, który jej ojciec zostawił obok sterty flag i podawał go jej, mówiąc:

- Od wczoraj wiem, że jesteś ekspertem od gwoździ, ale to nie znaczy, że możesz się obejść bez tego.

Poruszyła się niespokojnie. Znajdowała się dobre pół metra wyżej od niego i choćby z tego powodu powinna czuć nad nim przewagę, ale wcale tak nie było. Jego niespodziewane pojawienie się, i to tak blisko, sprawiło, że serce podeszło jej do gardła. Modliła się tylko, aby jej twarz zachowała obojętny wyraz, a głos brzmiał w miarę normalnie.

- No, weź! - ponaglał ją z przekornym uśmiechem. - To naprawdę nie gryzie.

Wzięła od niego młotek i odwróciła się do ściany. Wciąż jednak nie mogła opanować zakłopotania. Wiedziała, że Riley nie

ruszył się z miejsca, że tkwi tam w dole przy drabinie. Czuła się jak na wystawie. Irytowało ją, że jej gołe nogi znajdują się o centymetry od jego rąk i niewiele dalej od jego twarzy. Może powinna zejść z drabiny i poczekać z resztą roboty na powrót ojca? Jednak nie jest to dobry pomysł, zdecydowała. Lepiej, żeby między nimi istniał dystans. Może, jeśli chwilę poczeka, Riley wróci do swego pokoju.

Tak właśnie musi zrobić. Czekanie to przecież jej specjalność. Zabieraj się, powtarzała w myślach, zabieraj się stąd natychmiast.

- Gdzie Janet? - zapytała.

- Została w biurze. Uczy się wprowadzania danych do komputera.

- Dlaczego nie siedzisz tam z nią?

- Bo powiedziała, że ją denerwuję.

Nie tylko ją, pomyślała Abby.

Mijały sekundy. Oparła łokieć na ostatnim szczeblu drabiny i popatrzyła na Riley'a, tkwiącego w tym samym miejscu. Głowę miał przechyloną w jedną stronę, jakby poddawał krytycznej ocenie nowy wygląd wnętrza.

- Wcale nieźle - zauważył. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że z flag można zrobić taki użytek.

- O ile pamiętam, nigdy nie miałeś do tego smykałki. Twoja matka kiedyś mi powiedziała, że wszystko w twoim mieszkaniu pochodzi z domowej wyprzedaży.

- To nieprawda - zaprotestował. - Wiele wspaniałych rzeczy udało mi się kupić w tanich sklepach. Kiedyś musiałem się liczyć z każdym groszem. - Po chwili milczenia dodał: - Potrzebujesz pomocy?

- Nie! - odparła szybko. - Dam sobie radę.

- To prawda, zawsze dawałaś sobie radę. Jednak...

Nagle stanął na pierwszym szczeblu z zamiarem wejścia wyżej. Aluminiowa konstrukcja zatrzeszczała pod dodatkowym ciężarem.

- Co robisz? - zawołała z przerażeniem.

- Chcę ci po prostu pomóc.

Odwrociła się gwałtownie, chcąc zaprotestować, i wtedy złożony na jej ramieniu sznur flag rozwinął się i spłynął na ziemię. Abby zachwiała się, lecz silne ręce Riley'a uchroniły ją przed upadkiem.

Znalazła się z nim teraz twarzą w twarz. Częste wyciąganie do góry rąk spowodowało, że bluzka wysunęła się z szortów i jego dłonie dotykały jej nagiej skóry. Czowała ich siłę i ciepło, które przenikało w głąb jej ciała, sprawiało, że zaczynała tracić nad sobą kontrolę.

- Doceniam twoją troskę, ale nie uważam, żeby to było konieczne - powiedziała.

- Gdybyś spadła, mogłabyś wystąpić przeciwko mnie z roszczeniami i pozbawić mnie wszystkiego, co posiadam.

- Mówisz tak, jakby ktoś naprawdę mógł tego chcieć.

Kąciki jego ust zadrżały.

- Ty to kiedyś zrobiłaś.

Figlarna pieśczoła w jego głosie zdawała się otulać jej ciało jakimś cudownym ciepłem. Opuszkami palców dotykał jej żeber i zastanawiała się, czy wyczuwa, jak niespokojny staje się jej oddech. Wykonała gwałtowny ruch, usiłując się od niego odsunąć. Flagi ponownie zsunęły się jej z ramion i spłynęły w przestrzeń pomiędzy nimi, układając się dookoła drabiny i ich nóg w pokaźną stertę.

- Cholera! - zaklęła.



Zdawało się, że są wszędzie. Połączone w nie kończąca się magiczną rzekę, otaczały ją ze wszystkich stron.

- Jeśli zapłaczą się w jeden wielki węzeł, ty będziesz za to odpowiedzialny.

- Stój spokojnie - odrzekł, wyciągając rękę, aby zdjąć z niej czerwono-niebieską flagę. - Zaraz cię od tego uwolnię.

Jego ręce były długie i zręczne. Pomimo upływu lat jakże doskonale je pamiętała! Pomyślała, że jeśli jeszcze raz poczuje na sobie ich dotyk, to jej równowaga może znaleźć się w prawdziwym niebezpieczeństwie.

Odepchnęła jego dłoń, po czym ostrożnie uniosła do góry nogę, starając się nie wpaść w kolorową pułapkę.

- Odsuń się! Chcę zejść!

- Zaczekaj. Zaraz ci pomogę.

- Nie potrzebuję pomocy - odrzekła pewnym głosem. Odsunął się, jednak wciąż był blisko. O wiele za blisko.

Ostrożnie zdjął żółto-czerwoną flagę, która wyglądała jak przyklepiona do jej bluzki. Abby zrobiła kolejny krok w dół, pragnąc jak najszybciej się od niego uwolnić. Popęłniła jednak błąd, i to jeden z takich, który zwykle powoduje, że najmądrzejszy nawet plan potrafi obrócić się wniwecz. Tym razem Riley w ogóle się nie odsunął i nieoczekiwanie znalazła się z nim twarzą w twarz.

- Chciałbym ci podziękować, że tak zmieniłaś to wnętrze - powiedział cicho.

Było tyle szczerzej wdzięczności w jego spojrzeniu, że nie mogła tego nie zauważyć, ale zdecydowana nie przyznać się, jaką jej to sprawiło przyjemność, zauważyła tylko chłodno:

- Tata ci powiedział.

- Nie, Janet. - Nachylił się i zdjął flagi, które owinęły się wokół jej szyi. - Nie ruszaj się, jeśli nie chcesz zginąć zaduszona przez nie.

- Chciałbyś.

- To nieprawda - zaprotestował. - Masz bardzo bujną wyobraźnię.

- Tylko wtedy, kiedy chodzi o ciebie.

Roześmiał się. Patrzyli sobie prosto w oczy i czuła, że od jego spojrzenia zaczyna się jej kręcić w głowie, chociaż bardzo się starała to ukryć. Składając flagi, Riley pociągnął za linkę, do której były przymocowane, i stojąca na ostatnim szczeblu drabiny Abby, chcąc utrzymać równowagę, wyciągnęła przed siebie ręce. Jej palce kurczowo zacisnęły się na jego rękach, dalej zajętych składaniem flag. Odwrócił głowę.

- Masz rację - rzekł spokojnie. - Rzeczywiście nie potrzebujesz mojej pomocy.

- A więc odsuń się.

Patrzył na nią uważnie, jakby się zastanawiał, co zrobić, po czym, wykorzystując trzymany w ręku zwój, nagle przyciągnął ją do siebie. Z wyrazu jego oczu domyśliła się, jakie są jego prawdziwe intencje, i serce mocniej zaczęło jej bić. Tak dawno nikt jej nie całował. Tak dawno...

Ale to jest Riley, pomyślała z rozpaczą. Nie mogę mu na to pozwolić. Po prostu nie mogę.

Usiłowała odwrócić głowę, usiłowała protestować, ale słowa, zanim zdołały wydostać się z jej ust, zamarły, zduszone jego pocałunkiem.

## 6

Nie rób tego, podpowiadał jej rozum. To błąd, Abby. Duży błąd. Lecz ból, związany z tęsknotą za Rileyem, nagle ustąpił. Jej serce biło szybko i mocno, a płuca zdawały się płonąć.

Chciała go powstrzymać, wiedziała, że powinna, jednak pożądanie pozbawiało ją rozsądku. Musiałaby być kimś zupełnie innym, jakimś niedoścignionym wzorem opanowania, by teraz stłumić zmysły. Być może już za kilka minut będzie tego żałowała, ale w tej chwili... czuła się cudownie.

Jakże doskonale to pamiętała. Dotyk jego warg, te pocałunki, które w jednej chwili potrafiły być takie słodkie i takie szalone. Niewielu było mężczyzn, którzy potrafili tak całować. Właściwie od wielu lat nie spotkała ani jednego. Tyle lat, tyle samotnych nocy, kiedy marzyła o szczęściu, które tak nieopatrnie straciła.

Z góry dobiegł cichy szelest i nagle spłynęła na nich rzeka flag. Pękła jedna z nylonowych linek. To wystarczyło, by oprzytomnieć. Abby przypomniała sobie, że chłodny dystans jest najlepszą metodą, aby jakoś ułożyć sobie stosunki z tym człowiekiem, jedynym zabezpieczeniem jej systemu nerwowego przed denerwującą reakcją na jego obecność.

Gwałtownie odsunęła głowę.

- Nie rób tego - wykrztusiła.
- Dlaczego?

Cofnęła się i oparła plecami o drabinkę, ale kiedy ich wzrok się spotkał, ponownie wpadła w panikę. W jego oczach dostrzegła jakieś diabelskie ogniki, które wydały się jej dziwnie podejrzane. Gorączkowo szukała jakiejś ciętej odpowiedzi, jednak nic nie przychodziło jej do głowy.

- Ponieważ ja tego nie chcę. Czy to tak trudno zrozumieć?

Wciąż nie spuszczał z niej wzroku i czuła, że wcale nie ma zamiaru ustąpić. Rozpaczliwie usiłowała znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. W końcu chwyciła leżące na ziemi flagi i kiedy Riley pochylił się ku niej, jedną z nich szybko wyciągnęła przed siebie, tworząc jakby mur obronny.

Znieruchomiał, ale wojownicze płomyki wciąż tliły się w jego oczach, a usta zdawały się z trudem powstrzymywać śmiech.

- Co cię tak bawi?

Jednym palcem dotknął wzniesionej przez nią przeszkody - żółto-niebieskiej flagi.

- Przepraszam. Trochę śmieszne mi się wydało, że twoją jedyną obroną przede mną jest właśnie to.

- Dlaczego?

- To żeglarski symbol litery K... wzywający do nawiązania łączności.

- To nieprawda - zaprotestowała gorączkowo, chociaż nie miała zielonego pojęcia o sygnałach flagowych.

Wzruszył ramionami, po czym wskazał na przyszytą do materiału maleńką metkę. Jej treść nie pozostawiała żadnej wątpliwości, które z nich ma rację.

- Ja nie to miałam na myśli.

- Jesteś pewna, że nie próbowałaś przekazać mi takiej właśnie wiadomości?

Spojrzała na niego z irytacją. Nie dysponowała jednak argumentem, który zaprzeczyłby jego hipotezie. Zaczęła gorączkowo przerzucać zawieszony na linie flagi w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zetrzeć z jego twarzy ten tak bardzo denerwujący ją uśmiech.

Zmiana kursu na prawo. Pływak w dół. Płynę na dryf-kotwie.

Aha!

Zatrzymała się przy żółto-czarnej szachownicy i wyciągnawszy ją w kierunku Rileya, powiedziała słodko:

- W porządku, Romeo. Jeśli czerpiesz wiedzę ze skrawków materiału, przeczytaj to.

Kąciki jego ust zadrgały w wymuszonym uśmiechu.

- To litera L.

- I...?

- Natychmiast się zatrzymaj.

- No właśnie - powiedziała z triumfem. - Natychmiast się zatrzymaj. I pozwolę sobie jeszcze dodać małe postscriptum: Bo inaczej te flagi nie będą jedyną rzeczą zwisającą z sufitu.

Roześmiał się głośno i serdecznie, po czym uniósł do góry brwi i pokręcił głową z niedowierzaniem.

- To z pewnością nie była ta informacja, która przed chwilą została przekazana przez twoje ciało.

Spojrzała na niego z wyraźną dezaprobatą, nie mogąc uwierzyć, że potrafi być taki bezczelny.

- Moje ciało to nie twoja sprawa.

Wyciągnął rękę, aby dotknąć niebiesko-białej flagi, która okrywała jej ramiona. Wierzch jego dłoni prawie otarł się o jej szyję i Abby poczuła, jak przenika ją fala gorąca.

- Kiedyś była - zauważył spokojnie.

Po przyspieszonym biciu serca zorientowała się, że rozmowa wkracza na niebezpieczną ścieżkę. Była u kresu wytrzymałości, i jeśli Riley się nie zatrzyma, będzie musiała znaleźć jakieś wyjście.

- Powiedziałabym, że ty sam zrezygnowałeś z tego prawa - zauważyła cierpko. - Dziesięć lat temu.

Jego ręka znieruchomiała, ale po chwili wyciągnął ją znowu i flaga z jej ramion zniknęła.

- Myślę, że masz rację. Obydwoje zrezygnowaliśmy wtedy z wielu rzeczy i obywamy się bez nich na tyle długo, żeby za nimi nie tęsknić. - Przesunął palcem po jej brodzie. - Nie uważasz?

- Oczywiście - rzekła szorstko.

- A więc, Abby, dlaczego marzę, żeby cię znowu pocałować? I dlaczego uważam, że ty nie miałabyś nic przeciwko temu?

Miała nadzieję, że jej twarz pozostała niewzruszona. W końcu, zdecydowana wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji z twarzą, powiedziała cicho:

- Nie wiem dlaczego, Riley, skoro obydwójce wiemy, że to do niczego nie prowadzi. Po lunchu powinnam chyba pójść do domu. Tata, jak mi się zdaje, zupełnie nieźle sobie radzi, nie widzę więc powodu, żeby tu wrócić. Kiedykolwiek. - Zwilżyła wargi koniuszkiem języka. - Myślę, że tak będzie lepiej.

Jego twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Z nas dwojga ty zawsze byłaś bardziej praktyczna - powiedział znużonym głosem.

Nagle odwrócił się i odszedł w kierunku biura.

- Trzymaj się, Abby.

Kiedy tego wieczoru po kolacji Abby oznajmiła ojcu, że jutro nie pójdzie z nim na przystań, jego reakcja ogromnie ją zaskoczyła. Przerwał obserwowanie usianego gwiazdami nieba i odwrócił się do niej.

- Dlaczego?

- Powinnam cię przeprosić, tatusiu. Traktowałam cię jak dziecko, ale ty przecież sam najlepiej znasz swoje możliwości. Poza tym, nawet gdybyś chciał o tym zapomnieć, Riley do tego nie dopuści.

- Znudziłaś się - powiedział cicho. Zmarszczyła brwi.

- Co takiego?

Podniósł się z fotela i wciągnął w płuca orzeźwiające wieczorne powietrze.

- Nie jestem dobrym kompanem dla takiego prawnika z wielkiego miasta jak ty.

Roześmiała się, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Tatusiu! Dwa dni temu sam przecież powiedziałeś, że mnie tam nie chcesz. Byłeś tak samo przeciwny temu pomysłowi jak Riley.

- Och, Riley. - Mac machnął ręką, jakby chciał pozbyć się tego argumentu z taką samą łatwością, z jaką magik wyciąga królika z kapelusza. - On musiał się po prostu z tą myślą oswoić. Czy Janet nie przyznała, że twój pomysł z flagami okazał się lepszy niż cokolwiek, na co sama by wpadła? Czy nie pytała o twoje inne sugestie?

- To wcale nie znaczy, że mnie tam chce. A jeśli chodzi o Riley'a... - Pokręciła głową. - On wciąż ma problem. Nie może się zdecydować, czy godząc się, żebym przychodziła, chce doprowadzić mnie do szaleństwa, czy też...

Całować tak długo, aż obydwójce oszalejemy, przyszło jej nagle na myśl. Na szczęście, zapadający zmrok uniemożliwił ojcu dostrzeżenie rumieńców, które nagle zabarwiły jej policzki.

- Czy też...? - dociekał Mac.

Nagle poczuła wilgoć na palcach, w których trzymała szklankę z mrożoną herbatą.

- Zostawmy to, proszę - rzekła cicho.

Ponownie usiadł w fotelu. Przez chwilę nie rozmawiali. W powietrzu unosił się słodki zapach kwiatów, a z salonu dobiegały nieśmiało dźwięki muzyki, jakby czyjeś palce jedynie dla wprawy przebiegały po klawiszach. Najwyraźniej matka zrezygnowała tego wieczoru ze swych robótek i zamiast tego usiadła do fortepianu.

W milczeniu słuchali jej gry. Z ust Maca od czasu do czasu wydobywały się ciche westchnienia i Abby doskonale wiedziała, że nie mają one nic wspólnego z muzyką. Nie było w nich ani satysfakcji, ani zadowolenia, a jedynie frustracja.

Odwróciła do niego głowę.

- Jeżeli nie przestaniesz, pójdę do domu.

Nawet nie udawał, że nie rozumie. Z nagłą determinacją wyprostował się i wyrzucił z siebie:

- Do diabła, Abigail. Czy chcesz, żeby twój ojciec cię błagał?

Tym razem to Abby się wyprostowała.

- Błagał mnie o co?

- Wracaj ze mną jutro na przystań.

- Chyba żartujesz?

- Mam poważne powody, żeby cię o to prosić.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Czy mają one coś wspólnego z zamiarem ponownego połączenia mnie i Rileyę?

- To chyba nie byłoby takie złe, nie uważasz?

Myślami wróciła do tego ranka, gdy ręce Rileyę dotykały jej ciała i gdy jego usta szukały drogi do jej ust. Pomyślała, jak łatwo mogłaby wrócić do tych chwil i jak bardzo by to było nierozsądne.



- Nie, to wcale nie byłoby złe - odrzekła spokojnie. - To byłoby katastrofalne.

- No cóż, nie mam zamiaru zaprzeczać, że twoją matkę i mnie bardzo by to ucieszyło. Jesteście dla siebie stworzeni. Ale to nie jedyny powód, dla którego chciałbym, żebyś wróciła.

Milczała, bojąc się zapytać, co ojciec trzyma w rękawie.

- Mam nadzieję, że tym razem będzie to coś dobrego.

Usadowił się w fotelu tak, by widzieć jej twarz, po czym opuścił głowę, jakby szukał właściwych słów.

- Wiem, że wczorajszy dzień był dla ciebie trudny, ale przecież dziś pracowało się nam dobrze. Przypomniałem sobie stare czasy, kiedy byłaś mała i ubieraliśmy choinkę na Boże Narodzenie, a twoja mama przygotowywała nasz ulubiony napój z grzanego wina. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo mi było ciebie brak. - Uśmiechnął się i nagle w bladym świetle jakby odmłodził. - Oczywiście zdaję sobie sprawę, że musisz wrócić do Bostonu, ale tymczasem byłoby cudownie jak najdłużej być razem.

Pochyliła się ku niemu i ujęła jego dłoń.

- A więc zostań z mamą i ze mną. Weź trochę wolnego. Będziemy cię z mamą rozpieszcząły.

- Nie mogę. Zbliża się termin otwarcia przystani. Riley potrzebuje pomocy, nawet jeśli nie chce się do tego przyznać. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę tam być. - Spojrzał na nią spod krzaczastych brwi. - Jestem pewien, że to wciągnie również i ciebie.

Wstał z fotela i zbliżywszy się do stojącego nieopodal stolika, nalał sobie kolejną filiżankę herbaty. Chwilę w milczeniu wpatrywał się w zawartość naczynia, po czym znowu odstawił je na bok.

- Co sądzisz o Dannym?

Pytanie było tak zaskakujące, że nie bardzo wiedziała, jak ma na nie zareagować.

- Prawie go nie znam - odrzekła po chwili. - Dlaczego pytasz?

Rozejrzał się po ogrodzie, po czym nieoczekiwanie poważnym tonem oznajmił:

- Uważam, że coś niedobrego dzieje się w jego domu. Coś bardzo niedobrego. Tydzień temu pracowaliśmy razem przy nabrzeżu i zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy z upływu czasu. Kiedy Danny zorientował się, że jest już po szóstej, wpadł w straszną panikę. Z przerażeniem powtarzał, że musi jak najszybciej dostać się do domu.

- Może ma surowych rodziców.

- Jeśli tak, to dlaczego nigdy nie zadzwonią ani nie przyjdą sprawdzić, co robi? Poza tym Danny nigdy się na nich nie skarży i natychmiast milknie, kiedy ktoś go zapyta o dom.

- Nie każda rodzina musi mieć od razu jakieś problemy, tatusiu. Może on nic nie mówi, ponieważ nie ma o czym mówić, albo dlatego, że jest z natury skryty.

- Nie jest skryty. Uczyłem wielu takich jak on i stąd doskonale ich znam. Ale w tym przypadku doświadczenie starego belfra jakoś na nic się nie zdaje. - Wrócił do stojącego naprzeciw niej fotela. - Znasz chyba wiele spraw dotyczących przemocy w stosunku do nieletnich? Co możesz na ten temat powiedzieć?

Pokręciła głową.

- Tatusiu, istnieje ogromna różnica pomiędzy niezbyt szczęśliwym domem a domem, gdzie stosuje się przemoc. Lata dorastania są niezwykle trudne dla rodziców...

Mac podniósł rękę w geście zniecierpliwienia.

- Doskonale o tym wiem, Abigail. Twoja matka i ja mamy już twoje dorastanie za sobą. Ale w tym przypadku to coś zupełnie innego.

- Skąd możesz wiedzieć? Nie masz żadnego dowodu... Jeszcze bardziej się ku niej pochylił. Mówił tak cicho, że musiała wysilić słuch, aby zrozumieć jego słowa.

- Dzisiaj, kiedy opuściłaś już przystań, poszedłem do doku, gdzie pracował Danny, żeby mu zanieść coś do picia. Riley wyszedł do zarządu miasta po jakieś zezwolenie i dzieciak był sam. Nie miał na sobie koszuli i tylko dzięki temu ujrzałem coś, co mną do głębi wstrząsnęło. Przez klatkę piersiową chłopaka biegła długa, czerwona pręga. Taka, jaką zostawia pas. Mówię ci, na jej widok zrobiło mi się niedobrze.

- Czy Danny jakoś to skomentował?

- Wyjaśnił, że spadł z motoru. - Jego oczy z trudem przenikały mrok, chcąc spotkać się z jej wzrokiem. - Ale ja moge przysiąc, że widziałem charakterystyczne karby na jego skórze.

- Czy powiedziałeś o tym Rileyowi?

- Nie, on i tak ma wiele zmartwień. Nie chciałem nic mówić do czasu, aż będę miał pewność.

- A więc czego ode mnie oczekujesz, tatusiu? - spytała cicho.

- Masz wiele doświadczenia w takich sprawach. Gdybyś była na przystani, mogłabyś z nim porozmawiać, poobserwować go trochę. - Wzruszył ramionami. - Sam nie wiem. Jeśli Danny ma jakieś kłopoty, nie chcę, żeby musiał je pokonywać sam. To dobry dzieciak, do diabła!

Abby czuła, jak ogarnia ją wzruszenie. Jej ojciec był wprawdzie uparty, ale serce miał najlepsze na świecie. Pomysłała, jakie to szczęście dla Danny'ego, że ma takiego sojusznika.

Wstała, zbliżyła się do ojca i przysiadła na jego fotelu. Po chwili mocno go objęła. Jego pokryte siecią żył dłonie spoczywały na kolanach i Abby, patrząc na nie z czułością, delikatnie wodziła po nich palcami.

- Wiesz - powiedziała cicho. - Po tym, jak ty i mama powiedzieliście mi, że zostałam przez was adoptowana, często wyobrażałam sobie, że mój prawdziwy ojciec jest na przykład gwiazdą Hollywoodu albo też europejskim księciem na wygnaniu czy też światowej sławy sportowcem. Może nawet prezydentem Stanów Zjednoczonych. Bardzo się wtedy tym ekscytowałam. - Spojrzała na niego z ogromną miłością. - Nie potrafię wyrazić, jak nieprawdopodobnie szczęśliwa się czuję i jak bardzo wdzięczna, że ze wszystkich tatusiów na świecie, których mogłabym mieć... mam właśnie ciebie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że jesteś z nami - powiedział Mac drżącym ze wzruszenia głosem.

Pocałowała go w policzek.

- Ja również, tatusiu.

Riley z mieszanymi uczuciami obserwował, jak Mac i jego córka zbliżają się do drzwi magazynu.

Po wczorajszej rozmowie był przekonany, że widzi się z Abby po raz ostatni, i odczuwał z tego powodu niemal ulgę. Nie chciał myśleć o tym, jak bardzo na niego działała, o dreszczu, który elektryzuje jego ciało, ilekroć jej dotyka, ani o tych wszystkich latach, kiedy tak bardzo jej pragnął, a teraz, ponieważ wróciła...

Nie, zdecydowanie nie powinien o tym myśleć. Chciał, żeby wyjechała do Bostonu. Może wtedy będzie mógł o niej zapomnieć, od nowa ułożyć sobie życie. Oczywiście, nie nastąpi to zbyt szybko.

Tymczasem ona ponownie się tu zjawiła. Było coś w jej postawie, energicznym kroku i pochyleniu głowy, co mu powiedziało, że nie przyszła tu po to, by odprowadzić ojca, a następnie spędzić wesoło dzień na zakupach i odwiedzaniu przyjaciół. W wytartych dżinsach, sportowej bluzce i ze związanymi włosami wyglądała jak ktoś, kto ma zamiar wziąć się do pracy. Janet również ją zobaczyła i ze zdumieniem spojrzała na brata.

- Mówiłeś, że ona tu nie wróci.

Rzucił na ladę ostatni spis inwentaryzacyjny.

- Sam się zastanawiam, co ona tu robi.

Nie zważając na wiejący od Riley'a i Janet chłód, MacAllisterowie przywitani się jak gdyby nigdy nic. Abby uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie przykrytą aluminiową folią miskę.

- Mama przysyła lunch dla wszystkich. Wstawię to tylko do lodówki i natychmiast się wezmę do pracy. Dobrze?

Minęła ich, nie czekając na odpowiedź, i weszła do biura. Riley poszedł za nią. Widział, jak przykucnęła przed małą lodówką, usiłując znaleźć wolne miejsce. Musiała wyczuć jego obecność, ponieważ nagle zeszywniała.

Stanął tuż obok niej. Zauważył, jak jej szczęki się zaciskają i jak krew odpływa jej z twarzy. Być może w tej sytuacji czuła się tak samo niezręcznie jak on.

- Czyżbym czegoś podczas wczorajszej rozmowy nie zrozumiał? - zapytał sarkastycznie. - Miałś tu dzisiaj nie wracać, mieliśmy się już więcej nie zobaczyć.

- Okazało się, że to jest bardziej skomplikowane, niż nam się wydawało.

- Mnie wcale nie wydaje się to skomplikowane.

- Tata chce, żebym była koło niego - wyjaśniła. Jej palce machinalnie bawiły się aluminiową folią okrywającą miskę. - Przepraszam, wiem, że jako właściciel ty tu o wszystkim decydujesz, mam jednak nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas będziesz dla niego pobłażliwy.

Nie kupił tego, zbyt naiwnie brzmiącego, wyjaśnienia. A i Abby chyba nie bardzo w nie wierzyła.

- To pomysł Maca, żeby nas znowu zobaczyć razem. - Zmarszczył brwi i delikatnie ujął jej dłonie, które wciąż nerwowo mięły i rozprostowywały folię. - Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Ich oczy się spotkały i dopiero wtedy Riley przekonał się, jak bardzo była zażenowana. Jej chłodne palce leciutko zadrżały.

- Wiem o tym - przyznała. - Powiedziałam zarówno mamie, jak i tacie, że to niemożliwe. Ale dobrze wiesz, jaki jest tata.

- Nie chce się z tym pogodzić?

- Nie... - Spojrzała na ich połączone dłonie. - Ale w końcu będzie musiał. Być może w ciągu kilku następnych dni... - jej głos zadrżał - kiedy się przekona, że z tego, co kiedyś nas łączyło, nic już nie zostało.

- Rzeczywiście nic - przyznał cicho i podniósłszy do góry rękę, zaczął wodzić palcem po kostkach jej dłoni. - Nawet odrobina żaru, którą można by na nowo rozniecić...

Gwałtownie cofnęła rękę, po czym spojrzała na niego chłodno.

- Właśnie. A ciąża Janet jest już tak zaawansowana, że nie ze wszystkim da sobie radę. Moja pomoc może się przydać. - Wstawiła plastikową miskę do lodówki, po czym zamknęła drzwiczki, dociskając je biodrem. - Możemy to załatwić w sposób

cywilizowany. Żadnych sporów na temat przeszłości, żadnych wspomnień. Tata wkrótce to zrozumie i wszystko będzie...

- Nudne jak diabli?

- Chciałam powiedzieć w porządku - zauważyła, patrząc na niego z irytacją. - Jeśli ci to nie odpowiada...

- Do cholery! Czy w głębi duszy tego właśnie pragniesz? - zawołał z gniewem.

- To zależy, czy mówimy o twojej, czy też o mojej duszy.

Przez chwilę obserwował, jak pod wpływem uśmiechu na jej policzku powstaje rozkoszny dołeczek. Miał ogromną ochotę wziąć ją w ramiona i znowu całować. Jednak nie zrobił tego.

- Zapytaj mnie za parę dni.

Danny stał przed gablotką z drobnymi przedmiotami z czternastokaratowego złota, tak chętnie kupowanymi przez turystów i załogi jachtów. Klejnoty nie były większe od zegarków, które już wcześniej sobie przywłaszczał. Wiedział jednak, że kradzież ma być nie zauważona; może zabrać jedną, najwyżej dwie błyskotki.

Czuł ucisk w żołądku na myśl o schowaniu tych przedmiotów do kieszeni. Wiedział, że bez problemu mógłby z nimi wyjść. Wiedział, do kogo je zanieść i ile za nie wziąć. Największą trudność sprawiała mu sama myśl o tym, co ma zrobić.

Nie chciał tego. Lubił swoją pracę, lubił Maca i Janet, nawet Abby, która dołączyła do nich zaledwie przed kilkoma dniami.

Lubił i szanował Riley'a Kincaida. Bardzo dużo mu zawdzięczał. Riley uczył go wielu rzeczy i udzielał wielu cennych rad, które z pewnością mu się przydadzą, kiedy skończy szkołę. Poza tym Riley zawsze traktował go jak dorosłego i darzył zaufaniem. Jak może okradać kogoś takiego jak on?

Odpowiedź jest prosta, pomyślał Danny. Musi.

Im szybciej zgromadzi odpowiednie środki, tym szybciej posadzi Neda z tyłu motoru i razem uciekną od Woody'ego. Znowu się pokłócili ostatniego wieczoru. Jak zwykle o jakieś głupstwo. Starał się nie drażnić wuja, ale nie mógł pozwolić, aby ten wciąż traktował go jak dziecko. Nie chciał wykonywać jego poleceń, jeśli nie rozumiał ich sensu. To zawsze doprowadzało wuja do furii. Lecz tym razem w jego zachowaniu było coś jeszcze, czego Danny nie potrafił nazwać.

I to sprawiło, że znowu zaczął myśleć o gablocie ze złotem. Kilka przedmiotów zniknie bez śladu. Przy nawale pracy i ogromnym zamieszaniu związanym z otwarciem przystani nikt tego nie zauważy. A kiedy będzie miał to już za sobą, postara się stworzyć odpowiednie warunki i dom dla Neda. Wtedy zwróci każdego centa.

Nie jest przestępcą. Wszystkie etykiety z przedmiotów, które wyniósł z magazynu, przechowywał pod łóżkiem, w pudełku od butów. To trochę potrwa, ale Riley otrzyma z powrotem każdego pensa.

Rozejrzał się wokół. Riley pracuje przy nabrzeżu, Janet jest u lekarza, a Mac i Abby sadzą przed wejściem krzewy hibiskusa. Widzi ich przez ogromne okienne szyby. Pochyleni nad pełnymi sadzonek taczkami, zawzięcie o czymś dyskutują. Jeśli ma zamiar coś zabrać, to chwila wydaje się wprost idealna.

Trzymając w ręku ścierkę, sięgnął do wnętrza gabloty. Jego palce dotknęły złotych bransoletek efektownie wyeksponowanych na niebieskim aksamicie. Jest ich tyle, że braku jednej czy nawet dwóch z pewnością nikt nie zauważy. Wybrał dwie - skaczące delfiny i wieloryby - po czym wziął je do ręki.



Gwałtowne pukanie do okna sprawiło, że wypuścił bransoletki i podniósł do góry wzrok. Abby mówiła coś do niego przez szybę, ale nic z tego nie mógł zrozumieć. Serce waliło mu jak młotem. Miał tylko nadzieję, że to, co przeżywa, nie odbija się na jego twarzy.

Abby dała mu znak, aby wyszedł na zewnątrz. Skierował się do drzwi, gorączkowo szukając jakiegoś sensownego wyjaśnienia. Lecz kiedy do nich dołączył, Abby spojrzała na niego z miną winowajcy.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam cię przestraszyć. Co o tym sądzisz? - Wskazała ręką na świeże rabaty kwiatowe.

A więc chodzi im tylko o moją opinię, pomyślał Danny. Żadnych oskarżeń o kradzież... Odetchnął z ulgą.

- Jak myślisz? Zrobić jeszcze trzeci rząd? - pytała Abby. - Czy kwietnik nie wygląda za ubogo?

- Wcale tak nie wygląda - zaprotestował Mac. - Doskonale wiem, jak się sady hibiskusy, Abigail. Robiłem to, zanim jeszcze przyszedł na świat.

Danny jednym uchem słuchał ich sprzeczki. Powiedział, jakie jest jego zdanie i umilkł. Obawiał się, że zdradzi go głos. Na razie musi zrezygnować z wyniesienia bransoletek. Ze zdumieniem stwierdził, że wcale go to nie zmartwiło.

Poczucie winy sprawiło, że tak pilnie jak tego ranka Danny nie pracował jeszcze nigdy. Był przy nabrzeżu sam i zajmował się transportowaniem skrzyń ze sprzętem, kiedy dołączył do niego Mac. Mężczyzna obserwował go przez chwilę. W końcu Danny przysiadł na jednej ze skrzyń i brzegiem koszuli otarł pot z czoła.

- Masz ochotę na pizzę? - spytał Mac. - Zbieram zamówienia.
- Myślę, że będę dziś pracował bez przerwy.

Mac uniósł do góry brwi.

- Coś się stało?

- Nie, po prostu chcę to skończyć. A poza tym nie jestem głodny.

Mówił prawdę. Od chwili, kiedy o włos uniknął wpadki, jego żołądek nie był w najlepszym stanie.

- Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek rezygnował z posiłku.

Mac przyglądał mu się uważnie, zbyt uważnie, i zaniepokojony tym chłopak zabrał się znowu do pracy. Tym razem skrzynia okazała się wyjątkowo ciężka i Danny ugiął się pod jej ciężarem, ale wolał już to niż spojrzenie starszego pana.

Nieoczekiwanie Mac chwycił skrzynię z jednej strony.

- Poczekaj, pomogę ci.
- Puść! - zaprotestował Danny. - Dam sobie radę.
- Danny, to dla ciebie za ciężkie. Postaw to.
- Puść!

Mac cofnął się i początkowo Danny pomyślał, że stary po prostu się poddał. Kiedy jednak po chwili odwrócił głowę, zauważył, jak Mac osuwa się na beton. Danny nie myślał o drogim sprzęcie. Po prostu rzucił pudło na ziemię i podbiegł do Maca.

Mężczyzna był nieprzytomny, lecz oddychał. Mała rana tuż nad brwią prawdopodobnie powstała w chwili upadku.

Nie tracąc głowy, Danny zerwał pokrowiec z pobliskiej motorówki i zwinąwszy go w kłębek, podłożył Macowi pod głowę.

- Mac! - zawołał. - Odezwij się, chłopie. Nie było odpowiedzi.

Rozejrzawszy się szybko dookoła, Danny zauważył apteczkę pierwszej pomocy przymocowaną do burty luksusowego jachtu,

który nie dalej jak wczoraj wprowadzili na miejsce postojowe. Wskoczył na pokład, zdjął torbę z lekami i po chwili był już z powrotem przy Macu.

Błyskawicznie otworzył fiolkę z amoniakiem i podetknął ją nieprzytomnemu mężczyźnie pod nos. Mac drgnął i kilka razy zamrugał powiekami. Widząc, że stary zaczyna odzyskiwać przytomność, Danny zrobił prowizoryczny opatrunek z bandaża i delikatnie przyłożył go do wciąż krwawiącej rany.

- Już dobrze - powiedział. - Jestem przy tobie. Czy to serce?

Mac pokręcił głową i zmarszczył brwi.

- Leż spokojnie - rzekł Danny, po czym uniósłszy rękę Maca, położył ją na przesiąkniętym krwią bandażu. - Idę po pomoc. Przyciskaj ręką opatrunek, żeby powstrzymać krwawienie. Zrozumiałeś?

Mac skinął głową i kiedy Danny upewnił się, że mężczyzna rzeczywiście go zrozumiał, biegiem ruszył w kierunku budynku przystani.

Abby siedziała przy komputerze w biurze Riley'a, nie mogąc się jednak skupić na przepływających przez ekran kolumnach cyfr. W myślach wciąż wracała do tego, co się zdarzyło parę godzin wcześniej, kiedy wraz z ojcem sadziła krzewy hibiskusa.

Czy rzeczywiście przyłapała Danny'ego na próbie kradzieży? Czy gdyby wtedy nie zapukała do okna, kilka sztuk biżuterii znalazłoby się w jego kieszeni?

Nie była pewna. Być może to tylko tak wyglądało, że Danny chce coś zabrać. Może tylko ścierał kurze... albo przestawiał wyłożone przedmioty.

Miała jednak poważne wątpliwości.

Kiedy chłopak wyszedł na dwór, wyglądał, jakby czuł się winny. Coś wyprowadziło go z równowagi do tego stopnia, że nie mógł ukryć drżenia rąk. Zdążyła już poznać Danny'ego na tyle, by móc stwierdzić, iż chłopak niełatwo ulega emocjom. Jest cichy, milczący, a w stosunku do dorosłych zawsze bardzo opanowany, nigdy arogancki czy zbyt pewny siebie. Z pewnością nie pasuje do wizerunku nieletniego przestępcy.

Przez te wszystkie dni bacznie go obserwowała. Nie była oczywiście pewna, czy jego ojciec go nie zaniedbuje, ale w Bostonie miała do czynienia z tak wieloma przypadkami przestępstw popełnionych przez nieletnich, że potrafiła stwierdzić, kiedy młodociany zaczyna zdradzać skłonności do zejścia na złą drogę.

Danny nie zdradzał takich skłonności aż do dziś.

Oczywiście, bardzo nie chciała, by się okazało, że ma rację, ale jeśli chłopak planuje coś złego, powinna porozmawiać o tym z Rileyem. Może się jednak okazać, że ta rozmowa jest tylko stratą czasu. Czy Riley chciałby od niej usłyszeć, że być może ma na liście płac złodzieja, i to kogoś, kogo najwyraźniej lubi i komu ufa...

Nieoczekiwanie, jakby go ściągnęła myślami, Riley wszedł do biura.

- Nie wyłączaj komputera! - zawołał, myjąc ręce przy umywalce. - Chcę trochę popracować po lunchu. Gdzie jest Janet?

- Prosiła, żeby ci przekazać, że utarczki z facetem od telefonu przyprawiły ją o ból głowy. Poszła do domu i będzie tu jutro około drugiej.

Roześmiał się i rzuciwszy ręcznik na blat, podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu. Chwilę słuchał w

milczeniu, po czym, krzywiąc się, odłożył ją z powrotem na widełki.

- Znowu nie działa.

- Tego się właśnie obawiałam. Lepiej już chyba było, gdy firma telefoniczna miała monopol.

- Pomijając telefony, wszystko zdaje się zmierzać w dobrym kierunku. Podoba mi się to, co ty i Mac zrobiliście dziś na podjeździe. - Niespodziewany komplement, aczkolwiek niezbyt wylewny, zabrzmiał zupełnie szczerze. - To miejsce rzeczywiście zaczyna wyglądać dobrze.

Odetchnął z satysfakcją i usiadł tuż przy niej za biurkiem. Tak blisko siebie nie byli od dawna i Abby ze zdumieniem stwierdziła, że wcale nie ma nic przeciwko temu. Nacisnęła kilka klawiszy i ekran komputera zgasł. Westchnęła cicho.

Riley odwrócił głowę i spojrzał na nią badawczo.

- Co się stało?

- Obawiam się, że straciłam cały plik - przyznała ze skruchą.

- Zaraz się przekonamy.

Pochylił się nad nią tak nisko, że czuła zapach mydła, którego użył do mycia twarzy. Wyciągnął ręce, chcąc dostać się do klawiatury, ale kiedy uczyniła ruch, by wstać i zrobić mu miejsce, jego dłoń przycisnęła jej ramię.

- Nie wstawaj - powiedział. - To potrwa sekundę. Nie sądzę, żebyś go rzeczywiście straciła. Po prostu niechcący przeniosłaś go w inne miejsce.

Żar jego rąk zdawał się przenikać przez cienką bawełnę jej bluzki.

- Dzięki Bogu - wykrztusiła. - Janet by mi nie darowała, gdyby musiała zaczynać wszystko od nowa.

Uśmiechnął się smutno.

- Ona wcale nie jest taka zawzięta, jak myślisz. Poza tym przyznała, że nie jesteś tu znowu taka zupełnie bezużyteczna.

Obrzuciła go sarkastycznym spojrzeniem.

- Coś takiego! Czy mogę liczyć na podwyżkę?

Przez chwilę patrzył na nią z uwagą. Kąciki jego ust uniosły się w górę, jakby chciał powiedzieć, że słabe są na to szanse, ale to był pierwszy od dawna przeznaczony dla niej uśmiech. Nagle zapragnęła dotknąć palcami jego ust.

Właśnie wtedy komputer wreszcie zareagował na wydane mu polecenie.

- Znalazł się - zawołał Riley. - Dokładnie tam, gdzie go zostawiłaś. Czy jeszcze w czymś mógłbym ci pomóc?

Znalazłoby się parę rzeczy, ale żadna z nich nie miała nic wspólnego z gigabajtami. Pokręciła przecząco głową i Riley wyprostował się. Odruchowo potarł palcami udo w miejscu, gdzie biegła blizna po oparzeniu, jakby w ten sposób pragnął uśmierzyć ból. Wieki temu, gdy byli kochankami, masaże nieźle jej wychodziły. Mogłaby mu pomóc, ale tego rodzaju oferta w obecnej sytuacji zupełnie nie wchodziła w grę.

Odwrociła się do ekranu komputera. Zgubiony plik był znowu na miejscu. Przypomniała sobie, o czym myślała wcześniej. A ponieważ Riley był chyba w dobrym nastroju, może teraz powinna podzielić się z nim swoim podejrzeniem.

- Wciągnęłam do rejestru ostatnią dostawę koszulek - oznajmiła. - Pomyślałam, że mogłabym razem z Janet jeszcze raz wszystko sprawdzić, żeby mieć pewność, że nie popełniłyśmy żadnego błędu. Co ty na to?

Nigdy się jednak tego nie dowiedziała, bo w tej właśnie chwili do biura wpadł Danny Osborne. Był błądy i z trudem oddychał.

- Wezwijcie karetkę! - wykrztusił. - Mac zemdłał.

Sytuacja nie wyglądała dobrze. Najbliższy szpital był daleko, lekarz w izbie przyjęć nie miał zbyt dużego doświadczenia, a doktor Siedell nie mógł od razu przyjechać. Teraz, po spędzeniu wraz z matką trzech koszmarnych godzin w poczekalni szpitala, Abby ogarnęły złe przeczucia. Tak długi okres oczekiwania nie wróży niczego dobrego.

Oczywiście nie mogła powiedzieć tego matce. Musiała udawać, że wszystko będzie dobrze, nawet jeśli śmiertelnie się bała, że będzie zupełnie odwrotnie.

Podczas gdy towarzyszyła ojcu w drodze do szpitala, Riley pojechał po Maggie, obiecując, że postara się przekazać jej wiadomość o wypadku najdelikatniej, jak tylko potrafi. Teraz matka siedziała na winylowej kanapie, tuż za prowadzącymi do izby przyjęć drzwiami. Jej palce splecione były z palcami Abby, a twarz tak blada i zmęczona, że Abby zastanawiała się, czy lekarz również i jej nie powinien zbadać. Leciutko ścisnęła rękę matki.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniała ją, chociaż nie brzmiało to zbyt przekonująco.

Maggie pokręciła głową.

- Nie podoba mi się to, Abby.

- Wiem, mam. Wiem. Ale doktor Siedell z pewnością wkrótce nam coś powie.

Usłyszała kroki na korytarzu i odwróciwszy głowę, ujrzała Rileya i Danny'ego. Szli w ich kierunku, niosąc plastikowe kubki z kawą. Abby wypila już trzy, mimo to zdecydowała się na kolejną. Jej matka upiła niewielki łyk gorącego płynu, po czym odstawiła kubek na bok.

Danny zagłębił się w najbliższym fotelu i zaczął przeglądać jakiś mocno podniszczony magazyn. Mimo że wszyscy namawiali go, by poszedł do domu, chłopak oświadczył, że nie ruszy się stąd, zanim nie dowiedzą się czegoś konkretnego. Abby, chociaż nie mogła zapomnieć o swych wcześniejszych podejrzeniach, musiała przyznać, że chłopak naprawdę przejmuje się stanem jej ojca.

- W dalszym ciągu nic? - zapytał Riley, siadając naprzeciw niej.

Pokręciła głową, po czym zaczęła bezmyślnie wpatrywać się w trzymany w ręku kubek. Płyn drżał w plastikowym naczyniu, zdradzając, w jakim stanie są jej nerwy. Riley musiał to zauważyć, ponieważ bez słowa wyjął kubek z jej rąk.

- Przyrzekłaś, że będziesz się nim opiekować, Abby - powiedziała matka cichym, pełnym cierpienia głosem.

Oskarżenie było tak nieoczekiwane, że w oczach Abby pokazały się łzy. Zaciśnęła usta, zdając sobie sprawę, że przez jej matkę przemawia strach.

Niespodziewanie Riley przyszedł jej w sukurs. Przesunął się na brzeg krzesła i kładąc ręce na dłoniach Maggie, rzekł:

- Maggie, dobrze wiesz, jaki Mac jest uparty. Ale jeśli ktoś może dać sobie z nim radę, to tylko Abby. Przez cały tydzień chodziła za nim jak cień.

- Ale to jednak nic nie dało, chyba zgodzisz się ze mną? - z goryczą ciągnęła matka. Po długim czasie milczącego oczekiwania pełne bólu słowa zdawały się teraz płynąć niepowstrzymaną rzeką. - Co za okropną pracę musiał wykonywać, skoro doprowadziła go aż do utraty przytomności? Obiecałeś, że nic mu się nie stanie. Obydwoje obiecaliście.



Riley nie powiedział ani słowa w swojej obronie, lecz Abby ostry ton matki sprawił przykrość. Za to, co się stało, Riley nie jest odpowiedzialny bardziej niż ona. Podniosła do góry rękę i wierzchem dłoni delikatnie dotknęła policzka matki.

- Mamo, przestań...

Kobieta nagle pochyliła głowę.

- Boże, ja wcale tak nie myślałam - wyszeptwała.

- W porządku - uspokoił ją Riley. - Wkrótce z pewnością się czegoś dowiemy.

- Pani MacAllister?

Wszyscy zerwali się na równe nogi, kiedy w drzwiach stanął doktor Siedell. Wyglądał bardzo młodo, i kiedy wyciągnął rękę do jej matki, Abby poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Proszę, wyzdrowiej, tatusiu. Proszę...

- Mac dochodzi do siebie - oznajmił lekarz. - Właściwie możemy go już wysłać do domu.

Abby miała wrażenie, że wielki ciężar spada jej z serca. Tuż obok niej Maggie drżącym głosem powtarzała:

- Dzięki ci, Boże. Dzięki ci. - Po chwili z łękiem spojrzała na lekarza. - Ale ta utrata przytomności...?

- Przeprowadziliśmy serię badań i z całą pewnością mogę oświadczyć, że to wcale nie było serce - uśmiechnął się - ale po prostu żołądek.

- Słucham?

- Pani mąż to straszny uparciuch. Dopiero po długich naleganiach przyznał, że tego dnia nie zjadł śniadania. Uważał, że może poczekać na coś, czego, jak to określił, nie jedzą króliki. Na nieszczęście jego organizm nie chciał czekać i postanowił dać mu małą nauczkę.

- Ale przecież, jak zawsze, przygotowałam mu dziś solidne śniadanie - rzekła Maggie, nie kryjąc zdumienia.

- Które on, jak sam się przyznał, wyrzucił do śmieci, kiedy pani tego nie widziała - dodał z uśmiechem lekarz. - Przecież pani doskonale wie, co pani mąż sądzi o tych dietetycznych rygorach. Potrafi być sprytny jak wąż, żeby je obejść.

- Muszę temu położyć kres - powiedziała surowo Maggie.

- A co z tą raną na czole? - spytała Abby.

- Przez jakiś czas będzie miał solidnego guza, ale to nic poważnego.

- Czy mogę go zobaczyć? - wtrąciła Maggie.

Doktor Siedell skinął głową i po chwili wprowadził ją do środka przez ogromne przeszklone drzwi. Abby, zanim dołączyła do nich, dotknęła ramienia Riley'a, chcąc, by się do niej odwrócił.

- Wiesz, to, co mama powiedziała wcześniej... Ona wcale tak nie myślała.

- Nie przejmuj się. - Wzruszył ramionami i po chwili dodał z uśmiechem: - Poza tym, wszystko to już słyszałem od ciebie.

Widząc, że się zaczerwieniła, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego ciemne oczy przyciągnęły jej wzrok, jakby była w nich jakaś magiczna siła. Ogromne zrozumienie i miłość, jakie w nich ujrziała, sprawiły, że znowu poczuła, jak jej ciało przenika cudowny dreszcz. Chciała ująć w dłonie jego twarz i przekonać się, czy słodycz, którą widziała w jego oczach, jest również na jego wargach.

- Idź do ojca, Abby. Ja podrzucę Danny'ego, żeby mógł zabrać swój rower, i wrócę tu po was.

- Nie musisz nas odwozić do domu.

Riley roześmiał się.

- Nie zrezygnuję z tego za skarby świata. Coś mi się zdaje, że Mac będzie potrzebował męskiego wsparcia.

W drodze powrotnej do domu Mac był potulny jak baranek. Zarówno Abby, jak i matka, nie mówiły zbyt wiele. Wyglądało na to, że w ten sposób odreagowywały ogromny stres i nie miały ochoty na prawienie mu kazań. Do szóstej Riley zdołał dowieźć cały klan MacAllisterów do domu. Mac nawet nie protestował, kiedy obydwie panie zgodnie poinformowały go, że jutro nie pójdzie na przystań. Ostatecznie powinien się pogodzić z tym jednym dniem odpoczynku, jak również z koniecznością dostosowania się do zalecanej przez lekarza diety.

Wychodząc z domu MacAllisterów, Riley spojrzął na Maca ze współczuciem. Obawiał się, że te dwadzieścia cztery godziny babskiej dominacji nieźle dadzą mu się we znaki.

Po tak ciężkim dniu on sam marzył o odpoczynku. Odezwiała się jego chora noga, a ból w biodrze i kręgosłupie stał się nie do wytrzymania. Biedny Buster na widok swego pana niemal zatańczył przy drzwiach, co zdarzało mu się niezwykle rzadko.

Riley pozwolił mu wyjść na zewnątrz, przypominając, jak zawsze, aby nie przełaził do sąsiadów, po czym otworzył lodówkę w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Był głodny, ale nie chciało mu się gotować. Pochłoniął pół opakowania swego ulubionego sera, następnie włożył kawał kiełbasy między dwie kromki chleba i nie czekając, aż ból w zanurzonej w gorącej wodzie nodze zacznie ustępować, przysiadł na brodziku i zaczął jeść. Po pewnym czasie, wciągnawszy spodnie od dresu i bawełnianą koszulkę, przeszedł do salonu i włączył telewizor. Na kanale filmowym Bob Hope i Bing Crosby walczyli o rękę pięknej Dorothy Lamour. Riley musiał przyznać, że jej wspaniałe, długie

włosy i fantastycznie zbudowane ciało, przesłonięte jedynie udającym spódnicę malajskim sarongiem, w pełni na to zasługują.

Usiadł na kanapie, lecz rozbiegane myśli nie pozwoliły mu się skupić. Tuż za nim było okno. Odwrócił się i jednym palcem ostrożnie odchylił fragment żaluzji. W domu MacAllisterów wciąż paliły się światła i Riley przez chwilę zastanawiał się, czy Abby czuje się tak samo jak on.

Opuścił rękę i żaluzja wróciła na miejsce. Nie rób tego, przyjacielu. Myślenie o Abby ostatnio nie prowadzi do niczego dobrego.

Buster zrobił rzecz niewybaczalną: wskoczył na kanapę. Jego wielki łeb natychmiast znalazł się na kolanach Riley'a, lecz Riley nie miał sumienia dawać mu reprimendy. Po chwili znowu wrócił do oglądania telewizji, podczas gdy jego ręka wolno przesuwiała się po gęstym futrze psa. Po pewnym czasie fikcja zaczęła mu się mieszać z rzeczywistością. Przyszło mu do głowy, że Abby ma ciało stworzone do noszenia sarongu. Szkoda, że nigdy jej w takim stroju nie zobaczy.

Wciąż było za wcześnie, by iść do łóżka, ale oglądanie telewizji prawie go uśpiło. Na ekranie Bing miał problemy z przekonaniem Dorothy, że to on właśnie jest mężczyzną jej życia.

- Po prostu obejmij ją i pocałuj - poradził mu Riley. - Nawet jeśli cię spoliczkuje, i tak będzie warto.

Nieoczekiwanie aktor tak właśnie zrobił i oczy Dorothy przesłoniła mgła szczęścia.

Riley prychnął ze złością. Oto co stało się z kobietami! Nie wierzą już w tonące w blasku księżycy plaże, kwiat hibiskusa we włosach i pocałunki w najmniej oczekiwanym momencie. Wierzą

jedynie w biznes i karierę. Wystarczy popatrzeć na Abby. Jak bardzo się zmieniła po latach spędzonych w Bostonie.

Z wyjątkiem... W ubiegłym tygodniu dostrzegł ślady dawnej Abby, tej, która kiedyś zawładnęła jego sercem. Przede wszystkim zauważył uśmiech, który potrafił cofnąć czas, nawet jeśli Riley nie był tym, kogo Abby nim obdarzała. Gdy była podekscytowana albo wzburzona, mówiła urywanymi zdaniami i chociaż na sali sądowej z pewnością należała do wytrwałych przeciwników, to jednak, gdy ją coś zaskoczyło, w dalszym ciągu rumieniła się jak dziewczynka. Wiedział, że jej skóra jest nadal miękka i delikatna jak aksamit.

Dosyć, mamrotał do wspomnień, ale te wciąż uparcie do niego wracały. W wielu wypadkach wyglądało to tak, jakby tych dziesięciu lat wcale nie było. Abby wciąż była tą kobietą, w której się kiedyś zakochał.

I to był właśnie problem. Duży problem. Podniecała go, kiedy wcale tego nie chciał. Sprawiała, że tęsknił za tym, za czym tęsknić nigdy więcej już nie powinien. Nieważne, jak bardzo się starał trzymać od niej z daleka; każdego dnia pchała go do niej jakaś niewidzialna siła.

Nie powinien jej ulegać. Abby wkrótce wróci do Bostonu i z czym on wtedy zostanie? Z nowymi wspomnieniami?

Buster podniósł łeb i cicho zawarczał. I wtedy Riley usłyszał nieśmiało pukanie do drzwi. Przeszedł przez pokój i spojrział przez wizjer. Na schodach stała Abby. W jasnym blasku księżycy wyglądała jak królowa z bajki. Otworzył szeroko drzwi.

- Czy przyniosłaś swój sarong? - zapytał. Zmarszczyła brwi.
- Co takiego? Pokręcił głową.
- Nieważne. Trochę przysnąłem na kanapie.

Wyglądała na zmieszana.

- Przepraszam. Widziałam w twoim oknie migające światło ekranu telewizyjnego. A poza tym jest jeszcze wcześniej...

Nagle pomyślała, iż niewiele jest takich powodów, które skłoniłyby ją do przyścia tutaj.

- Coś z Makiem? - zapytał niespokojnie.

- Wszystko w porządku. Śpi jak dziecko.

Co ją tu więc sprowadziło? Chociaż obiecywał sobie trzymać się od niej z daleka, nie mógł wymyślić nawet jednego powodu, który by uzasadniał niezaproszenie jej do środka. Miała na sobie szorty i krótką bluzkę, która podkreślała biust. Musiała przed chwilą wziąć prysznic. Światło księżyca lśniło na jej nagich ramionach i we włosach, których końce wciąż jeszcze były wilgotne i wily się wokół szyi.

- Jakoś nie mogłam znaleźć sobie miejsca - usprawiedliwiała się. - Zbyt dużo przeżyć, jak sądzę. Pomyślałam, że może miałbyś ochotę na filiżankę kawy. Oczywiście nie takiej jak w szpitalu. - Słowa przychodziły jej z trudem, chwilami się zacinała. - Może to zły pomysł. Mamy za sobą długi dzień...

Znowu te krótkie, urywane zdania... Boże, jakaż ona jest piękna. Pochylił głowę, aby ukryć uśmiech.

- Myśle, że chyba znam takie miejsce - powiedział.

Bennie's Diner było senne i ciche. Kiedy Riley zatrzymał jeepa przed wejściem, z ust Abby wyrwał się okrzyk zdumienia.

- Czyżbyś miała coś przeciwko temu, że cię tu przywiozłem? - zapytał.

- Nie. Skądże. Po prostu dawno tu nie byłam.

Kiedy weszli do środka, Riley celowo poprowadził ją do stolika, przy którym niegdyś spędzili tyle czasu. Właściwie nie wiedział, dlaczego to robi. Może chciał zobaczyć jej reakcję,

przekonać się, czy pamięta wszystko tak samo jak on? Jednak jedyne, co zauważył, to lekko uniesiona do góry broda.

Wyjął zza serwetnika dwie karty i jedną położył przed Abby. W milczeniu patrzyła na plastikową okładkę, ale nie sięgnęła po nią.

- Czy często tu bywasz? - zapytała w końcu.

- Nie ma powodu, żebym nie bywał - odrzekł, wzruszając ramionami. - Mają tu najlepsze desery w mieście.

Nie chciał, by wiedziała, że do niedawna unikał tego miejsca, i by w tym zachowaniu doszukiwała się czegoś, czego nie ma. Rzecz dziwna, ale od tygodnia wpadał do Bennie's Diner każdego ranka, a z Doreen zaprzyjaźnił się do tego stopnia, że zawsze mógł liczyć na specjalnie dla niego odłożoną porcję wspaniałego duńskiego sera.

Widując ją zawsze na porannej zmianie, ogromnie się zdziwił, kiedy podeszła do ich stolika.

- Witaj, skarbie - rzuciła z uśmiechem. - Widzę, że nasze ciastka znowu mają ci w czymś pomóc. Może tym razem obojgu...

Żałując, że jej wspominał o swych problemach, Riley chłodno zauważył:

- Myślałem, że pracujesz na ranną zmianę.

Kelnerka okazała się dość bystra, aby się domyślić powodu niezadowolenia, i zbyt bezczelna, aby go zignorować.

- Ale nie w dniu, kiedy mamy sprzątanie. A poza tym pomyśl, co bym straciła, gdyby mnie tu nie było. - Jej wzrok powędrował w stronę Abby.

- Dwie kawy - przerwał jej niecierpliwie. - I kaganiec dla ciebie. Pani nie jest zainteresowana, Doreen.

Doreen nie dawała jednak za wygraną.

- Czy pani jest mężatką? - zapytała, pochylając się w stronę Abby.

- Nie.

- My jesteśmy teraz... tylko przyjaciółmi - wyjaśnił Riley.

- Rozumiem. - Doreen wyglądała jak detektyw, który wpadł właśnie na ślad potrójnego morderstwa. Stała wciąż przy nich i tak długo uderzała ołówkiem o brzeg swego notesu, że Riley miał ochotę wyrwać go jej i połamać. - Zaraz wrócę z kawą. Mamy też wspaniałe ciasto cytrynowe. Przy- niosę dwa kawałki. - Spojrzała na niego wymownie. - Tylko uważajcie z tym kwasem.

Kiedy odeszła, oboje roześmiali się, po czym Riley, kręcąc głową z zakłopotaniem, szepnął:

- Przepraszam.

Abby przez chwilę obserwowała salę.

Riley miał wielką ochotę pochylić się ku niej i wsunąć palce w jej włosy, które nie wyglądały już tak perfekcyjnie jak pierwszego dnia, ale teraz znacznie bardziej mu się podobały. Zdążyły już wyschnąć i w burzy drobnych loków padające z góry światło lśniło jak rozrzucone hojną ręką klejnoty.

Chyba wyczuła, że ją obserwuje, ponieważ odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć.

- Niewiele się tu zmieniło.

- Rzeczywiście. Niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Nachmurzyła się. Jej palce bezwiednie skubały brzeg leżącej przy nakryciu papierowej serwetki, a ona sama wyglądała na nieobecna. Riley również milczał. W końcu podniosła na niego wzrok.

- Przyszłam do ciebie z dwóch powodów. Przede wszystkim chciałam ci podziękować za to, co dla nas dzisiaj zrobiłeś. Mama



przeżyła prawdziwy szok i twoja obecność ogromnie pomogła. Teraz okropnie się czuje w powodu te- go... co mówiła.

- Powiedz jej, że dawno już o tym zapomniałem. To była bardzo stresująca sytuacja. - Po chwili milczenia dodał: - Ludzie, kiedy są zdenerwowani, często mówią rzeczy, których wcale nie myślą.

Spojrzała na niego uważnie.

- To prawda. Czasem chciałabym...

Doreen ponownie zjawiła się przy ich stoliku.

- Proszę, dwa ciastka i dwie kawy. - Pospiesznie postawiła przed nimi filiżanki i talerzyki. - Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, wystarczy zawołać. Idę zeszkrobywać tygodniową warstwę tłuszczu z grilla.

- Urocze - mruknął Riley.

Abby odprowadziła wzrokiem odchodzącą kelnerkę.

- Niewiele zmieniła się przez te dziesięć lat.

- To prawda. Ty zresztą również. - Zauważył niezadowolone na jej twarzy i szybko przeszedł na bezpieczniejszy grunt. - A jaki jest drugi?

- Słucham?

- Powiedziałaś, że przysłaś do mnie z dwóch powodów - wyjaśnił. - A więc, jaki jest ten drugi?

- Ach tak. - Zwilżyła usta. - Chodzi o... Danny'ego.

Zmarszczył brwi.

- Co z nim?

Jakiś czas wpatrywała się w zawartość trzymanej w ręku filiżanki.

- Wydaje mi się - rzekła po chwili - że dziś rano przyłapałam go na kradzieży.

Ręka Riley, podnosząca do ust widelec z ciastkiem, zatrzymała się w pół drogi.

- Co zabrał?

- Chyba nie zabrał niczego. Myślę, że spłoszyłam go, zanim zdążył skorzystać z okazji. - Podniosła głowę, chcąc spojrzeć mu w oczy. - Wiem, że nie ma dostatecznych dowodów, żeby go oskarżać, ale gdybyś widział jego reakcję...

- A więc czego właściwie chcesz? Mam go zwolnić? Zawiadomić policję?

- Skądże! - zaprzeczyła. - Zdaję sobie sprawę, jak trudno zaakceptować, że ktoś, kogo się lubi, nadużywa twojego zaufania...

- Przeciwnie - zauważył chłodno. - To wcale nie jest trudne. Wiem, że okrada mnie od pierwszego dnia.

Była kompletnie zaskoczona, że tak spokojnie o tym mówi.

- Nie rozumiem. Dlaczego więc...

Z westchnieniem odłożył widelec i wygodniej usadowił się na krześle. Nie widział powodu, aby opowiadać jej w tej chwili całą historię, lecz zdawał sobie sprawę, że bardzo trudno mu będzie uzasadnić odmowę.

- Następnego dnia po powrocie ze szpitala wybrałem się do przystani. Po raz pierwszy od wybuchu. Skłamałbym, gdybym powiedział, że to nie był dla mnie szok. Wszystko, co z takim trudem zdobyłem, rozpadło się na miliony kawałków. Usiadłem pośrodku tych ruin i... - Wzruszył ramionami, na próżno starając się znaleźć właściwe słowa. - Myślę, że chciałem wtedy gdzieś uciec. Nieważne gdzie. Nieważne, że pieniądze z ubezpieczenia wszystko pokryły. Po prostu nie wyobrażałem sobie, że mógłbym się z tym uporać.

Abby słuchała w milczeniu. Jej oczy były pełne współczucia.

- Wyobrażam sobie, jak strasznie to wyglądało - powiedziała cicho.

- Nie chodzi mi o to, żebyś mi współczuła. Usiłuję ci tylko wyjaśnić... - Wciągnął głęboko powietrze. - Aż do tamtej chwili myślałem, że jakoś przez to przeszedłem. Ale to, co zobaczyłem, kompletnie mnie załamało. Pomyślałem wtedy, że wyjadę stąd i nigdy nie wrócę. Pieniądze z ubezpieczenia wystarczyłyby mi na jakiś czas. Nie musiałbym niczego odbudowywać. Nie musiałbym znosić rodziny i przyjaciół, którzy co prawda mają najlepsze intencje, ale jednocześnie traktują mnie jak zasługującego na współczucie inwalidę. Mogłem po prostu... wyjechać.

Odwrócił głowę. Doreen, tak jak to wcześniej zapowiedziała, zajęta była zeskrobywaniem warstwy tłuszczu z grilla. Jego wzrok znowu wrócił do Abby.

- Tak bardzo tego pragnąłem. Klucze od jeepa trzymałem w ręku...

Abby od dłuższego czasu milczała. W pewnej chwili wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

- Co cię więc zatrzymało?

- Usłyszałem hałas, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem Danny'ego. Myszkował w stercie gratów wyrzuconych przez strażaków z mojego mieszkania nad biurem. To wszystko oczywiście były śmieci. Za bardzo nadpalone czy zniszczone przez dym i sadze, aby mieć jakąkolwiek wartość, ale dzieciak zachowywał się tak, jakby znalazł skrzynię ze skarbami. Zapytałem, co robi. Odrzekł, że w tym śmietniku musi być przecież coś, co okaże się warte parę dolarów. - Roześmiał się drwiąco. - W pewnej chwili podniósł do góry ręce i powiedział, że

bardzo współczuje temu, kto to wszystko stracił, ale zaraz dodał, że ogień właściwie wyświadczył temu człowiekowi przysługę, ponieważ jedyny smak, jaki ten facet posiada, to ten, który ma w ustach.

- O Boże! I co ty na to?

- Nic. Śmiałem się tak serdecznie, że chłopak prawdopodobnie pomyślał, że znalazł się w towarzystwie jakiegoś szaleńca. - Podniósł do ust filiżankę i skrzywił się, gdy zimna kawa dotknęła jego ust. - Tak czy owak, zaczęliśmy rozmawiać. Przyznałem się, że to ja jestem tym facetem z koszmarnym gustem. Wkrótce omówiliśmy wszystko, co trzeba zrobić, żeby przystań stała się wspanialsza niż kiedykolwiek przedtem. Powoli zaczął mi się podobać pomysł odbudowy i zaproponowałem Danny'emu pracę po szkole. Od tamtej pory zawsze jest przy mnie. - Riley ponownie podniósł widelec z ciastkiem i przełknąwszy kolejny kęs, dodał: - On nie wie o tym, ale pomógł mi podjąć jedną z najtrudniejszych decyzji w moim życiu.

- To wcale nie znaczy...

- Zdaję sobie sprawę, że musi to brzmieć trochę nazbyt sentymentalnie.

Abby wyprostowała się. Jej ręka zsunęła się z jego ramienia i z powrotem wróciła na jej kolana.

- W twoich ustach zabrzmiało to tak, jakby to było coś złego. A fakty są takie, że Danny nie jest wobec ciebie uczciwy.

- To nie jest nic ważnego. Nic takiego, z czym nie potrafiłbym się uporać.

- Nie możesz tego tolerować - nalegała. - W porządku, na razie nie było to nic specjalnie kosztownego, ale wkrótce sytuacja może się zmienić. Masz zamiar to tolerować, udawać, że

niczego nie widzisz, aż pewnego pięknego dnia chłopak włamie się do czyjegoś samochodu? Albo domu? Jak myślisz, Riley, od czego kryminaliści zaczynają swój proceder? Właśnie od drobnych, pozornie nic nie znaczących kradzieży...

- Danny nie pójdzie tą drogą.

- Tego nie wiesz. Statystyki pokazują... Gwałtownie odsunął talerzyk.

- Przestań bawić się w prokuratora. To przecież dzieciak. Trochę się zaplątał, ale w sumie nie jest zły.

Zaciśnięte usta Abby wskazywały, jak bardzo z sobą walczyła, aby nie ciągnąć tej sprzeczki. Riley, nie mogąc znieść jej badawczego wzroku, nagle zaczął się interesować wzorem leżącej na stoliku serwetki. Czuł, że ich z takim trudem osiągnięte zawieszenie broni nagle pękło, ale co mógł powiedzieć innego?

Doreen nagle pojawiła się przy ich stoliku. Ponieważ on i Abby od dłuższego czasu milczeli, wytrawne oko kelnerki bez trudu poznało, że powstał jakiś problem.

- No cóż! Widzę, że owoce użyte do tego ciasta musiały mieć wyjątkowo cierpki smak - zauważyła. - Czy mogę wam podać coś innego? Jakieś inne ciastka? Trochę arseniku, który by pasował do tych przesyconych trucizną spojrzeń?

Riley obrzucił ją piorunującym wzrokiem.

- Wystarczy rachunek, Doreen.

Na szczęście sama doszła do wniosku, że powinna się zmyć. Wyrwała rachunek i rzuciwszy go na stół, szybko odeszła. Riley wziął go do ręki, nie spuszczając wzroku z Abby.

- Posłuchaj! - rzekł bardziej pojednawczym tonem. - Pamiętaj, jak mając szesnaście lat zostałem przyłapany na kradzieży w sklepie tuż obok przystani mojego ojca?

- Oczywiście. Twoja matka płakała przez trzy dni.

- Mój ojciec dobrze znał właściciela, łatwo mógł więc tę sprawę załagodzić, jednak uważał, że policja powinna zabrać mnie na posterunek. Pozwolił, żebym spędził tam kilka koszmarnych godzin. To było okropnie upokarzające. Parę lat temu powiedział mi, że zrobił to, ponieważ chciał mi dać nauczkę.

- I poskutkowało, nie uważasz? - Abby pochyliła się ku niemu, jakby dla zaakcentowania swojego punktu widzenia. - Czy kiedykolwiek coś jeszcze ukradłeś?

- Nie, ale...

- Zrobił to, ponieważ cię kochał, Riley. To nie było łatwe, ale z pewnością skuteczne.

Przesunął ręką po włosach, niezadowolony, że nie potrafił jej przekonać, i że rozmowa, jeszcze parę minut temu tak obiecująca, nagle zmieniła kurs.

- W przypadku Danny'ego to wszystko nie jest takie proste. Nie powinienem był oczekiwać, że zrozumiesz.

Nagle zeszytniała.

- Co masz na myśli?

- Te wszystkie sprawy, którymi się zajmowałaś w Bostonie... To one musiały sprawić, że stałaś się tak nieczuła, że tak łatwo formułujesz oskarżenia, i to zanim jeszcze wina zostanie udowodniona. Chyba w swoim życiu spotkałaś niewielu przyzwoitych ludzi, Abby.

Chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym z irytacją cisnęła zmiętą serwetkę na stojący przed nią talerzyk.

- Ale za to wielu zagubionych - powiedziała z naciskiem. - Takich właśnie jak Danny.

- Ten chłopak jest inny.

- Doskonale - rzuciła krótko, sięgając po torebkę. - To w końcu twój sklep. Może potrafisz znaleźć sposób, żeby nie uciekł z całym twoim dobytkiem. Myślę, że powinniśmy już pójść.

W drodze do domu zaczęła się zastanawiać, czy ich sprzeczka o Danny'ego nie jest czasem kolejnym dowodem na to, jak bardzo się od siebie oddalili. Kiedyś również gorąco dyskutowali na temat różnych, dotyczących moralności spraw: kary śmierci, opieki społecznej, prawa do posiadania broni. Często się z sobą nie zgadzali, czasem ich opinie były diametralnie różne, ale te odmienne punkty widzenia wyrażane były tak, aby się nawzajem nie ranić.

Czyżby Riley naprawdę wierzył, że lata spędzone w mieście na robieniu kariery tak ją zmieniły, że w nikim nie potrafi już dostrzec przyzwoitości?

Jak mogłeś? - chciała mu wykrzyknąć, ale gdzieś w głębi duszy czuła niepokój. A może w jego słowach jest jednak trochę racji? Praca w Bostonie dawała jej zadowolenie, często nawet satysfakcję, szczególnie w początkowym okresie, jednak czasem przylapywała się na tym, że pod wpływem pracy i samotności powoli stawała się coraz bardziej obojętna i sceptyczna w stosunku do wszystkich ludzi w ogóle, że nikomu nie potrafiła już wierzyć.

Samochód zatrzymał się przed domem rodziców i Abby, czując zakłopotanie, szybko odpięła pasy. W nikłym świetle twarz Riley'a wydała się jej dziwnie tajemnicza, ale nie musiała specjalnie wyteżać wzroku, by dostrzec, że napięcie, widoczne od chwili, kiedy opuścili kawiarnię, jeszcze z niej nie ustąpiło.

Wiele by dała, aby to napięcie ztrzeć, aby mu udowodnić, że wciąż jest tamtą Abby, którą kiedyś znał. Jednak wcale nie była

pewna, czy tak jest naprawdę i czy byłby skłonny jej jeszcze uwierzyć.

- Dzięki za kawę i ciastko - powiedziała chłodno.
- Abby, zaczekaj chwilę! - zawołał.

Lecz ona już wysiadła z samochodu i szybko szła w stronę głównego wejścia.

Ilekcóż Danny'emu zdarzyło się zapomnieć o wyznaczonej mu godzinie powrotu, gasił silnik trzy posesje przed domem i pieszo wprowadzał motor do garażu. Nie chodziło mu o to, że Woody martwi się i że czeka na niego. Po prostu nie chciał, by hałas obudził wuja, gdyby ten już spał. Coś takiego zawsze kończyło się awanturą.

Starając się zachowywać jak najciszej, Danny wśliznął się do środka. Światła w salonie były zgaszone, z góry nie dobiegały żadne krzyki. Najwyraźniej tym razem dopisało mu szczęście.

Lecz w chwilę później światło się zapaliło, ukazując wuja rozwalonego w jego ulubionym fotelu. Nawet z tej odległości Danny czuł ostry zapach jego potu. Woody wciąż miał na sobie poplamione ubranie robocze i zupełnie nie wyglądał na wytraconego ze snu. Zbiera się na burzę, co do tego Danny nie miał wątpliwości.

- Gdzie byleś? - zapytał wuj. - Od dawna powinieneś być w domu.

W ciągu tych minionych czterech lat nauczył się, jak postępować z wujem. Danny wiedział, że Woody szuka ofiary. Jeśli będzie opanowany, jeśli nie pokaże strachu i trochę ustąpi, to może mu się uda zakończyć ten spór bezboleśnie.



Rzucił torbę z książkami na brzeg stołu, na którym znajdowało się wszystko, od korespondencji po kluczyki od samochodu.

- Pewien facet stracił w pracy przytomność i trzeba go było zawieźć do szpitala.

- Twój szef? Kincaid?

- Nie. Ten starszy facet, o którym ci wspominałam. Nazywa się Mac.

- A ty musiałeś z nim zostać i trzymać go za rękę?

- Lubię go. Chciałem zostać. - Danny wzruszył ramionami i skierował się w stronę schodów. - Opuść sobie, dobrze? Jestem tu w końcu, prawda?

Woody zrobił coś, czego Danny zupełnie się nie spodziewał. Zerwał się z fotela i zatrzymał Danny'ego, zanim ten zdołał uciec. Ręka Danny'ego dotykała słupka poręczy schodów, kiedy grube paluchy wuja chwyciły go i unieruchomiły. Danny patrzył prosto w oczy wuja, chociaż czuł, że wszystko się w nim gotuje.

- O co chodzi? Czyżbyś nie mógł odżalować, że nie poszedłeś z kumplami na wódkę, bo nie znalazłeś nikogo, kto mógłby zająć się Nedem? Kilka dni temu jakoś cię to nie zatrzymało.

Woody komicznie przechylił głowę, ale w głębi jego czarnych oczu widać było wzbierająca furie.

- Nie wkurzaj mnie, gówniarzu. Nie będę tego tolerować.

- Chcesz mnie uderzyć? - zakpił Danny. Czuł, jak narasta w nim złość. Wyrwał rękę z uścisku wuja i oparł się piecami o barierkę schodów. - Na co więc czekasz? Ale postaraj się zrobić to dobrze, ponieważ kiedy się pozbieram, nie zostanę ci dłużny.

- Kto cię nauczył tak pyskować? Któryś z twoich kumpli w szkole? A może ten twój nowy boss, za którym tak przepadasz?

Nagle do Danny'ego dotarło, co tak bardzo denerwuje wuja.

Jest po prostu zazdrosny! Zazdrosny o człowieka, którego nigdy nie widział, o człowieka, którego Danny lubił i szanował tak, jak nigdy nie mógłby lubić i szanować tego, który był jego jedynym krewnym. W tej chwili wuj prawie budził w nim litość. Prawie, ponieważ jego postępowanie zniszczyło wszystkie pozytywne uczucia, które Danny kiedykolwiek dla niego miał.

Walczył z sobą, by nie dopuścić do dalszej kłótni. Chciał spokoju za wszelką cenę - do czasu, kiedy uda mu się zdobyć tyle pieniędzy, by zabrać Neda i uciec stąd jak najdalej.

Z trudem tłumiąc gniew, pokręcił tylko głową.

- Sam nie wiesz, o czym mówisz.

Czekał. Woody wciąż patrzył na niego, ale w jego nieruchomym wzroku nie było głębi. Przedłużająca się cisza sprawiła, że nerwy Danny'ego były napięte do granic wytrzymałości.

Nieoczekiwanie stało się jednak coś dziwnego. Wuj powoli opuścił głowę na piersi, po czym znużonym ruchem odsunął się od poręczy, jakby nagle przestało mu zależeć na demonstrowaniu władzy.

- Idź do łóżka - rzekł spokojnie. - Mam cię dosyć.

Danny'emu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Biegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Dopiero gdy znalazł się w swoim pokoju, jego mocno bijące serce powoli zaczęło się uspokajać.

- Danny...?

Gwałtownie odwrócił głowę. Jego mały braciszek, ubrany w swoją ulubioną piżamkę, obserwował go z ciemności swojej sypialni. Danny przeszedł przez korytarz.

- Cześć, Neddy - zawołał cicho. - Dlaczego nie śpisz?

- Znowu się biłeś z wujkiem Woodyem?

- Skądże. Trochę się tylko posprzecaliśmy.

Malec spojrział na starszego brata i skrzywił się z dezaprobatą.

- Czy nie możesz schodzić mu z drogi? Tak jak ja?

Danny przykucnął przy braciszku.

- Staram się, Neddy. Naprawdę się staram. Ale czasem...

- Nie chcę tu dłużej zostać.

- Ja też, ale musimy jeszcze trochę poczekać.

- Ja chcę już - upierał się Ned. - Czy nie możemy do kogoś zadzwonić? Ta pani, która oddała nas wujkowi, powiedziała, że możemy do niej zadzwonić, jeśli będzie nam czegoś trzeba. Moglibyśmy jej powiedzieć...

Danny chwycił go za ramiona i z naciskiem powtórzył:

- Neddy, nie! Jeśli komukolwiek powiemy o problemach wujka, natychmiast nas stąd zabiorą. Ale wtedy nas rozdziela. Pamiętasz? Nie jestem jeszcze na tyle dorosły, żebym mógł się sam tobą zająć. - Schylił głowę i popatrzył braciszкови w oczy. Chciał, by chłopczyk zrozumiał powagę sytuacji. - Musimy tu jeszcze wytrzymać, chłopie. Jeszcze tylko trochę. Zgoda?

Błada twarzączka chłopca zdradzała niezadowolenie.

- Przysięgasz? - wyszeptał.

- Przysięgam na wszystkie twoje karty baseballowe - rzekł Danny, podnosząc do góry dłoń.

Ned skinął głową. Danny uśmiechnął się do niego i zmierzwiwszy mu włosy, wysłał go do łóżka. Po chwili zawrócił do siebie, ale zanim zdążył dotrzeć do drzwi, znowu dobiegł go głos Neda.

- Danny...?

- Tak? - Odwrócił się do brata.

Twarzączka Neda była ledwo widoczna w ciemności.

- Wujek Woody trochę mnie przeraża - wyszeptał.
- Mnie również, Neddy. Ale nie pozwolę mu cię więcej skrzywdzić. Przysięgam. A teraz idź już spać.

RS

## 8

Następnego ranka Abby zaproponowała, że zostanie w domu, lecz reakcja rodziców była taka, iż w efekcie poczuła się prawie wypchnięta za drzwi. Wprawdzie Mac nie nalegał, by wybrała się na przystań, użył jednak skuteczniejszej metody - wspomniał jedynie, że Janet od kilku dni nie może się uporać z udekorowaniem wystawy i zapewne potrzebuje pomocy. Abby miała na ten temat inne zdanie, ale kiedy popatrzyła na twarz matki, bez słowa wzięła kluczyki od samochodu ojca. Najwyraźniej Maggie chciała trochę pobyc z mężem sama.

Nikt nie odpowiedział, gdy zapukała do drzwi. Danny był oczywiście w szkole, Janet, zajęta rozmową przez telefon komórkowy, ledwie rzuciła na nią okiem, a Riley'a nigdzie nie było widać. Jak na sumiennego pracownika przystało, Abby natychmiast wzięła się do umieszczania w specjalnym stojaku żeglarskich map.

Tymczasem Janet wciąż prowadziła wojnę z firmą telefoniczną. Abby słyszała, jak zostawia jakąś krótką, lecz bardzo wymowną informację na czyjejs sekretarce. Po chwili rzuciła słuchawkę na ladę i bezwiednie zaczęła rozcierać swój dosyć już wydatny brzuch.

- Doprawdy - odezwała się, z trudem łapiąc oddech - z równym powodzeniem można by rozmawiać przy pomocy dwóch plastikowych filiżanek i sznurka.

- Dalej nie działa? - odezwała się Abby.

- Nie. Riley pojechał zrobić im awanturę. Nie mam pojęcia, jak udało ci się wczoraj wezwać karetkę? - Janet jeszcze przez

chwile krzątała się za ladą, po czym dołączyła do Abby. - Jak tam twój ojciec? - zapytała.

- Trochę marudził, żeby tu ze mną przyjść, ale za bardzo bał się mamy i w końcu ustąpił. Czy Riley powiedział ci, co spowodowało upadek?

- Tak. Twój ojciec to nieprawdopodobnie uparty facet.

- Chciałam zostać z nim w domu, ale wciąż powtarzał, że potrzebujesz pomocy przy Bitsey i Skipie.

Bitsey i Skip to były przezwiska nadane przez Janet dwóm manekinom, służącym do eksponowania na wystawie kostiumów kąpielowych i strojów sportowych. Ich pewne siebie, mocno wymalowane twarze wyglądały trochę groteskowo i niezależnie od tego, jak długo Janet i Mac manipulowali ich rękami i nogami, manekiny wciąż wyglądały jak cyrkowi akrobaci. Janet, marszcząc nos, spojrzała w kierunku wystawy, gdzie zastygła w bezruchu para uśmiechała się w przenikających przez szyby promieniach słońca.

- Druga para rąk nie zaszkodzi. - Janet schyliła się z jękiem.

- Lew junior gra chyba dzisiaj w piłkę nożną.

- Powiem ci, co zrobimy - rzekła Abby. - Usiądziesz przed wystawą, a ja zostanę tutaj, i tak długo będę manewrowała ich rękami i nogami, aż uznasz, że jest znośnie.

- To wcale nie jest takie proste - odrzekła Janet. - Czasem odnoszę wrażenie, że te kukły robią mi na złość.

- Doskonale. Weźmiemy się więc najpierw za Skipa.

Janet spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Dlaczego?

- Ponieważ z moich doświadczeń wynika, że zmuszenie mężczyzny do zrobienia czegoś, czemu jest przeciwny, to więcej

niż połowa zwycięstwa. Jeśli uporamy się ze Skipem, z Bitsey pójdzie już łatwo.

Po raz pierwszy od powrotu do Fort Myers usłyszała śmiech Janet. Cały ranek spędziły, walcząc z manekinami, aż w końcu odniosły zwycięstwo. Manekiny w zdumiewająco naturalnych pozach, ubrane w stroje będące idealnym połączeniem elegancji i praktyczności, mogłyby być dumą najsłynniejszych dekoratorów wystaw. Zarówno Abby, jak i Janet nie miały wątpliwości, że Riley będzie zadowolony z uzyskanego przez nie efektu.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że na jego opinie jeszcze trochę poczekają. Koło południa Riley zadzwonił i poinformował Janet, że tego dnia nie wróci już na przystań. Powiedział, że ma zamiar odebrać Danny'ego ze szkoły i pojechać z nim do Sarasoty na aukcję łodzi. Ani słowem nie wspomniał o Abby, jakby w ogóle nie istniała, a ona tak wiele by dała, żeby związane z tym rozczarowanie nie było aż tak bolesne.

Byli już w drodze około pół godziny, kiedy Riley zdecydował się zapytać Danny'ego o jego dom. Wczorajsza rozmowa z Abby wytrąciła go nieco z równowagi. W końcu doszedł do wniosku, że nie powinien dłużej czekać. Bardzo go bolało, że Danny nadużył jego zaufania, ale jeśli dzieciak rzeczywiście wkracza na złą drogę, Riley chciał uczynić wszystko, żeby go z niej zawrócić.

Kątem oka spojrzął na Danny'ego. Od piętnastu minut chłopak w milczeniu patrzył przez okno, jakby ciągnące się w nieskończoność zarośla palmy karłowatej pochłaniały go bez reszty. Nadszedł czas, by zadać mu kilka pytań.

- Mam nadzieję, że uprzedziłeś rodziców o tym wyjeździe?
- Nie ma problemu.

- Może jednak powinienem zatrzymać się i zadzwonić do nich? Uprzedzić, że możemy wrócić późno?

Danny gwałtownie odwrócił do niego twarz.

- Mama i tata zginęli cztery lata temu. Wóz do przewożenia byłby zjechał z drogi i uderzył w ich samochód.

Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym Riley z powrotem skoncentrował się na prowadzeniu auta. Ton głosu chłopca wydawał się spokojny, ale ściągnięte rysy twarzy świadczyły, że wciąż bardzo cierpi.

- Przykro mi - powiedział. - Wyobrażam sobie, jak trudno się z tym pogodzić.

Danny wzruszył tylko ramionami i znowu odwrócił się do okna.

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Kto się teraz tobą opiekuje?

W ciemnych oczach chłopca widać było determinację.

- Sam się sobą opiekuje. Nie potrzebuję nikogo.

- Jasne. Ale kiedy cię przyjmowałem do pracy, wspomniałeś coś o młodszym bracie.

- Tak. Nazywa się Ned i ma osiem lat. - Przez jakiś czas milczał, regulując klimatyzację tak, by strumień chłodnego powietrza padał wprost na jego twarz. - Opiekę nad nami powierzono wujkowi Woody'emu - dodał po chwili.

- Jest żonaty?

- Nie. Rozwiedziony.

- A więc samotny ojciec. To niełatwe zadanie.

- On nie jest naszym ojcem - zaprotestował Danny. - Ale jest w porządku.

- Czym się zajmuje?



- Jest budowlańcem. Teraz pracuje na osiedlu mieszkaniowym w pobliżu lotniska. - Danny uśmiechnął się ironicznie. - Pisziesz książkę?

Riley roześmiał się.

- Po prostu rozmawiam. Poza tym, wywożąc cię z miasta, nie chciałbym narazić się twojemu wujowi. Może powinienem zadzwonić do niego?

- Nie będzie się martwił - burknął Danny pod nosem, jednak po chwili nieco grzeczniejszym tonem dodał: - Chciałem powiedzieć, że mam prawie osiemnaście lat i że wuj pozwala mi wychodzić i wracać, kiedy chcę.

- Chyba jest bardzo wyrozumiały.

- Tak... - W głosie Danny'ego zabrzmiała ironia. - Tak właśnie myślą ci wszyscy nawiedzeni pracownicy socjalni... - Urwał nagle i dodał ponuro: - Zresztą, nieważne. Wkrótce i tak nie będzie miał nade mną żadnej władzy.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś się nie mógł doczekać tego dnia.

- Mam pewne plany, to wszystko.

- Po skończeniu szkoły?

- Koniec ze szkołą, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

- Dobrze sobie radzisz na przystani. Jeśli myślisz o stałej pracy, mogę cię przyjąć.

- Nie mam zamiaru zostać w Fort Myers.

- Dlaczego? Co ci tu nie odpowiada?

Danny wzruszył ramionami.

- To po prostu nie jest dom. Tęsknię za Glades.

Ta odpowiedź zdumiała Riley'a. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że takie miejsce jak Everglades ktoś może nazwać domem. Kilka razy robił wypadki na ryby w głąb Florydy i za każdym razem miał wrażenie, że ciągnące się kilometrami bagna

tylko czekają, by go wciągnąć tam, skąd nie ma powrotu. To miejsce zawsze już będzie mu się kojarzyło z aligatorami, moskitami i ślepych rzecznych odnogami, po których bezpiecznie mogą poruszać się jedynie doświadczeni przewodnicy.

Postanowił zadać kolejne osobiste pytanie.

- Widzę, że kochasz to miejsce, ale kto cię tej miłości nauczył?

- Rodzice - odrzekł chłopiec bez wahania; w jego głosie dało się słyszeć wzruszenie. - Mama i tata prowadzili sklep z konfekcją we Flamingo Junction.

- Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

- Nikt nie słyszał - Danny się roześmiał - ale to całkiem miłe miasteczko. Zanim Ned i ja zamieszkaliśmy w Fort Myers, często wybieraliśmy się na wycieczki z namiotem. Do miejsca, które nazywają Two Finger Key. Można tam siedzieć pod gwiazdami i słuchać, jak ziemia układa się do snu.

- Brzmi pięknie.

- I jest piękne. Kiedyś tam wrócę.

- Będzie mi żal cię stracić - wyznał Riley. - Z kim Mac będzie się kłócił?

- Kogoś sobie znajdzie. - Danny roześmiał się szeroko. - Może z Abby, skoro wróciła.

- Wkrótce wyjeżdża do Bostonu.

- Szkoda. Przyjemnie widzieć ją koło siebie.

To prawda. Przyjemniej, niż kiedykolwiek mógł przypuszczać. Lecz nie chciał o tym myśleć. Skierował rozmowę na temat, który go w tej chwili bardziej interesował.

- Abby i Janet wykonały w magazynie kawał dobrej roboty, nie uważasz?

- Tak. Dziewczyny doskonale się do tego nadają.

Riley zrezygnował z robienia mu wykładu na temat szowinizmu. Chłopak jest już prawie dorosły. Wkrótce sam się dowie, do czego dziewczyny się nadają, a do czego nie.

- Ciężko harowały, żeby zrobić inwentaryzację i wprowadzić to wszystko do komputera. Nigdy nie miałem głowy do liczb i papierków, ale teraz, mając takie specjalistki, mogę spać spokojnie. - Odetchnął głęboko. - Nawet nie wiesz, jaka to ulga.

- Wyobrażam sobie - rzucił Danny obojętnym tonem, po czym z nonszalancją dodał: - Jest dużo towaru. Może się zdarzyć, że coś się zawieruszy i nikt nie będzie wiedział, gdzie to jest.

Riley poczuł w ustach suchość. Nieudolne próby Danny'ego, zmierzające do wyjaśnienia ewentualnych niezgodności w inwentaryzacji, dały mu wiele do myślenia.

- Sądzę, że to możliwe - odrzekł - mimo to jednak wysoce nieprawdopodobne.

W samochodzie zapanowała cisza. Jakiś czas potem, widząc w oddali migające czerwone światła, Riley zmniejszył szybkość. Kiedy podjechali nieco bliżej, ruch na jezdni prawie zupełnie zamarł, ponieważ jedno pasmo na skutek wypadku zostało zablokowane i konna policja stanowa kierowała przejazdem jadących na północ samochodów.

Korzystając z okazji, Riley wrócił do rozmowy.

- Kiedyś również miałem tyle lat co ty, Danny. Dobrze wiem, co się czuje, kiedy się szuka odpowiedzi na pytanie, kim się właściwie jest i czego się chce od życia. Gdybyś kiedykolwiek chciał z kimś pogadać, obojętnie na jaki temat, jestem gotowy w każdej chwili cię wysłuchać.

Danny wyglądał na zakłopotanego. Po chwili milczenia spojrział na Rileyę z ukosa i z udaną ironią zawołał:

- Jezu! Zupełnie jakbym słuchał Maca.

- Wiesz, obydwaj uważamy cię za przyjaciela. Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętał!

- Jasne. - Danny wzruszył ramionami, jakby to, co usłyszał, nie zrobiło na nim specjalnego wrażenia, lecz wypieki na policzkach świadczyły o czymś zupełnie innym. - Wy, starzy, zawsze się wszystkim bardzo przejmujecie, ale tym razem nie ma powodu. Mój plan na pewno nie zawiedzie.

Popołudniowe godziny szybko mijały. Pod koniec dnia Abby czuła się bardzo wyczerpana, i to zarówno fizycznie, jak i psychicznie, ale to, czego wraz z Janet dziś dokonały, sprawiało jej radość. Praca pomogła jej zapomnieć o tym, że dziś nie zobaczy Rileyę.

Stojąca obok niej Janet westchnęła z ulgą. Abby oparła ręce na biodrach i przechyliwszy na bok głowę, badawczo przyglądała się wystawie.

- Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że Riley to cholerny szczęściarz, ponieważ ma nas obie za takie pieniądze. - Janet spojrzała na zegarek. - O Chryste! Już prawie szósta. Lepiej zadzwonię do domu i powiem Lew, żeby zamówił pizzę. Nie będę już dziś niczego gotować.

Podczas gdy Abby zajęła się składaniem kartonowych pudeł, Janet podeszła do stojącego na ladzie aparatu telefonicznego. Chwilę trzymała słuchawkę przy uchu, po czym ze złością cisnęła ją na widełki.

- Niestety, wciąż głuchy. - Sięgnęła po telefon komórkowy i zmarszczyła brwi. - Cholera! Chyba bateria się wyczerpała. Lew i Deborah będą musieli sami sobie poradzić.

Abby chciała jeszcze posprzątać pomieszczenie, lecz czuła, że Janet wolałaby już skończyć pracę. Przygotowała więc tyle pudeł, ile mogła unieść w obydwu rękach.

- Wyrzucę to tylko do śmieci i zaraz będziemy mogły wyjść.

Janet skinęła głową, ale niepokój nie ustępował z jej twarzy. Najwyraźniej sprawa telefonu nadal ją nurtowała.

Z rękami pełnymi pustych opakowań Abby szła przez trawnik do znajdującego się w końcu posesji pojemnika. Dzień, jak zwykle o tej porze roku, nadal był ciepły, a przesycone zapachem kwiatów powietrze sprawiało, że wiosna na Florydzie miała mnóstwo niepowtarzalnego uroku - w przeciwieństwie do lata, kiedy lejący się z nieba żar przenikał do płuc z każdym oddechem. Słońce wisiało już nisko nad wodą, zapowiadając kolejny, spektakularny zachód słońca.

Przystań znajdowała się przy końcu niewielkiej drogi dojazdowej, w pewnej odległości od głównej arterii komunikacyjnej. Na ulicach panował niewielki ruch i Abby pomyślała, że Fort Myers mimo upływu lat niewiele się zmieniło; miasteczko wraz z nadchodzącym zmrokiem zdawało się zapadać w sen. Nie ulega wątpliwości, że to nie jest Boston. Z sentymentem pomyślała, że chociaż dzięki temu zachowały się jakieś ślady z jej dzieciństwa.

Wrzucając pudła do śmietnika, doszła do wniosku, że bardzo się cieszy, iż Riley zdecydował się odbudować przystań. On do niej pasował, był jej częścią.

Nagle owładnęła nią zazdrość. Tyle lat spędziła w Bostonie, a nigdy z tym miastem nie czuła prawdziwej więzi. Miała tam

przyjaciół, dobrą pracę, ale nigdy nie osiągnęła tego wewnętrznego spokoju i pewności siebie, które zapewnia jedynie świadomość, że wreszcie znalazło się własny dom.

Wszystkie powody, rzeczywiste i wymyślone, które skłoniły ją do wyjazdu z Fort Myers - zawiedzione nadzieje związane ze spotkaniem z prawdziwą matką, niewiedza, czego oczekiwać od życia i opory przed małżeństwem - teraz wydawały się zupełnie bez sensu i zastanawiała się, dlaczego sądziła, że Boston rozwiąże wszystkie jej problemy.

Nie tylko nie rozwiązał, lecz jeszcze bardziej je skomplikował.

Obok śmietnika wylądowała mewa, odrywając Abby od jej myśli. To nie jest czas na rozpamiętywanie przeszłości. Janet pewnie nie może się już doczekać, by wyjść. Otrzepała z kurzu ręce i szybko ruszyła w kierunku budynku.

Początkowo nie dostrzegła Janet. Pomyślała, że pewnie poszła do biura Riley'a po swoje rzeczy.

- Jestem gotowa! - zawołała.

- Abby...

Głos zdawał się dochodzić znikąd; był napięty i niepewny. W pierwszej chwili Abby pomyślała, że dochodzi z biura, ale kiedy okrążyła ładę, ku swemu zdumieniu ujrzała Janet siedzącą w dziwnej pozycji na podłodze. Opierała się plecami o szuflady zainstalowane pod kasą fiskalną i ścisnęła rękami brzuch.

Abby szybko przy niej uklęknęła.

- Janet, upadłaś?

- Nie. Pewnie mi nie uwierzysz, ale chyba zacznę rodzić.

- Co?! - Abby z przerażeniem zerwała się na równe nogi i z niedowierzaniem patrzyła na Janet. - Nie możesz tego zrobić.

- Powiedz to mojemu dziecku.

Ręka Janet gorączkowo szukała czegoś, czego mogłaby się przytrzymać, i Abby znowu ukłękła, żeby jej pomóc.

- Sądziłam, że to dopiero za dwa miesiące.
- Niestety... Proszę, zadzwoń po lekarza.

Abby sięgnęła po telefon komórkowy, ale zdążyła wystukać jedynie pierwsze trzy cyfry, gdy aparat ostrzegawczo zapiszczał i umilkł. Abby, klnąc pod nosem, cisnęła go z powrotem na ladę. Czowała, że zaczyna wpadać w panikę.

- Wyczerpała się bateria. Niech szlag trafi tych telefoniarzy! Wytoczę im proces. - Trzęsła się ze złości. - Wiesz, że mogę to zrobić. Jestem prawnikiem.

- Abby, uspokój się.
- Tak, tak. Leż spokojnie. Pobiegnę do jakiegoś sklepu za rogiem i wezwę karetkę.
- Wszystko już zamknięte.
- A więc poszukam automatu.
- Nie! Zostań ze mną. Zawieziesz mnie do szpitala.
- W porządku - odrzekła Abby, starając się opanować strach.

Weź się w garść! - mówiła do siebie. Albo wyobraź sobie, że występujesz przeciwko najtwardszemu sędziemu w kraju. Możesz to zrobić. Tylko co będzie, jeśli dziecko zdecyduje się przyjść na świat?

- Dobrze - odparła. - Chodźmy do samochodu.

Janet skinęła głową.

- Tak. Boże, jak bym chciała, żeby Lew był teraz przy mnie.
- Damy sobie radę - rzekła Abby, dodając odwagi bardziej sobie niż Janet.

Trzymając obydwie torebki pod pachą, Abby pomogła Janet wstać. Długo trwało, zanim dotarły do samochodu. Widać było, że Janet nie czuje się najlepiej. Starając się podtrzymać ją

fizycznie i psychicznie, rozglądała się wokół, czy nie zobaczy kogoś, kto mógłby im pomóc.

Jednak okolica wyglądała na wymarłą.

Abby otworzyła samochód, ale gdy wyciągnęła rękę do tylnych drzwi, Janet pokręciła głową.

- Nie - wykrztusiła z trudem. - Usiądę z przodu. Muszę kogoś się trzymać. A jeśli dziecko zacznie się rodzić, musisz je odebrać.

- Co! Nie możesz urodzić dziecka w tym samochodzie!

- Dlaczego?

- Bo ma skórzane siedzenia.

Janet roześmiała się.

- Nie sędzę, żeby dziecku to przeszkadzało.

Abby zachłysnęła się powietrzem. Strach mieszał się w niej z determinacją.

- Po prostu wytrzymaj i próbuj myśleć o czymś innym.

Usadowiła Janet na przednim siedzeniu prawie w pionowej pozycji, po czym szybko zajęła miejsce za kierownicą. Pomyślała, że najlepiej będzie pojechać do tego samego szpitala, do którego niedawno zawieźli jej ojca. A jeśli go nie znajdzie? Jeśli to znacznie dalej, niż jej się zdaje?

Janet jęczała i prężyła się na siedzeniu. Abby odwróciła się w jej stronę i pogłaskała ją po rękę.

- Janet, posłuchaj mnie. Wszystko będzie dobrze - powiedziała z naciskiem. - Przrzekam.

Wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała z parkingu z taką szybkością, że skorupy muszelek prysnęły spod kół we wszystkich kierunkach. Po chwili samochód gnał już główną ulicą. Przejazd przez centrum miasta nie trwał zbyt długo, ponieważ godziny natężonego ruchu w zasadzie minęły. Na



szczęście dziecko jakby się uspokoiło, chociaż przy ostatnim skurczu ręka Janet zacisnęła się na palcach Abby jak kleszcze.

- Boże, co będzie, jeśli naprawdę dzieje się coś złego? - jęczała przez zęby. - Nie chcę stracić tego dziecka.

- Nie stracisz. Będziesz miała zdrowe, szczęśliwe dziecko, nawet gdybyś miała je urodzić w samym centrum Fort Myers.

- Czy pani jest tego pewna, pani doktor? - spytała Janet, próbując się uśmiechnąć.

Wcale nie, pomyślała Abby. Niczego nie jestem pewna. Ale nie mogła pozwolić na to, by Janet przyszło do głowy, że znalazła się w rękach amatora.

- Posłuchaj - odrzekła spokojnie. - Jeśli nawet zdarzy się to najgorsze, mogę odebrać poród. Już to robiłam.

Janet uniosła głowę; w jej oczach pojawił się cień niedowierzania.

- Chyba nie mówisz serio.

- Ależ tak.

- Kiedy? Jak?

- Parę lat temu. Przyjmowałam zeznanie od świadka i ciężarna stenografka zaczęła wtedy rodzić.

Przez chwilę panowała cisza. Janet zdawała się analizować to, co przed chwilą usłyszała. W samochodzie słychać było jedynie ciężki oddech obydwu kobiet. Na ulicy zapaliły się czerwone światła stop, lecz Abby, błyskawicznie oceniwszy sytuację, gwałtownie przyspieszyła i przejechała skrzyżowanie.

- Ty odebrałaś... poród?

Abby odetchnęła. Wprowadzie głos Janet wciąż brzmiał sceptycznie, ale była w nim również nadzieja, by to, co usłyszała, okazało się prawdą. Teraz nieco już spokojniejszym tonem ciągnęła:

- Wszyscy się rozbiegli, żeby poszukać w budynku lekarza albo wezwać karetkę, ale zanim wrócili, dziecko już przyszło na świat. To było fantastyczne przeżycie.

- A więc wiedziałabyś, co robić?

Abby nacisnęła klakson, wychylając się jednocześnie przez okno:

- Kto ci dał prawo jazdy, kretynie? Taki sam krety jak ty? - I trochę już spokojniej powiedziała do Janet: - Oczywiście, że bym wiedziała. Ale to nie będzie konieczne, ponieważ jesteśmy prawie na miejscu. Zaraz zadzwonię do Lew i twojej mamy, i do kogo jeszcze chcesz. Ty tylko się postaraj, żeby dziecko nie zrobiło nam kawału.

Palce Abby wciąż były splecione z palcami Janet. Wciąż do niej mówiła, co tylko jej przyszło na myśl. Cokolwiek, by odwrócić uwagę Janet od dziecka.

Nagle tuż przed nimi pojawiły się światła szpitalnej izby przyjęć. Samochód zatrzymał się z piskiem opon i Abby wysiadła, zanim jeszcze zgasł silnik.

- Proszę pana! - zawołała do sanitariusza, który przechodził właśnie przez automatyczne drzwi. - Potrzebujemy noszy. Mam w samochodzie ciężarną, którą natychmiast musi zbadać lekarz.

Szybko otworzyła drzwi od strony pasażera. Głowa Janet leżała oparta na zagłówku, twarz była ściągnięta i blada.

- Janet - rzekła cicho Abby, pochylając się nad nią. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Tak bardzo bym chciała, żeby Lew tu był.

- Już do niego dzwonię, obiecuję.

- Abby... - Palce Janet zacisnęły się na jej ramieniu. - Bardzo za tobą tęskniłam przez te wszystkie lata. Przykro mi, że nasze stosunki tak się popsuły.

- Mnie również, Janet. Zastanowimy się, co zrobić, żeby to zmienić. Ale teraz najważniejsze jest dziecko.

Zjawił się lekarz Janet i podjął szybką decyzję o cesarskim cięciu.

Lewis Dane Falhstrom junior przyszedł na świat o ósmej czternaście wieczorem. Był mniejszy, niż się spodziewano, i jako wcześniak został umieszczony w inkubatorze, ale lekarz powiedział, że jest zadowolony z jego stanu i nie widzi powodów do obaw. Podróż do szpitala była wprawdzie dramatyczna, ale matka i dziecko znieśli ją nadspodziewanie dobrze.

Abby z rogu poczekalni obserwowała, jak Lew senior - błądy i zmęczony - podchodzi do swej córki Deborah oraz do rodziców swoich i Janet, by im przekazać dobre wieści. Uśmiechnęła się, słysząc, jak oddychają z ulgą, a potem, jak wszyscy naraz zaczynają mówić. Ile dziecko waży? Do kogo jest podobne? Czy Lew junior ma ciemne włosy Kincaidów czy skandynawski blond Falhstromów?

Abby wstała, z trudem pokonując zmęczenie. Sądziła, że będzie mogła pojechać do domu, kiedy w szpitalu zjawi się Lew i Deborah, lecz nie mogła się na to zdobyć. Usiadła w poczekalni i czekała wraz ze wszystkimi. Czuli, że powinna zaczekać, aż urodzi się dziecko. Ona i Janet zaczęły tę podróż razem i razem powinny ją skończyć. Zadzwoiła do swojej matki, by powiedzieć, gdzie jest i poinformować, że Riley wraz z Dannym znajduje się gdzieś między Fort Myers a Sarasotą.

Teraz, kiedy czekanie się skończyło, a zdrowie dziecka nie budziło już obaw, podeszła do grupy stojących w holu osób, aby złożyć gratulacje i się pożegnać.

Rodzice Riley'a byli nadspodziewanie serdeczni, chociaż zaskoczeni jej obecnością. Przejęci zdrowiem córki i wnuka, nie myśleli o odgrzebywaniu przeszłości nawet wtedy, gdy rozmowa zamierała, a minuty ciągnęły się w nieskończoność.

Abby, chcąc się pożegnać, wyciągnęła rękę do męża Janet. Lew Falhstrom wziął ją pod ramię i odciągnął na bok.

- Domyślam się, że chcesz już wracać do domu - rzekł cicho.  
- Nie mogę ci jednak pozwolić odejść, nie dziękując za to, co zrobiłaś dla Janet. Nie miałyście telefonu i gdyby ciebie nie było... boję się pomyśleć, co mogłoby się wydarzyć.

- Janet jest uparta - odrzekła Abby z uśmiechem. - Pieszko by dotarła do szpitala, gdyby nie było wyjścia.

- Chyba masz rację - zgodził się Lew, śmiejąc się od ucha do ucha i Abby pomyślała, że widzi jedną z przyczyn, dla których Jane poślubiła tego człowieka. W jego oczach lśniły wesołe ogniki, które dodawały twarzy chłopięcego uroku.

- Teraz, kiedy wie, że już wszystko w porządku, zadręcza lekarzy, pytając, kiedy będziemy mogli zabrać małego do domu.

- To zupełnie w jej stylu.

Lew przechylił głowę, patrząc na nią uważnie.

- Wiesz, wcale nie jesteś taka, jak myślałem.

Wyobrażała sobie, co mu o niej naopowiadała rodzina Kincaidów.

- Przepraszam, rogi i ogon zostawiłam w Bostonie, jeśli tego właśnie się spodziewałaś.

Lew zerknął na teściów, spierających się, które z Kincaidów było najpiękniejszym dzieckiem.

- Znam historię o tobie i Riley'u i uwierz mi, wcale nie jest tak źle, jak myślisz. Jestem po prostu zaskoczony. Śledziłem proces Lindsaya i muszę przyznać, że w niczym nie

przypominasz tej kobiety, którą widziałem w wiadomościach. Wydajesz się jakaś... łagodniejsza, mniej bezwzględna...

Zagryzła wargi. Ta Abby, którą się stała podczas procesu Lindsaya, nie budziła jej sympatii.

- To była trudna i bardzo nieprzyjemna sprawa - oznajmiła. - Cieszę się, że mam ją już za sobą.

Lew zdawał się rozumieć, że Abby nie chce ciągnąć tego tematu. Uścisnął jej rękę.

- Wiesz, kocham Rileya jak brata, ale szczerze mówiąc, czasem jest uparty jak osioł.

Abby nie kryła rozbawienia.

- Uważaj, żeby Janet tego nie usłyszała. Musiałbyś na noc przenieść się do psiej budy.

Lew wybuchnął śmiechem.

- Coś mi się zdaje, że upór to cecha wszystkich Kincaidów. - Spojrzał na zegarek. - Lepiej już pójdę. Janet wkrótce będzie w swoim pokoju. Czy przyjdiesz jutro zobaczyć dziecko?

Zaproszenie zaskoczyło ją trochę, ale Lew okazał się taki sympatyczny, że nie potrafiła mu odmówić.

- Spróbuję. Być może mój szef pozwoli mi przyjść trochę później do pracy.

Kiedy zatrzymała samochód przed frontowymi drzwiami, zauważyła, że w oknach domu sąsiedniej posesji jest ciemno. Riley najwyraźniej nie wrócił jeszcze z Sarasoty albo po drodze spotkał kogoś z rodziny i pojechał prosto do szpitala. W ciągu kilku minut zrelacjonowała rodzicom ostatnie wydarzenia, po czym natychmiast poszła do łóżka. W chwili, gdy przyłożyła głowę do poduszki, zapadła w głęboki sen.

Około północy obudził ją dziwny dźwięk. Początkowo sądziła, że to deszcz, lecz po chwili zdała sobie sprawę, iż ktoś rzuca kamyczkami w jej okno.

Usiadła na łóżku i uśmiechnęła się. To musi być Riley.

Kiedy chodzili jeszcze do szkoły, często w taki sposób wyciągał ją z domu. Jej rodzice mieli surowe zasady, jeśli chodzi o przyjmowanie wizyt po jedenastej wieczorem, szczególnie gdy były to wizyty chłopców, i dlatego ona i Riley musieli wymyślić jakiś sposób, żeby te zasady obejść. Tyle razy wykradała się przez okno, że zniszczenia w rosnących na dole krzewach były widoczne po dziś dzień.

Przecierając oczy ze snu, wysliznęła się z łóżka i podeszła do okna. W blasku księżyca ujrzała Rileya stojącego tuż za szpalerem krzewów. Podniosła do góry dolną część okna, odgarnęła włosy z czoła i oparłszy łokcie na parapecie, czekała.

- Nie chcę budzić rodziców - zawołał cicho. - Wyjdź do mnie.  
- Jestem za stara, żeby wykradać się przez okno - odrzekła.  
- A więc wymknij się przez boczne drzwi i spotkajmy się w końcu ogrodu.

- Dlaczego miałabym to zrobić?

W jasnym świetle księżyca widziała, że Riley trzyma w ręku jakąś białą torbę. Kiedy wyciągnął ją w jej kierunku, rozpoznała znak firmowy Bennie's Diner.

- Moja kolej, żeby ci podziękować - powiedział.

Skinęła głową i sięgnęła po szlafrok.

## 9

Szybkim krokiem zmierzała w kierunku zacisznej ogrodowej altanki. Światło księżycy zmyło barwy z najpiękniejszych kwiatów, ale ich silny zapach wciąż unosił się w powietrzu. Noc wydawała się tajemnicza i urzekająca, lecz w zasięgu wzroku nie było nikogo. Abby przystanęła i wyteżyła słuch.

- Riley?

Wyłonił się z ciemności jak duch i pierwsze, co zobaczyła, to biel jego zębów, a dopiero potem usta rozchylające się w konspiracyjnym uśmiechu.

- Jestem zaskoczony - zauważył cicho. - Kiedyś potrzebowałam znacznie więcej czasu.

Czuła, że brakuje jej tchu i że krew zaczyna żywiej krążyć w żyłach. Nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest szczęśliwa, że go widzi. Chociaż, biorąc pod uwagę to, czym skończył się ich ostatni wspólny wypad, takie doznania nie były zbyt bezpieczne. Mimo to uśmiechnęła się do niego.

- Kiedyś umarłabym, gdybyś zobaczył mnie bez makijażu.

- A teraz cię to nie obchodzi?

- Nie aż tak bardzo jak to, co przyniosłeś. - Z nadzieją spojrzała na trzymaną przez niego torbę. - Czy to ciasto cytrynowe?

Pokręcił głową.

- Lepiej.

- Chyba nie kruche ciasto z truskawkami?

Kiedy skinał głową, przysunęła się jeszcze bliżej.

- Wspaniale! Na co więc czekasz?

Usiedli obok siebie na ławce, jak dzieciaki, które wykradłszy słodycze, zaszywają się z nimi gdzieś w kącie, aby je spałaszować. Riley wyciągnął dwa plastikowe pojemniki z kruchym ciastem z truskawkami, serwetki i dwa plastikowe widelce.

Abby włożyła do ust kawałek wspaniałego ciasta i przy-mrużyła z zachwytem oczy.

- Cudowne - powiedziała. - Już zapomniałam, jak bardzo to lubię. Dziękuję.

- To ja powinienem ci podziękować.

- Domyślam się, że byłeś w szpitalu.

- Janet i dziecko, na szczęście, czują się zupełnie dobrze i z tego, co słyszałem, tylko tobie to zawdzięczamy.

- Nie przesadzaj. Nie zrobiłam niczego nadzwyczajnego.

Spojrzał na nią tak wymownie, że nagle poczuła się nie-swojo. Nie powiedział ani słowa, ale wyraz jego twarzy wciąż był ten sam. W panującej dookoła ciszy słyszała, jak mocno bije jej serce i jak pulsują skronie.

- Coś ty naopowiadała Janet? - odezwał się w końcu. - Przecież nigdy nie odbierałaś porodu, prawda?

- Nie, ale wydawało mi się, że jeśli tak powiem, dobrze to na nią wpłynie.

Roześmiał się i pokręcił głową z uznaniem.

- Och, Abby, zawsze uważałem, że jesteś najbardziej pomysłową kobietą, jaką znam.

Machnięciem ręki skwitowała komplement.

- Daj spokój. To twojej siostrze należy się uznanie. Ja tylko prowadziłam samochód.



- Muszę przyznać, że poradziłaś sobie jak wytrawny kierowca. Jestem zdumiony. Pamiętam, jak usiłowałem cię nauczyć równoległego parkowania i...

Traciła go łokciem.

- Przestań! Nie chcę o tym więcej słyszeć. Na szczęście, tata nigdy nie przepadał za tym samochodem.

Wybuchnęli śmiechem na wspomnienie pierwszej lekcji jazdy Abby, po czym z apetytem zabrali się do deseru.

- Jak przeszła aukcja? - zapytała po chwili Abby.

- Kupiłem dwie motorówki dla przystani. Na bardzo korzystnych warunkach. - Obliznął resztę kremu z widelca.

- A co ważniejsze, miałem okazję lepiej poznać Danny'ego. Pogadaliśmy sobie trochę.

Zaintrygowana odwróciła do niego głowę. Niecierpliwym ruchem ręki odgarnęła włosy, ale te po chwili znowu zakryły jej twarz.

- Dowiedziałeś się czegoś o jego rodzinie?

Powoli wyciągnął rękę i odgarnął jej za ucho jeden z kosmyków.

- Myślę, że sporo.

W skrócie powtórzył jej rozmowę z Dannym. Słuchała z uwagą, od czasu do czasu kiwając głową. Niepokoilo ją, że Danny tak uparcie unikał rozmów o swoim domu.

- Wyjazd z Fort Myers - mruknęła. - To mogłoby wskazywać, że nie jest zadowolony z opieki wuja. Musi być jakiś sposób, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym, kto tak naprawdę opiekuje się tą dwójką dzieciaków.

Riley podniósł do góry rękę.

- Spokojnie! Nie możesz się w to mieszać.

- Dlaczego?

- Ponieważ to nie jest twoja sprawa.

- Co ty mówisz? - zawołała ze zdumieniem. - Jeśli każdy tak uważa...

- Nie chcę robić zamieszania, Abbot. Danny już chyba wie, że podejrzewam go o kradzież. Jeśli dam mu odczuć, że nie jestem przeciwko niemu, jeśli będę działał rozważnie...

Pamiętając o podejrzaniach swojego ojca, iż Woody być może znęca się nad chłopcem, mruknęła:

- Możesz nie być w stanie działać rozważnie.

- Co to ma znaczyć?

Sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej zlizywaniem resztek bitej śmietany z palców.

- Nic - zapewniła go, żalując, że nie zastanowiła się nad tym, co mówi. - Wiesz dobrze, że zawsze lubiłam szybkie działanie.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, sprawiło, że nagle poczuła się zdemaskowana.

- Minęło dziesięć lat, a ty dalej jesteś najbardziej nieudolnym kłamcą, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Daj sobie z tym spokój, Abby.

Wiedziała, iż dalszy upór nie ma sensu. Riley, jeśli już coś sobie wbije do głowy, potrafi być nieustępliwy.

- Tata podejrzewa, że w domu Danny'ego może dochodzić do przemocy. - Opowiedziała mu o śladach, jakie Mac zobaczył na klatce piersiowej chłopca.

Riley zacisnął zęby.

- Do diabła! Dlaczego mi o tym nie powiedział?

- Nie był w stu procentach pewny. A poza tym, nie chciał cię martwić teraz, kiedy masz tyle problemów na głowie.

- Jeśli jego podejrzenia są prawdziwe, nie można tego tak zostawić. Muszę znaleźć sposób, żeby Danny sam o tym powiedział.

- Pozwól, że się w to włączę. Mogę dotrzeć do Decafu.
- Decaf? Czy to ma coś wspólnego z kawą?
- Nie żartuj. DCAF to Urząd do Spraw Dzieci i Rodziny.
- Myślę, że to dobry pomysł.

Abby wyglądała na podekscytowaną.

- Moglibyśmy razem się tym zająć, porozmawiać z jego przyjaciółmi, wybrać się do jego domu...

Pokręcił głową.

- Nie. Nie pójdziemy do jego domu. Ty skontaktuj się z tym urzędem, a resztę zostaw mnie.

- Dlaczego?
- Ponieważ ja mogę się tym zająć.

Umilkła. Jeszcze przed chwilą była taka szczęśliwa, czuła się częścią życia Riley, a teraz została zmuszona do powrotu do roli, którą on wyznaczył jej w dniu przyjazdu do Fort Myers - dawnej przyjaciółki, dla której nie ma już miejsca w jego świecie. Och, Riley, pomyślała ze smutkiem. Jak mogliśmy dopuścić, żeby nasze drogi tak bardzo się rozeszły?

- Nie wdychaj - powiedział. - Nie rozumiesz, w czym rzecz.

Spojrzała mu w oczy.

- To mi wytłumacz.

Przez chwilę był tak samo milczący jak Abby. Wydawało się, że w spokojnym, chłodnym kokonie nocy są jedynymi ludźmi w całym wszechświecie, połączonymi przez miłość i rozdzielonymi przez przepaść, której nie potrafią zasypać.

- Znam tego dzieciaka - powiedział w końcu. - Wiem, co przeżywa, ponieważ pod wieloma względami przypomina mnie,

kiedy byłem w jego wieku. Danny jest młodym człowiekiem, który usiłuje zrozumieć, kim jest. Chłopak desperacko potrzebuje aprobaty tych dorosłych, których lubi i ceni, ale jednocześnie broni się przed jakąkolwiek ingerencją w swoje życie. Nawet jeżeli w domu jest mu bardzo źle, to jeśli nagle do niego wtargniemy i będziemy mu się narzucać z pomocą, może jeszcze bardziej zamknąć się przed nami.

Z irytacją uniosła do góry głowę.

- W pracy często zajmowałam się przypadkami takimi jak ten. I dodam, że z powodzeniem.

- Jestem o tym przekonany - zapewnił ją - ale Danny zbyt szybko dostał się w ręce urzędników i ma już po uszy ich pouczeń, co ma robić i jak żyć. Nie sądzę, żeby miał zaufanie do któregośkolwiek z nich. Wygląda mi na to, że to oni są odpowiedzialni za sytuację, w jakiej te dzieciaki się znalazły. - Wzruszył ramionami. - Pierwsza próba jakiegoś oficjalnego przesłuchania i chłopak może się zupełnie zaciąć.

Abby chwilę się nad tym zastanawiała.

- Myślę, że to możliwe - przyznała w końcu. - Dobrze więc, będziemy działać rozważnie. Ty zrobisz, co uważasz za najlepsze, a ja zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć w Dekafie. Zadowolony?

- Tak. - Wskazał na opróżniony do połowy pojemnik, który Abby postawiła obok siebie.

- A teraz zjedz to wreszcie do końca.

Jakiś czas siedzieli jeszcze obok siebie, rozkoszując się ciszą, której żadne z nich nie chciało naruszyć. Światło księżyca, senne i tajemnicze, sprawiało, że ustronna altanka wyglądała jak romantyczny rekwizyt przeniesiony z dawnych czasów.

- Widzisz? - rzekł Riley, wrzucając pusty pojemnik i widelec do stojącej na ziemi torby. - Nie wszystko musi zaraz zamienić się w spór. Wciąż potrafimy wysłuchać swoich racji.

Gestykułując trzymanym w rękę widelcem, dodała:

- Kiedyś szanowaliśmy swoje opinie, kochaliśmy się. Tylko w końcu tak się stało, że... - Przymknęła oczy, jakby szukała właściwych słów - że trochę się pogubiliśmy.

- Możemy spróbować to naprawić.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co powiedziałeś, Riley?

Dotknął rękawa jej szlafroka.

- Powiedziałem, że być może dziesięć lat temu za mało się staraliśmy. - Musiał zauważyć oburzenie na jej twarzy, ponieważ uśmiechnął się i dodał pojednawczo: - No dobrze. Ja za mało się starałem.

Odwróciła twarz i spojrzała w głąb pograżonego w ciemnościach ogrodu.

- Nie mówmy o tym. Ja poszłam w swoją stronę, ty w swoją. Dlaczego musisz rozdrapywać stare rany...

- Poczulabyś się znacznie lepiej, gdybyś mogła się pozbyć nagromadzonego w sobie żalu.

- Nie muszę się niczego pozbywać - zaprotestowała.

- Jesteś pewna? Odwróciła się do niego.

- Nic się nie zmieniłeś. Wciąż jesteś tak samo pewny siebie.

Uniósł do góry brwi.

- No właśnie. Wyrzuc z siebie całą tę złość. No, wyrzuc.

- Nigdy nie dążyłeś do kompromisu.

Kilkakrotnie w czasie tej rozmowy jego ręka wędrowała w kierunku oparcia ławki, jego palce biegły do jej ramienia, aby po chwili przesunąć się w górę, do karku i szyi.

- Mów dalej - powiedział - tylko spróbuj być bardziej konkretna.

- Jesteś niepraktyczny. Staromodny. Uparty.

- To wszystko?

Jeden z jego palców przesunął się wzdłuż linii jej brody. Odwróciła głowę i spojrzała na niego chłodno.

- Nie. Ale potrzebuję pióra i kartki, żeby to spisać. Riley nawet nie mrugnął okiem podczas wymieniania

przez nią tych wszystkich uwag. Roześmiał się tylko i zanim się zorientowała, co ma zamiar zrobić, podniósł do góry rękę i dotknął palcem jej policzka.

- Masz w kącikach ust sok z truskawek.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie możesz tego widzieć po ciemku.

Zdawał się zastanawiać nad jej słowami.

- Możliwe. Pozwól, że sprawdzę.

Znowu ją zaskoczył. Jego ręce nagle chwyciły ją za ramiona. Nie protestowała, kiedy przyciągnął ją do siebie. Jego usta lekko dotknęły jej ust, po czym wolno przesunęły się do ich kącików.

-Tak, rzeczywiście - potwierdził - to truskawki. Uwielbiam Bennie's, a ty?

Czuła, jak fala gorąca oblewa jej policzki, ale jakimś cudem zdołała zachować spokój, chociaż jej serce waliło jak młotem. To przecież Riley, powtarzała sobie. Ten sam co zawsze prześmiewca i wesołek, dążący do tego, by znowu zawładnąć jej sercem, mimo że doskonale wie, że nic z tego nie będzie. Z determinacją usiłowała nie dopuścić, by sytuacja wymknęła się jej spod kontroli.

W pojemniku została ostatnia truskawka. Zmrużyła oczy, jakby chciała przewiercić go spojrzeniem.

- Masz na nią ochotę? - zapytała.

Roześmiał się, kręcąc przecząco głową, po czym wyjął truskawkę z pojemnika i podniósł ją do ust Abby.

- Jest twoja.

Nie było wyjścia. Nie mogła odmówić, jeśli nie chciała wyjść na idiotkę. Zbyt wiele razy robił to już w przeszłości i nie zawsze miało to jakiś ukryty sens. Teraz też nie musi, pomyślała.

Usiłowała wziąć owoc do ust, nie dotykając jednocześnie jego ręki, ale to było niemożliwe. Truskawka wsunęła się między jej zęby wraz z palcami Riley'a. Jej język bezwiednie dotknął delikatnej powierzchni jego paznokci. Dreszcz przeszedł jej po plecach.

Riley wiedział o tym, ale do diabła z nim. Srebrzyste światło jeszcze bardziej uwydatniało jego wystające kości policzkowe. Nagle cofnęła głowę i jego palce wysunęły się z jej ust. Siedziała cicha, jakby sparaliżowana, a jedynym jej ruchem był powolny ruch szczęk, kiedy smakowała ostatni kęs wspaniałego owocu. Nie chciała się przed nim zdradzić, ale zdawała sobie sprawę, że on i tak potrafi odczytać, co naprawdę kryje się pod powierzchnią jej sprzeciwu. Po chwili znowu wyciągnął rękę i tym razem się pod- dała.

Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować zachłannie i niecierpliwie. Oddawała mu pocałunki z zaskakującą żarliwością i pożądaniem. Gorączkowo wodził rękami wzdłuż jej pleców i tulił do siebie tak, jakby chciał, aby nic już ich nie dzieliło. Przez cienki materiał koszuli czuła jego siłę, ciepło i bliskość. Tak boleśnie znajomą bliskość. Wchłaniała go całą sobą, przywierając do niego w sposób tak naturalny, jak łaszcząca się kotka pod wpływem pieszczot.

Jego palce niecierpliwie zmagaly się z jej szlafrokiem, aż wreszcie zsunął się na ziemię. Chłodne, nocne powietrze owiało jej nagie ramiona, ale już po chwili były tam jego ręce, aby zaoferować swoje ciepło. Jedna z nich przesunęła się wzdłuż karczku jej nocnej koszuli, minęła perłowe guziki, które broniły dostępu do jej piersi. Nagle zadrżała, a jej oddech stał się szybki i urywany.

- Niewiarygodnie słodkie - mruknął Riley, całując jej usta.

Potem pocałował jej szyję, miejsce między piersiami, wziął do ust jej brodawkę, pieszcząc ją językiem, aż w końcu wydawało się, że nie istnieje nic poza tym jednym punktem niewyobrażalnej rozkoszy. Czuli, że tonie. Desperacko szukając ratunku przed totalną kapitulacją, ostatkiem sił odsunęła się od niego.

- To nie jest dobry pomysł - wykrztusiła.

- Jesteśmy dorośli.

- To znaczy, że mamy za dużo lat, żeby to robić w ogrodzie mojego ojca.

Jego usta nagle znalazły się tuż przy jej uchu.

- A może wolałabyś raczej przenieść się na tylne siedzenie mojego jeepa? Moglibyśmy udawać, że znowu jesteśmy nastolatkami.

- Wolałabym, żebyśmy tego nie robili.

- Dlaczego?

- Ponieważ to do niczego nie prowadzi.

- Ależ skąd! - Dotknął językiem jej ucha. - To prowadzi do tego... - Jego zęby leciutko przygryzły nasadę jej karku.

- A to do tego... - Obsypał serią pocałunków jej obojczyk.

- A to z pewnością do tego...



Serce zaczęło jej mocniej bić i z przerażeniem uprzytomniła sobie, że szybko mogłaby znowu dać się ponieść emocjom. Jednak nie powinna do tego dopuścić. Potrzebowała dziesięciu lat, by pogodzić się z myślą, że ona i Riley nie będą razem. A może tak naprawdę wciąż jeszcze się z tym nie pogodziła, ale przecież nigdy tego nie robi, jeśli teraz się nie zatrzymają.

Błyskawicznie się od niego uwolniła i przesunęła w odległy koniec ławki, zapinając guziki nocnej koszuli i wciągając na siebie szlafrok. Patrząc na niego błagalnie, powiedziała:

- Riley, nie możemy.

Niedbałym ruchem przesunął ręką po włosach.

- Dlaczego? Ponieważ zerwaliśmy z sobą dziesięć lat temu? To chyba wystarczająco dawno, żeby wciąż czuć do siebie żal. Czyż nie możemy dać sobie szansy jeszcze raz?

- Z jakiego powodu?

- Czy musi być powód? - zaprotestował. - Czy nie możemy cieszyć się sobą chociaż przez krótką chwilę? Pragnę cię, Abby. Chyba nigdy mi to nie przeszło.

- Riley, niedługo wracam do Bostonu.

Wyciągnął rękę, żeby odgarnąć z jej twarzy kosmyk włosów.

- Co tam jest takiego, co ma dla ciebie aż takie znaczenie? - zapytał cicho.

- Moje życie.

Gwałtownie się wyprostował i Abby odniosła wrażenie, że w jego oczach na ułamek sekundy pojawił się jakiś błysk. Poczowała ból w sercu, ponieważ zdała sobie sprawę, że ta niezwykle ekscytująca siła, która ich na chwilę do siebie zbliżyła, nagle zgasła i że sprawiły to jej własne słowa.

- Przepraszam - rzekł chłodnym tonem - zapomniałem o tym.

Abby podniosła się. Odwróciła głowę w stronę domu rodziców, który z oddali wyglądał jak stojący na straży wartownik. Był cichy, ciemny i samotny. Ale bezpieczny.

- Powinam już iść. - Spojrzała na Rileyę, ale z tej odległości nie widziała jego oczu, które były martwe i zimne jak kamień. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, będę jutro nieco później. Chcę wstąpić po drodze do szpitala zobaczyć Janet i dziecko.

- Świetnie.

Zabolała ją ta krótka, bezosobowa odpowiedź. Otuliła się szczerzej szlafrokiem, żałując, że nie może z taką samą łatwością ukryć frustracji.

- Dobranoc.

Odwróciła się i podniósłszy do góry brzeg szlafroka, ruszyła w stronę domu. Riley wciąż siedział na ławce. Rozstali się bez uśmiechu i kiedy Abby odeszła na odległość kilkunastu kroków, spojrzała na niego jeszcze raz. Jego postać i rysy twarzy już się zatarały. Teraz był tylko ciemną sylwetką na tle jeszcze ciemniejszej zaslony.

- Dzięki za ciastko - rzuciła w mrok.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Z bólem serca patrzył w ciemność. W bladym świetle werandy obserwował, jak Abby cicho wślizguje się do domu. Chciał za nią biec, z całych sił nią potrząsnąć. Problem polegał na tym, że mimo najszczerzych chęci nie mógł przestać o niej myśleć.

Nielatwo mu było się do tego przyznać. Przez tyle lat usilnie walczył, by o niej zapomnieć. Przez ostatnie kilka dni starał się ją ignorować. W istocie jednak te wszystkie zabezpieczenia, które zbudował, okazały się niezwykle ulotną zasloną dymną.

Wciąż jest zakochany w Abby.

Odetchnął głęboko i przetarł rękami twarz. Do diabła, Kincaid. Jak mogłeś do tego dopuścić? Gdzie się podziała twoja ostrożność? I co teraz, przyjacielu?

Niezależnie od tego, że ostatnia spędzona z nią godzina wciąż szumiała mu w głowie jak szampan, czuł się jak dureń. Musiałby być wyjątkowo tępy, by nie zauważyć, że jego uczucia nie spotkały się z wzajemnością.

Bez wątplenia Abby nie jest w nim zakochana.

Prawdę mówiąc, miał poważne wątpliwości, czy fizycznie wciąż jest dla niej atrakcyjny. Nie mógł już sobie więcej wierzyć. Podczas gdy on doszukiwał się znaczenia w każdym jej przyspieszonym oddechu, każdym drgnieniu ciała, gdy dotykały go jego wargi, ona z taką łatwością przerwała ich pieśczęty. Jego ciało płonęło, a ta przeklęta kobieta tak gwałtownie go ostudziła, jakby wylała mu na głowę wiadro zimnej wody!

Pochylony do przodu, z rękami zwieszonymi bezwładnie między kolanami, w milczeniu patrzył w ciemność. W bladym świetle księżyca rozróżniał misterne żyłki na płatkach kwiatów, które Mac posadził wokół rozłożystego dębu.

Ze znużeniem podniósł do góry rękę i roztarł obolały kark, po czym spojrział na świecące wskazówki zegarka. Prawie pierwsza w nocy, a on siedzi w ogrodzie sąsiadów i cierpi z powodu kobiety.

To zaprowadzi go donikąd. Jutro czeka na niego praca. Tyle jest jeszcze do zrobienia przed otwarciem przystani. A do tego ta sprawa z Dannym i konieczność znalezienia sposobu, żeby mu pomóc.

- Masz wszystko, Kincaid - powiedział, patrząc na białą tarczę księżyca w górze. - Nie musisz tego psuć miłością.

Nie widział żadnego powodu, aby robić z siebie większego głupca niż jest. Abby wcale nie zamierza się zmienić i im szybciej się z tym pogodzi, tym lepiej. W Bostonie był jej świat, jej przyjaciele, a przede wszystkim błyskotliwa kariera, być może nawet jakiś bliski przyjaciel. Jeśli nie liczyć okazjonalnych przyjazdów do rodziców, nic już jej nie ciągnie do Fort Myers.

Czuł, że tak właśnie jest. Tym razem, kiedy wyjedzie do Bostonu, nigdy już jej nie zobaczy. Będzie musiał się z tym pogodzić. Ale... co zrobi ze swym sercem przez resztę życia, jeśli Abby nie stanie się jego częścią?

W tym samym czasie, gdy Riley siedział w ogrodzie Maca, oplakując swoje niepowodzenie, Danny'ego wytrąciło ze snu jakieś irracjonalne przeczucie.

Właściwie nie czuł strachu. Takie ostrzegawcze sygnały miewał już od wczesnego dzieciństwa. Zdarzyło się tak czwartego lipca, kiedy Ned złamał rękę, i tej zimy, kiedy jego matka straciła kolejne dziecko. A w dniu, gdy samochód rodziców został staranowany przez ciągnik, dostał w szkole takich dreszczy, że wysłano go do pielęgniarki, aby mu zmierzyła temperaturę. Sygnały nie zawsze zapowiadały nieszczęście, ale nauczył się ich nie lekceważyć.

Z westchnieniem żalu za przerwany snem Danny przewrócił się na plecy i w milczeniu gapił w sufit. Coś jest nie tak, ale nie bardzo wiedział co. Ned i wuj spali już, kiedy Riley podwiózł go do domu.

Z początku wahał się, czy powinien jechać z Rileyem, ponieważ nie chciał zostawiać braciszka na łasce wuja. Dziś jednak Woody robił wrażenie wyjątkowo spokojnego. Raz tylko podczas śniadania stracił nad sobą panowanie, kiedy Ned,

szalejąc przy stole, rozlał sok pomarańczowy. Wuj ściągnął pas i już chciał małego ukarać, gdy Danny rzucił się, aby go zasłonić, i sam wtedy oberwał. Na tym cały incydent właściwie się skończył i Danny, korzystając z tego, że wujowi przeszła złość, szybko wyprawił małego do szkoły.

Nagle jakiś cichy szmer sprawił, że ciarki przeszły mu po plecach. Czuł, że nie jest w pokoju sam. Usiłował skupić wzrok na smudze światła za przymkniętymi drzwiami. Czyżby ktoś stał na korytarzu? A może ktoś jest w środku?

Jeśli Ned znowu ma jakieś złe sny i szuka kogoś, z kim mógłby spać, Danny zaraz zapędzi go do łóżka. Potrzebował snu. To był długi i ciężki dzień, a przed sobą ma, jak się zdaje, równie ciężki. Poza tym Ned musi się stać bardziej samodzielny i porzucić dziecięce zwyczaje.

- Ned? - zawołał cicho. Żadnej odpowiedzi.

Oparł się na łokciu i z wrażenia dech zapało mu w piersiach. W pobliżu łóżka znajdował się nieduży stół, którego używał do odrabiania lekcji. W bladym świetle księżycy rozróżniał kontury stojaka na pióra, radiomagnetofonu i sterty podręczników.

Za stołem siedział wuj.

Danny wiedział, że to on. Siedział w swej ulubionej pozycji, z ciałem pochylonym do przodu, a srebrny medalion, który zawsze nosił na szyi, przedstawiający parę splecionych z sobą węży, wolno kołysał się w przód i w tył, oświetlony promieniami księżycy wpadającymi przez okno sypialni.

Woody nigdy nie przychodził do jego pokoju. Włosy zjeżyły mu się na głowie.

- Wujku?

Żadnej odpowiedzi. Żadnego najmniejszego nawet ruchu.

- Czy stało się coś złego?

- Zawsze dzieje się coś złego, chłopcze - rzekł wuj ledwie słyszalnym szeptem. - Nie nauczyłeś się tego jeszcze?

Danny zastanawiał się, co odpowiedzieć. Woody potrafił filozofować godzinami, kiedy był pijany, ale tym razem nic na to nie wskazywało.

- Potrzebujesz czegoś? - dopytywał się Danny.

- Nie.

- Jest dosyć późno.

- Czy uważasz, że dobrze się wami opiekuję? - spytał Woody niespodziewanie.

- Chyba tak. Westchnął.

- Nie lubię się z tobą klócić, Danny. Ja naprawdę się starałem - powiedział.

- Z pewnością. Ale teraz idź spać, wujku Woody. Jest późno, a ja muszę rano iść do szkoły. A ty do pracy.

- Nie.

Danny się przeraził.

- Straciłeś pracę?

- Tak.

- Jak to się stało?

Odwrócił głowę, by spojrzeć na Danny'ego, ale nawet w ciemnościach chłopiec instynktownie wyczuwał, że jego wzrok był niewyraźny.

- Uderzyłem pięścią brygadzystę.

- Dlaczego?

- Nieważne, zostałem wywalony.

Obojętność, z jaką Woody mówił o stracie pracy, zirytowała chłopca.

W pokoju było mało światła, ale jego oczy zdażyły się już przyzwyczać do ciemności. Ręka Woody'ego sięgnęła do blatu stołu i natrafiła na nożyczki, których Danny używał wczesnym rankiem do wycinania zdjęć z jednego z magazynów. Blade światło odbijało się na stalowym ostrzu, kiedy Woody powoli wbijał nożyczki w drewniany blat.

Danny usiadł na łóżku, starając się nie pokazać po sobie jak bardzo się boi. Jego serce biło jak szalone.

Nagle Woody zapytał:

- Czy kiedykolwiek śniła ci się twoja matka?

- Nie. Nigdy.

- A mnie śniła się tej nocy. Moja siostra płakała, ponieważ ją zawiódłem. Zawsze mnie uwielbiała, a ja ją krzywdziłem. Kochałem ją, ale zawsze krzywdziłem.

W jego głosie był smutek i nagle ten człowiek wzbudził w Danny'ym współczucie. Współczucie, na które, jak sądził, od dawna już nie było go stać.

Pomyślał, że Woody wcale nie jest taki zły, na jakiego wygląda, tylko czasem trochę skłócony ze światem. Lecz to wcale nie znaczy, że ma zamiar pozwolić, by zrzucał całą swą frustrację na niego i brata.

- Coś sobie znajdziesz - rzekł miękko do wuja.

- Riley powiedział mi dzisiaj, że rozgląda się za ekipą stolarzy do budowy promenady. - Woody wbił głębiej nożyczki w blat stołu i zaczął kołysać ich ostrzem. - Lubisz tego faceta?

Niezadowolony w głosie wuja trochę zaniepokoiło Danny'ego.

- Jest w porządku - rzekł ostrożnie.

- A gdybym zażądał, żebyś się zwolnił?

- To bym to zrobił - skłamał Danny, czując, że nie powinien się wujowi sprzeciwić.

Przez długie, ciągnące się w nieskończoność minuty Danny milczał. Jak urzeczony patrzył na rytmicznie kołyszące się ostrze nożyczek, które, odbijając światło księżycy, to rozbłyskiwało, to gasło.

Danny pomyślał, że rano z całą pewnością zobaczy w blacie stołu niezłych rozmiarów dziury.

- A więc zwolniłbyś się -powtórzył Woody z niedowierzaniem.  
- Jasne, wujku. Chociaż ekstra pieniądze zawsze nam się przydadzą.

- Na co ci są potrzebne pieniądze?

- No wiesz... na różne rzeczy.

Woody gwałtownie się wyprostował.

- Potrzebujesz więcej, niż mogę ci kupić?

- Nie, ale ty tak ciężko pracujesz, wujku - usiłował się wykręcić. - Wiem, że opieka nade mną i Nedem sprawia ci kłopot. Potrzebujemy wielu rzeczy, za które nie jesteś w stanie zapłacić. Chcę pomóc, ale jeśli to problem...

- Nie! - szorstko przerwał mu Woody. Nożyczki z brzękiem upadły na stół i Danny odetchnął z ulgą.

- Na razie tam zostaniesz. Ale koniec z wyjazdami poza miasto. Tylko praca.

- W porządku.

- Nie jesteś jego synem.

I swoim również, chciał powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język. Wuj siedział jeszcze parę minut w milczeniu, po czym bez słowa opuścił pokój.

Po chwili Danny usłyszał, jak wuj zamyka za sobą drzwi od sypialni.



Wyciągnął się na łóżku i podłożywszy ręce pod głowę, znowu zaczął gapić się w sufit. Powoli dochodził do siebie, chociaż nie łudził się, że szybko zaśnie.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem zdecydowany był na ucieczkę z domu wuja. Jeśli Woody nie przestanie być zazdrosny o kontakty Danny'ego z Rileyem, może wymusić na nim odejście z pracy. Może poza tym wyładowywać swoją złość. Nie wyobrażał sobie tylko, aby Woody zrobił coś złego Nedowi.

Gdyby jednak do tego się posunął, Danny wiedział, że bez wahania zabiłby łobuza.

RS

Następnego dnia przed wyjściem z przystani Abby zadzwoniła do biura w Bostonie, by porozmawiać ze swą asystentką.

Stephanie Duvall była niezbyt wysoką, młodą kobietą o krótkich, falujących włosach i zadziwiających zdolnościach do zapamiętywania każdego, najdrobniejszego nawet szczegółu dotyczącego prowadzonych przez Abby spraw. Szczyciła się również tym, że wie o wszystkich intrygach w biurze. Od dawna tajemnicą poliszynela było, że nic nie może zdarzyć się w firmie bez wiedzy Stephanie. Bardzo ucieszyła się z telefonu Abby.

- Nareszcie dałaś znak życia - strofowała ją. - Co się stało? Czy to deszcz wygonił cię wreszcie z plaży?

Stephanie byłaby zdumiona, gdyby usłyszała prawdę, Abby jednak nie zamierzała zwierzać się jej, że jak dotąd nie widziała plaży na oczy. Zdjęła z suszarki filizankę i uśmiechnęła się do słuchawki.

- Chciałam się dowiedzieć, co słyhać. Oczywiście wiem, że nie możesz sobie dać rady beze mnie. Przyznaj się, Steph. Twoja następna podwyżka w dużym stopniu od tego zależy.

W słuchawce rozległ się głośny śmiech.

- Umieram bez ciebie. Wszystko jest do bani.

- Właśnie to chciałam usłyszeć. A co poza tym? - zapytała Abby, przechodząc do spraw zawodowych.

- Chodzą słuchy, że dziś mają aresztować Paula Lindsaya. Władze stanowe zdecydowały się w końcu wytoczyć mu proces karny. Borreson prawie tańczy z radości.

Abby nie mogła sobie wyobrazić, by dostojny Lester Borreson, najpoważniejszy współdziałowiec firmy, w ogóle

potrafił tańczyć. Doskonale jednak wiedziała, że szef ma osobiste powody, by zniszczyć kongresmana Lindsaya i radość, jaką w tej sytuacji odczuwał, wydawała się zupełnie zrozumiała. Kiedy proces cywilny wytoczony przez dziadków Michaela Lindsaya został wygrany, Borreson wypłacił Abby i dwóm innym członkom zespołu specjalne premie. Wspomniał również o możliwości przyjęcia do spółki kogoś z nich - w najbliższej przyszłości.

- To dobrze - odparła Abby. - Mam na myśli Lindsaya. Uderzenie go po kieszeni oczywiście cieszy, ale chcę go zobaczyć w więzieniu.

- Nie mówisz jak prawnik, który właśnie odniósł spektakularne zwycięstwo, a już na pewno nie jak ktoś, kto być może jeszcze przed nastaniem lata zostanie udziałowcem firmy.

- Czy to wciąż temat numer jeden wszystkich rozmów?

- Leverette spodziewa się, że przejdzie do ciebie i Petersa - konfidencjonalnym tonem dodała Stephanie. - To wydaje się prawdopodobne. Peters chodzi z taką miną, jakby jego nazwisko już znajdowało się na drzwiach. Twardo o to zabiega. Myślę, że powinnaś spakować swoje bikini i wracać do domu. Zanim ktoś wejdzie na twoje terytorium, Abby.

Wracać do domu? Dlaczego te słowa nagle zabrzmiały tak dziwnie? Przymknęła na chwilę oczy i czekała. Czekwała na coś, co pomoże jej podjąć decyzję. Chciała, by myśl o powrocie do Bostonu przepełniała ją radością, a nie wątpliwościami i lękiem, które ostatnio zdarzały się jej coraz częściej.

- Abby... - odezwała się Stephanie, kiedy cisza w słuchawce trwała zbyt długo.

- To nie jest moje terytorium.

- Jeszcze nie - odrzekła Stephanie, po czym z irytacją dodała:  
- Przecież zależy ci na tym, chyba nie zaprzeczysz? Po co byś tak ciężko pracowała przez tyle lat?

Ręka Abby, podnosząca do ust filiżankę kawy, zatrzymała się w pół drogi. Ze zdumieniem stwierdziła, że po raz pierwszy nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie.

Jakie to szczęście, że Lewis junior zdecydował się wcześniej przyjść na świat, pomyślała Abby. W sytuacji gdy otwarcie przystani jest tuż-tuż, a zajęta dzieckiem Janet nie może im pomóc, Abby nietrudno było wpaść w wir przygotowań. Unikała w ten sposób rozmów, które prowadziły donikąd, a pod koniec dnia zmęczenie do tego stopnia dawało się jej we znaki, że randka w ogrodzie przy świetle księżyca była po prostu nie do pomyślenia.

Nigdy jeszcze tak ciężko nie pracowała, nawet w college'u gdzie miała tyle dodatkowych zajęć. Tydzień więc minął, zanim się spostrzegła. Janet, zajęta przyzwyczajaniem dziecka do opiekunki, nie była osiągalna i do prac porządkowych w magazynie włączył się Mac. Wycierali, odkurzali i pucowali każdy niemal kącik. Abby, poddając próbie swe talenty prawnicze, wygrała batalię z firmą telefoniczną. Przyklejała niezliczone ilości znaczków i wkładała korespondencję do kopert, które następnie rozsyłane były do różnych firm w okolicy.

W ciągu tego tygodnia rzadko widywała Riley'a. Celowo czy też przez przypadek, on i Danny bez przerwy coś robili przy nabrzeżu, gdzie panował niezwykle ożywiony ruch. Cysterny przywoziły paliwo, które następnie przetaczano do zbiorników przy doku. Przybyły zakupione na aukcji łodzie. Przynętę dla ryb i żywe krewetki wrzucano do specjalnych basenów. Abby przez

ogromne okno obserwowała Riley, jak naradza się z dostawcami, gdzie umieścić butle z tlenem.

Całe popołudnie spędził w swoim biurze na rozmowach z przyszłym personelem, mimo to Abby tego dnia widziała go jeszcze mniej. Drzwi przez cały czas były zamknięte.

W godzinach wolnych od pracy nie jeździli już do Bennie's ani nie spotykali się nocą w ogrodzie jej ojca. Jak sama powiedziała, jaki to miałyby sens? Wkrótce wraca przecież do domu w Bostonie.

Tylko... im dłużej tu jest, tym rzadziej Boston kojarzy się jej z domem. Jeszcze przed zakończeniem procesu Lindsaya czuła dziwny niepokój. Ten proces kosztował wiele zdrowia wszystkich pracowników firmy, ale nawet wtedy, gdy się już skończył, jej rozdrażnienie wcale nie minęło. Czuła się tak, jakby w jej życiu brak było równowagi, jakby zgubiła gdzieś swą tożsamość.

Czując, że zwycięstwo w sądzie jest bliskie, starała się otrząsać z tego nieprzyjemnego uczucia. To minie, powtarzała sobie. Ale codziennie rano, kiedy zatrzymywała się przed lustrem, widziała jedynie kobietę, dla której nawet własne odbicie wydawało się zagadką.

Temat Bostonu powrócił w niedzielę poprzedzającą otwarcie przystani. Abby i jej ojciec myli samochód. Mac bardzo dbał o swoje auto, spędzając długie godziny na pucowaniu każdego centymetra jego powierzchni. Teraz, kiedy robili to razem, nadarzała się doskonała okazja, żeby mogli z sobą porozmawiać.

Abby namydloną szmatą usuwała resztki przyklepionych do maski insektów i co pewien czas odsuwała się od samochodu, by ojciec mógł splukać oczyszczone miejsce przy pomocy ogrodowego węża.

- Wiesz - powiedziała, wstrząsając się z obrzydzenia - w Bostonie nie ma takiego paskudztwa.

- A powiedz, co jest - zapytał Mac z typową dla niego zgryźliwością, pod którą ukrywał prawdziwie gołębie serce - poza fasolą w sosie pomidorowym i starymi posagami Paula Revere?

Jako były nauczyciel, ojciec doskonale znał odpowiedź na to pytanie, lecz Abby, dostosowując się do jego tonu, odrzekła:

- Wspaniałe muzea, imprezy kulturalne, zapach historii i dreszczyk emocji, że żyje się w wielkim mieście, gdzie bez przerwy coś się dzieje.

- Gdzie bez przerwy coś się dzieje - prychnął ze złością Mac.  
- Masz na myśli przestępstwa, biedę i przeludnienie? Dla mnie to jest przerażające.

- Jeszcze tutaj - wskazała miejsce na masce, które powinien splukać. Z rękami opartymi na biodrach stała z boku i czekała, aż lejąca się z węża woda zmyje pianę z auta. - Nie powinnam się spodziewać, że zrozumiesz, dlaczego chcę tam żyć.

Odsunął na bok gumowy wąż. Strumień wody, regulowany znajdującym się u wylotu przyciskiem, nagle się urwał.

- Naprawdę chcesz tam mieszkać, Abigail? - spytał spokojnym tonem. - Naprawdę chcesz wrócić do Bostonu?

Czy naprawdę chce wrócić? Te słowa nie dawały jej spokoju. Co ją tam właściwie ciągnie?

- Oczywiście, że chcę.

- A więc dlaczego unikasz kontaktu ze swoją firmą?

To pytanie zupełnie ją zaskoczyło. W osłupieniu patrzyła na ojca, który uniósłszy do góry brwi, ciągnął:

- Wczoraj, kiedy byłaś z mamą po zakupy, dzwonił Bradley Leverette. Podobno już trzy razy zostawiał dla ciebie wiadomość, ale się nie odezwałaś.

Odwróciła głowę, chcąc uniknąć przenikliwego wzroku ojca.

- Jestem bardzo zajęta. Sam wiesz, ile na przystani jest pracy.

- Czy mam rozumieć, że porzucasz swoją praktykę adwokacką? Nie żal ci szkoły i długich lat wyrzeczeń?

- A czy ja nie mam prawa do wakacji?

Skierował silny strumień wody na podjazd, chcąc splukać mydliny do studzienki ściekowej na ulicy. Gdy skończył, odwrócił się do Abby.

- Dobrze wiesz, jak bardzo się cieszę, że jesteś ze mną, ale to wcale nie są wakacje. To ucieczka.

Z rezygnacją wrzuciła szmatę do wiadra z mydlinami i ruszyła w stronę werandy, gdzie matka przygotowała napoje i coś do przegryzienia. Po chwili usiadła na zalanych słońcem schodkach. W rękę trzymała owsiany placek, z których Maggie słynęła na całą okolicę. Powoli odrywała z niego niewielkie kęsy i podnosiła je do ust. Mac nalał do szklanek lemoniadę i dołączył do niej.

Milczał, lecz Abby doskonale wiedziała, że jeśli chodzi o ojca, najsprytniejszy nawet wybieg na nic się nie zda. Patrzyła na wirujące w szklance pęcherzyki dwutlenku węgla i zastanawiała się, co powiedzieć.

- A więc czego chcesz, tatusiu? Chcesz mnie wsadzić do najbliższego samolotu?

Nachmurzył się.

- W ogóle nie chcę, żebyś tam wracała. Chcę, żebyś została, ale z zupełnie innych powodów. - Urwał na chwilę, po czym, ochłonawszy nieco, spojrzął jej prosto w oczy i dodał: - Co się dzieje, Abigail?

Czas było skończyć tę maskaradę. Nigdy nie potrafiła go oszukać. Ojciec zawsze bez trudu odczytał wszystko z jej twarzy. Pokręciła głową.

- Sama nie wiem. Czuję się dziwnie zagubiona.

Patrzył na nią uważnie.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

W milczeniu jedli ciasteczka, zatopieni we własnych myślach. Niebo było bezchmurne, błękit niemal tropikalny, a oni patrzyli, jak promienie słońca odbijają się od lśniącej karoserii samochodu. W ciągu kilku następnych minut wspólnie polerowali go przy pomocy specjalnego wosku. Później, siedząc znów na stopniach rodzinnego domu, Abby czuła spokój i bezpieczeństwo.

- Wiesz... - Mac przerwał nagle ciszę - twoja matka i ja przez cały czas pilnie śledziliśmy wszystko, co dotyczyło procesu Lindsaya. Byliśmy z ciebie tacy dumni

Niepowtarzalny nastrój ciszy i spokoju nagle znikł.

- Wszyscy sądzą - rzekła Abby cicho - że to największy sukces w mojej karierze.

- Nieważne, co wszyscy sądzą. Ważne, co sądzisz ty.

Nie chciała o tym mówić. Sprawa Lindsaya była zbyt świeża, aby mogła o niej dyskutować bez emocji. Wstała, jakby w ten sposób chciała zamknąć niezbyt wygodny temat.

Wzięła do ręki jedną z czystych szmatek przygotowanych do polerowania samochodu.

- Jestem gotowa, jeśli i ty jesteś.

Wstając ze schodków, widziała, jak ojciec marszczy brwi i chociaż teraz nie patrzyła na niego, to jednak podświadomie



czuła, że wcale nie miał zamiaru dać za wygraną. Odwróciła się więc do niego i patrząc mu w oczy powiedziała:

- Leverette to jeden z pracowników firmy. Jeszcze zanim wyjechałam z Bostonu, mówiło się, że któremuś z nas zostanie zaproponowane przystąpienie do spółki. Myślę, że chce o tym porozmawiać.

- Przystąpienie do spółki? - Mac patrzył na nią ze zdumieniem.

- To tylko możliwość.

Znowu zapanowała cisza. Abby spodziewała się, że ojciec natychmiast zaprotestuje, ale wyglądało na to, że rozważa wszystkie za i przeciw.

- To ogromne zobowiązanie - powiedział w końcu.

- Może nigdy do tego nie dojść. Ale tak, to byłoby ogromne zobowiązanie. Oczywiście byłabym szczęśliwa...

- Szczęśliwa? Z jakiego powodu? - zapytał ktoś i kiedy Abby obejrzała się za siebie, ujrzała zbliżającego się do nich Riley'a. Tuż obok niego leniwie włókł się Buster.

Przez chwilę Abby i Riley w milczeniu patrzyli na siebie.

- Abby zastanawia się nad podjęciem pewnych decyzji - zaczął Mac i nagle urwał, jakby czekał na reakcję córki.

Riley pochylił się, kiedy Buster otarł się o jego nogi, prosząc o pieczętę. Abby zafascynowana obserwowała, jak ręka Riley'a zagłębia się w obszerne fałdy psiego futra. Szczęśliwy pies, pomyślała.

Riley podniósł do góry głowę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- O co chodzi? Czyżby w Bostonie nie było nikogo, kto by dbał o interesy pani mecenas?

Abby przez chwilę walczyła ze sobą, by nie chwycić gumowego węża i nie sprawić mu prysznica.

- Aktualnie moja firma prawnicza rozważa moje przyśpienie do spółki. - Wiedziała, że jej twarz jest zupełnie obojętna. Ale głos? Z trudem go poznawała. Był nienaturalny, zgryźliwy i zanadto pewny siebie.

Nie zauważyła, żeby ta informacja zrobiła na Rileyu jakieś szczególne wrażenie. Jego ręka wciąż tak samo gładziła futro psa. W pewnej chwili z irytującą uprzejmością rzekł:

- No cóż... Widać te wszystkie głośne procesy w końcu ci się opłaciły, nie uważasz?

- Nie... - Musiała przełknąć ślinę, ponieważ gardło miała tak zacisnięte, że z trudem wymawiała słowa.

- To nie jest jeszcze oficjalne - wtrącił Mac. Abby spojrzała na niego z ukosa.

- Rzeczywiście nie, ale jeśli otrzymam taką ofertę, nie widzę powodów, dla których miałabym ją odrzucić.

Mac podał Rileyowi owsiane ciasteczko. Riley odłamał kawałek i wrzucił go do ust.

- Mmm, coś wspaniałego. Czy to ty je upiekłaś? - Wykrzywił się. - Oj, chyba nie, to pewnie Maggie. Przecież sama mówiłaś, że nadal nie umiesz gotować.

- Mówiłam, że nie mam czasu, żeby się tego nauczyć - poprawiła go - a to coś zupełnie innego.

- Oczywiście - przyznał, sadowiąc się na schodkach, po czym sięgnął po kolejne ciastko. Buster oparł mu łapy na kolanach i węsząc niespokojnie, czekał na okruchy. Riley wyciągnął rękę i pies błyskawicznie pożał trzymany przez niego kawałek.

- Teraz wynoś się stąd, ty kundlu! - zawołał, spychając psa z kolan. - Zaczynasz się popisywać.

Abby obserwowała jego zmagania z Busterem. Czarne szorty Riley'a odsłaniały mięśnie jego ud. Wszystko wskazywało na to, że noga już go mniej boli. Miał na sobie bajecznie kolorową koszulę i wyglądał atrakcyjnie, lecz Abby robiła wszystko, żeby nie pokazać po sobie, jak wielkie robi na niej wrażenie.

- Czy są jakieś szczególne powody, dla których tu przyszedłeś? - zapytała chłodno.

Przechylił na bok głowę, wyraźnie zaskoczony tonem jej głosu.

- Przyszedłem, żeby porozmawiać z tobą i Makiem o Danny'm. Pomyślałem, że powinniśmy zestawić wszystkie dane i określić, na czym stoimy. Czy możemy uzyskać jakieś informacje, wykorzystując numer ubezpieczenia?

Kilka dni temu Riley dał jej numer ubezpieczenia wuja Danny'ego. Właściwie bez trudu go zdobył. Chłopak wspomniał kiedyś, że jego wuj pracuje w budownictwie, a ponieważ Riley wykonywał wiele prac na terenie przystani, znał wielu szefów firm budowlanych. Już w trakcie trzeciej rozmowy telefonicznej odnalazł takiego, który kiedyś miał na liście płac Woodrowa Torrence'a i uzyskał od niego wszystkie potrzebne mu informacje, z datą urodzenia i numerem ubezpieczenia łącznie.

- Nawiązałam kontakt z wydziałem walki z przestępczością na Florydzie i biurem szeryfa - poinformowała go Abby - ale w ich bazie danych nie było zbyt wiele informacji. Jeden kilkudniowy areszt, parę drobnych przewinień, właściwie nic specjalnego. Była żona oskarżyła go kilka lat temu o pobicie, ale wycofała się z tego, zanim doszło do procesu.

Mac, polerując samochód, parsknął z niezadowolaniem.

- Czy chcesz powiedzieć, że po tragicznej śmierci rodziców tych dzieciaków sąd przekazał je kryminaliście, zamiast oddać jakiejś przyzwoitej rodzinie?

- Nie mogę wypowiadać się za urzędy florydzkie, ale sąd dla nieletnich w Massachusetts zawsze preferuje umieszczanie dzieci u rodziny.

- Coś złego dzieje się z tym krajem! - zagrzemiał Mac.

- A co z aktami chłopców w Decafie? - zapytał Riley. - Udało ci się coś znaleźć?

- Niestety nie. Te informacje są poufne. Musiałam pokonać wiele przeszkód, żeby dostać się do ich bazy danych, ale nic tam nie było. Żadnych meldunków o stosowaniu przemocy nad dziećmi, żadnego zgłoszenia na pogotowie.

- Może się myliłem - ponuro zauważył Mac.

- Nie chcę się jeszcze poddawać. - Riley w zamyśleniu potarł brodę. Milczeli jakiś czas, po czym Riley wyprostował się nagle, jakby coś istotnego przyszło mu do głowy. - Mac, pamiętasz nauczyciela, który się nazywał Calvin Jessup? Dzieciarnia go nie cierpiała.

- Uczył algebry? Uwielbiał nosić apaszki?

- To ten.

- Nauczyciele też go nie lubili. Nieciekawy typ. Dlaczego pytasz?

- Jest dyrektorem szkoły Danny'ego.

Abby przerzuciła ściereczkę przez ramię i podeszła bliżej. Jej ojciec zrobił to samo.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie jestem pewien. Rozmawiałem z nauczycielami Danny'ego oraz ze szkolnym psychologiem, ale nie chcieli

udzielić mi żadnych informacji, ponieważ nie jestem krewnym chłopaka.

- Sama mogłam ci o tym powiedzieć - oświadczyła Abby tonem wyższości. - Po prostu nie wolno im tego robić.

- Myślałem, że będę miał szczęście i znajdę kogoś, kto zechce ze mną porozmawiać, jeśli tylko okaże się dostatecznie przekonujący. - Mrugnął na Abby. - Wiesz przecież, że potrafię.

- Coś takiego? - zawołała. - Nie było żadnej sfrustrowanej panny, która za obietnicę kilku buziaków rzuciłaby ci się do stóp?

W oczach Riley'a pokazały się wesołe ogniki.

- Nie, od kiedy ty opuściłaś miasto.

Zaprotestowała, co jeszcze bardziej go rozbawiło. Ściągnęła z ramienia ścierkę i ze złością zabrała się do polerowania samochodu. Riley zwrócił się teraz do Maca i odetchnęła z ulgą.

- Jeśli szkoła miała jakieś kłopoty z Dannym - ciągnął - to powinien być u nich w aktach jakiś ślad. Jako dyrektor szkoły, Jessup musi mieć do tych akt dostęp. Zamierzam z nim porozmawiać, ale nie sądzę, żeby był bardziej skory do współpracy niż podległy mu personel. I to jest właśnie twoje zadanie, Mac.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł i porozmawiał z nim?

Riley skinął głową.

- Mam nadzieję, że w rozmowie z kimś z własnego środowiska okaże się bardziej otwarty. Tym bardziej że mnie raz wyrzucił z klasy.

- Dwa razy, o ile dobrze pamiętam - z satysfakcją przypomniawszy mu Abby.

- Jeśli chodzi o ten drugi, to zostałem wrobiony - zaprotestował. - Byłem niewinny.

Roześmiała się ironicznie.

- Och, ileż razy to już słyszałam.

Mac, drapiąc się w zamyśleniu po głowie, dodał:

- Możemy pójść do Jessupa razem, ale kiedy zacznie robić uniki, lepij żebyś zostawił mnie z nim sam na sam.

- Sądziś, że powie więcej, jeśli mnie nie będzie?

- Możliwe.

- Dlaczego?

Mac obrzucił ich chytrym spojrzeniem.

- Ponieważ apaszki to nie była jedyna słabość Calvina. A ja pamiętam wszystkie nazwiska tych pań.

- Tato! To mi wygląda na szantaż.

Mac się nachmurzył.

- Och, nie mów takich rzeczy, Abigail. W moim wieku nie ma mowy o szantażu. To tylko wina kiepskiej pamięci, która sprawia, że robi się niewłaściwe rzeczy w niewłaściwym czasie.

Wielkie otwarcie przystani przypadło na jeden z tych cudownych, wiosennych dni, którymi Floryda wabi turystów we wszystkich folderach reklamujących usługi biur podróży. Promienie słońca, skrząc się i mieniając, odbijały się od pomarszczonej powierzchni wody, a chłodna bryza, niosąc z sobą kuszącą woń morza, poruszała flagami i balonami.

Muzyka, której doborem zajmował się lokalny dyskdzokej promujący swą radiostację, rozbrzmiewała po całym terenie przystani. Sprzedawca hot dogów rozdawał wszystkim gościom kielbaski, wodę sodową i popcorn. Pod namiotem w niebieskie pasy klaun z zabawnie pomalowaną twarzą i magik wyczarowujący zwierzątka z dmuchanych baloników gromadzili wokół siebie dziesiątki dzieci. Na gości czekały poza tym liczne

nagrody oraz bezpłatne przejażdżki łódką dla każdego, kto w tym dniu zapisze się na kurs żeglarstwa, nurkowania czy windsurfingu.

W magazynie wciąż było pełno klientów. Mac i Danny bez przerwy uzupełniali zawartość szuflad i półek i pomagali gościom wchodzić do dwóch pontonowych łodzi, które kursowały wzdłuż wybrzeża. Janet pozostawiła w biurze Riley'a śpiącego w wózek synka i pomagała kręcącym się po magazynie klientom znaleźć to, czego szukali. Nawet Maggie się zjawiła. Stała przy wyjściu, chcąc się upewnić, czy każdy opuszczający przystań klient wypełnił kolorową widokówkę i wrzucił ją do specjalnie przygotowanej skrzynki pocztowej.

Do południa przystań odwiedziło ponad czterysta osób. Zawarto dwadzieścia kilka umów na wynajem miejsc postojowych dla łodzi, w magazynie zabrakło koszulek z napisem Phoenix i sprzedano dwuosobową żaglówkę pewnej parze, która opłaciła jednocześnie lekcje żeglarstwa.

Stojąc za kasą fiskalną wraz z nowo zatrudnioną ekspedientką Lindą, Abby pomyślała, że odnieśli ogromny sukces. Czy Riley jest zadowolony?

Podniosła do góry głowę i uważnie rozejrzała się dookoła. Nigdzie go jednak nie widziała.

Przez cały dzień Riley witał przybywających gości - zarówno starych przyjaciół, jak i zupełnie obcych ludzi - tak, jakby od dawna na nich czekał. Stojąc przy wejściu, jak przystało na gospodarza, ścisnął ręce, uśmiechał się do dzieci i, Abby z bólem musiała to przyznać, z miejsca oczarowywał każdą kobietę.

Docierały do niej fragmenty rozmów. Głos Riley'a brzmiał szczerze i naturalnie. Często się śmiał z dowcipów gości, co

natychmiast zjednywało mu ich sympatię i nawet jeśli gdzieś w głębi duszy dręczyły go obawy, jakie efekty przyniesie ten dzień, to jednak nie okazywał tego.

Abby pomyślała, iż nie powinno jej to dziwić. Riley Kincaid, którego na nowo poznawała po przyjeździe z Bostonu, nie był już tym samym niepoprawnym marzycielem, którego знаła z college'u. Wciąż był beztroskim człowiekiem, ale teraz zdawał się w pełni koncentrować na znalezieniu swego miejsca w środowisku.

To jest jego środowisko, pomyślała. Miejsce, do którego zawsze pasował. Czyżby ta determinacja tkwiła w nim od zawsze? Czy też bodźcem było zniszczenie pierwszej przystani?

W pobliżu wejścia do magazynu matka machała do niej ręką. Sygnalizowała, że potrzebuje więcej kart. Abby wyciągnęła nowe opakowanie widokówek i ruszyła w jej kierunku.

- To ci powinno na jakiś czas wystarczyć - powiedziała, kładąc karty na ustawionym w pobliżu drzwi stoliku. - Wszystko w porządku?

- Oczywiście, kochanie - odrzekła Maggie. - Ta atmosfera kojarzy mi się z pierwszym dniem w szkole.

Jakiś klient zatrzymał się przy stoliku i Abby umilkła, kiedy pochylił się, by wypełnić kartę. Obserwowała, jak tłum gości spaceruje po przystani.

Nagle zauważyła Riley'a. Stał w pobliżu doku, gawędząc z jakąś rudowłosą, niezwykle chudą kobietą, której nogi sięgały prawie do pach, a najkrótsze szorty, jakie Abby miała okazje kiedykolwiek widzieć, ledwie okrywały jej pośladki. W pewnej chwili Riley i rudowłosa dziewczyna wybuchnęli śmiechem, po czym Riley przyciągnął ją do siebie i serdecznie objął.

Trochę za dużo, jak na powitanie, nie uważasz Riley?



Kim ona jest? Kim jest dla Riley'a? I dlaczego tak mnie to obchodzi? - pytała samą siebie.

Wcale mnie nie obchodzi. To tylko zwyczajna ciekawość.

Kłamiesz.

Klient wypełnił kartę i odszedł. Maggie westchnęła z zadowoleniem.

- Co za dzień! Riley z pewnością będzie wykończony.

Abby prawie jej nie słuchała. Rudzielec wciąż paplał, a Riley, niech go diabli, wyglądał na rozanielonego.

- Tak - rzuciła z przekąsem. - Biedny facet tak strasznie ciężko pracuje.

Maggie podażyła za wzrokiem Abby, po czym, aby lepiej widzieć, włożyła na nos okulary.

- No, no! Ależ ona jest atrakcyjna!

Abby spojrzała na matkę ze zdumieniem.

- Co ty mówisz? Ona jest po prostu chuda. Wygląda jak tyczka.

- Riley chyba nie podziela twojej opinii - zauważyła matka.

- Znasz ją?

- Nie sędzę. Jeśli chodzi o życie prywatne, Riley jest bardzo dyskretny. Chcesz, żebym się czegoś o niej dowiedziała?

- Nie! - zaprotestowała Abby trochę zbyt energicznie. - Byłam po prostu ciekawa, czy to jakaś krewna Riley'a, której nie zdążyłam jeszcze poznać.

- Nie ma w sobie nic z Kincaidów.

Nie. Rzeczywiście nie ma. Wygląda jak... Nie obchodzi cię to, Abby, zapomniałaś? Odwróciła szybko głowę w kierunku lady.

- Powinam chyba wrócić. Linda już ledwo zipie. Zawołaj, jeśli będę ci potrzebna.

Nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę kasy. Nie chciała myśleć o tym, że dzisiaj może się tu zjawić więcej przyjaciółek Riley'a chętnych do złożenia mu gratulacji. Dziesięć lat to dla mężczyzny strasznie długo, żeby wytrzymać bez damskiego towarzystwa. Musiała przyznać, że jeśli Riley w czasach college'u był atrakcyjny, to teraz, kiedy przekroczył trzydziestkę, wydawał się bardzo pewny siebie i niebezpiecznie pociągający.

A ty myślałaś, że on zdażył się już nauczyć, iż takie kobiety jak ten rudzielec niewiele mają do zaoferowania oprócz włosów i pary wspaniałych nóg.

Mężczyźni!

Dźwięk elektronicznej kasy odnotowujący kolejny zakup wyrwał Abby z zamyślenia. Linda podała jej zakupiony przez klienta komplet do nurkowania. Sięgając po plastikową torbę, Abby spojrzała na Janet. Jej zaszępiąca twarz wskazywała, że ma jakieś kłopoty.

- Coś złego? - zapytała Abby, kiedy klient odszedł z zakupem od lady.

- Możesz pójść ze mną do biura?

Ton głosu Janet był poważny, lecz Abby nie sądziła, by to miało jakiś związek z nią. Od tego wieczoru, kiedy przyszedł na świat Lew junior, stosunek Janet do niej uległ radykalnej zmianie. Dwa dni temu zjadły razem lunch. Nie znaczyło to oczywiście, że były takimi jak kiedyś przyjaciółkami, lecz wyglądało na to, że wzajemne towarzystwo zaczęło im znowu sprawiać przyjemność.

Abby weszła za Janet, która przez chwilę patrzyła na dziecko spokojnie śpiące w wózekczku, po czym odwróciła się do niej. Wyglądało na to, że nie ma odwagi czegoś jej powiedzieć.

- Abby - zaczęła w końcu, ale w jej głosie słychać było wahanie. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Czy coś się stało?

- Nic strasznego. Widzisz... - Znowu chwilę milczała. - Być może to, o co cię poproszę, to zbyt wiele, ale tylko ty możesz mi pomóc i wiem, że Riley...

- O co chodzi, Janet? - przerwała jej Abby. Zbyt wiele lat spędziła na sali sądowej, żeby nie wiedzieć, kiedy ktoś kręci.

Janet wzięła głęboki oddech i zmieniając taktykę, wyznała:

- Jeden z pracowników nagle odszedł i potrzebuję kogoś na zastępstwo.

Abby kamień spadł z serca. A więc chodzi jedynie o małą reorganizację pracy. Czyżby Janet nie wiedziała, że Abby zrobiłaby wszystko, co tylko w jej mocy, by zapewnić Rileyowi sukces?

Nagle dotarło do niej, że to prawda. Niezależnie od tego, co się wydarzyło w przeszłości, niezależnie od niezbyt dobrych aktualnych kontaktów i ruzielców w jego życiu, wciąż zależało jej na szczęściu Riley'a. Pokręciła głową i z udanym oburzeniem zawołała:

- Na litość boską, dlaczego nie powiesz tego wprost?

- Nie byłam pewna, czy się zgodzisz, a nie chciałabym włączać w to Riley'a.

Abby spojrzała na nią podejrzliwie.

- Chwileczkę. Chyba nie chodzi o wyciąganie gwoździ?

- Nie... - odrzekła z wahaniem Janet i sięgnęła po wiszący za drzwiami bajecznie kolorowy kostium. Był to strój, który rano miał na sobie śmiesznie pomalowany klaun.

Janet podała go Abby i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Żadnych gwoździ. Ale co powiesz na trochę farby?

Pod koniec dnia Riley bolała szczęka od ciągłego uśmiechania się. Chora noga też dawała o sobie znać. Przez wiele godzin robił wszystko, by ukryć ból. Chciał w ten sposób udowodnić, że już doszedł do siebie. Jednak teraz wyraźnie kulał; był zbyt zmęczony, żeby myśleć o zachowaniu pozorów. Poza tym dochodziła już szósta i przystań pustoszała.

Wielkie otwarcie odrodzonej z popiołów przystani Phoenix należało już do przeszłości. Długi, bardzo wyczerpujący dzień zakończył się ogromnym sukcesem.

Zawdzięczał to wielu osobom. Nowo zatrudnieni pracownicy doskonale wywiązali się ze swego zadania, a pomoc rodziny i przyjaciół była imponująca. Mac i Maggie. Janet i Danny. Abby.

Abby wciąż go zdumiewała. Wydawała się szczerze zaangażowana we wszystko, co dotyczyło przystani, tryskała energią i sypała niezwykłymi pomysłami. W głębi duszy bardzo go to cieszyło, ale jednocześnie czuł zawód, że w żaden sposób nie wpłynęło to na zmianę jej planów. Wciąż zdecydowana była wracać. Prędzej czy później znajdzie się na pokładzie lecącego do Bostonu samolotu.

Propozycja przystąpienia do spółki musiała przeważać szalę. Z pewnością była bardziej atrakcyjna niż cokolwiek, co mógłby zaferować Fort Myers. Nie wyłączając jego osoby.

Kiedy przyjdzie się z nim pożegnać, podziękuje jej za pomoc i spokojnie popatrzy, jak znowu znika z jego życia. Byłby durniem, gdyby dał jej odczuć, jak bardzo pragnie, by została.

Co za ironia losu! Potrafił wskrzesić feniksa, ale nie potrafił nic zrobić, by wskrzesić miłość w sercu Abby.

Linda obsługiwała jeszcze kilku niezdecydowanych klientów, kiedy w drzwiach pokazał się Riley. Skinał jej głową z uznaniem i wszedł do biura. Janet skończyła właśnie pracę i wyłączyła komputer. Widząc brata, uśmiechnęła się do niego.

- Prawie zrobione, siostrzyczko - rzucił, pochylając się nad umywalką.

- Wyjęłam z kasy prawie całą gotówkę i włożyłam ją do sejfu. Chcesz, żebyśmy została i pomogła ci zrobić bilans?

- Nie. Idź do domu. - Spojrzał przez ramię na wózek.

- Chyba mały ma już dosyć.

- To był długi i ciężki dzień. Zwolniłam już wszystkich poza Lindą. Zostanie, aż wyjdzie ostatni klient.

- Doskonale. Damy sobie radę. Czy Abby też wyszła? - rzucił od niechcienia.

- Jest przy namiocie.

Zmarszczył brwi.

- Ona nie musi pomagać w sprzątanii.

Janet wzięła na ręce synka, który zaczął się już porządnie awanturować.

- No cóż... Tym razem skierowałam ją tam do pracy.

- Co takiego? - zawołał ze zdumieniem. - Nic z tego nie rozumiem. Sądziłem, że nie prowadzicie już wojny.

- Nie zrobiłam tego, żeby jej dokuczyć. Pojawił się problem, a ona zgodziła się pomóc w jego rozwiązaniu.

- Co to za problem?

Uśmiechnęła się do synka, który pomimo jej wysiłków, rozplakał się już na dobre.

- Och, nic ważnego.

Bez słowa wyciągnął ręce do siostrzeńca i Janet natychmiast mu go oddała. Przytulił do siebie dziecko i łagodnie do niego przemawiając, zaczął spacerować po pokoju.

- Mały, co się dzieje? Nikt się tobą nie zajmuje?

Janet spakowała rzeczy dziecka do torby, złożyła wózek i przez chwilę obserwowała brata. Lew uspokoił się, najwyraźniej urzeczony spokojnym, męskim głosem.

- Riley - z zakłopotaniem odezwała się Janet. - Czy ty i Abby będziecie razem?

Riley zatrzymał się nagle i spojrzał na nią.

- Nie!

- Och! Bardzo mi przykro.

- Co? Spodziewałem się dzikich okrzyków radości.

- Zmieniłam zdanie. Ona jest w porządku. I bardzo ją lubię. I wiesz, co ci powiem? Temu, co się stało, jesteś tak samo winien jak ona.

Spojrzał na nią spod oka.

- Czy to ona tak ci powiedziała?

- Nie. Nie rozmawialiśmy o tym, ale dobrze wiem, jaki potrafisz być zawzięty i jak trudno przyznać ci się do błędu.

- To teraz nie ma znaczenia - odparł spokojnie. - Ma wreszcie to, czego chciała, pełne sukcesów życie w Bostonie.

- Jeśli jest tam taka szczęśliwa, to co tu robi?

- Może potrzebuje po prostu trochę odpoczynku po tym niezwykle stresującym procesie.

- Nie sądzę. Pomyśl, ile pracy tu wykonała. Ona lubi tu być, Riley. Lubi być koło ciebie.

Spojrzał na siostrę z powątpiewaniem.

- Coś mi się zdaje, że po urodzeniu dziecka patrzysz na wszystko przez różowe okulary. Bądź realistką, Janet. Abby nie

ma zamiaru niczego zmieniać, a tym bardziej wracać do Fort Myers.

- Mogłaby, gdyby wierzyła, że ty jesteś częścią tych zmian.  
Dobrze wiedział, że nie powinien się łądzić.

- No cóż, nie jestem.

- A chciałbyś? - zapytała cicho.

Nie chciał o tym rozmawiać z siostrą. Podeszedł do niej i oddał jej dziecko.

- Zabieraj go i idź do domu. Mam jeszcze trochę pracy.

Parę minut później szedł w kierunku namiotu. Z daleka widział, że wewnątrz nie ma nikogo, ponieważ płócienne boki były odsłonięte. Cały teren był straszliwie zaśmiecony. Wiatr rozwiewał po trawie plastikowe kubki i popcorn, tylko plac zabaw wyglądał inaczej.

Rozejrzał się, nigdzie jednak nie dostrzegł Abby. W pewnej chwili zauważył Berta, który pochylając się nad krzesłami, zbierał śmieci i pakował je do plastikowych toreb. Riley zupełnie się tego nie spodziewał. Gdy go zatrudniał, Bert uzgodnił z nim, że będzie malował dzieciom twarze przez osiem godzin z godzinną przerwą na lunch. Nie mniej i nie więcej.

Riley klepnął mężczyznę w plecy.

- Bert, widziałeś Abby?

Facet wyprostował się i odwrócił do niego twarz. Rileya zamurowało.

- O Boże, nie!

Takiej Abby jeszcze nie widział. Miała na sobie krawat w kropki, który sięgał do kolan, obszerną koszulę i równie obszerne spodnie, które podtrzymywały imponujących rozmiarów szelki. Jej piękne włosy schowane były pod wielką czapką baseballową. Twarz, poza miejscami, gdzie były na-

malowane bajecznie kolorowe kwiaty, pokrywała warstwa białej szminki. Wokół oczu biegł wzór w kształcie rombów, a obrysowane jasnoczerwonym ołówkiem usta sprawiały wrażenie, jakby sięgały od ucha do ucha.

Wyglądała zabawnie. Cudownie. Jak bardzo jej w tej chwili pożałował! Za wszelką cenę starał się tego nie okazać.

Abby ostrzegawczym ruchem wyciągnęła do niego palec.

- Słuchaj, jeśli powiesz chociaż jedno słowo, to ja...
- Oskarżysz mnie o zniesławienie?
- To byłaby dla ciebie za mała kara - odrzekła, kręcąc głową.
- Myślałam o czymś o wiele bardziej dotkliwym, na przykład o... zepchnięciu cię z doku z kamieniem przywiązany do stóp.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Lubisz przemoc, prawda? Przypomnij mi, Abby, jakie było kiedyś twoje stanowisko w sprawie kary śmierci?

Uśmiechnęła się i odsunęła go na bok. Z siedzenia jednego z krzeseł podniosła na wpół zjedzonego hot doga i wrzuciła go do torby na śmieci.

- Jeśli nie masz zamiaru mi pomóc, to przynajmniej nie przeszkadzaj.

Riley zaczął składać krzesła i ustawiać je w kącie namiotu. Jutro zabierze je stąd firma, w której zostały wypożyczone.

- Jak, na Boga, udało się mojej siostrze namówić cię do włożenia tego stroju?

- Najwyraźniej klauni nie lubią stosować się do utartych reguł. Bert zostawił swój samochód w miejscu, gdzie jest zakaz parkowania, i straż miejska mu ten samochód odholowała. Ostatnio Janet widziała go, jak szedł w stronę miejskiego parkingu. - Abby wyprostowała się. - Co miała więc robić? Wręczyła mi ten kostium i poprosiła, żebym zastąpiła Berta.



- Nie musiałaś tego robić.  
- Wiem.  
- Szczególnie dla mnie.  
- Nie zrobiłam tego dla ciebie. Janet powiedziała, że czeka tam sześcioro dzieci, żeby im pomalować buzie. Jak mogłam odmówić?

- Nie wiedziałem, że potrafisz malować.  
- Jest jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz. Chociaż w tym jednym musiał jej przyznać rację. Schylił się i podniósł kilka pustych puszek po wodzie sodowej.

W pobliżu ustawionego specjalnie dla magika ruchomego pomostu Abby zebrała sporo nie zużytych jeszcze baloników.

Podszedł do niej, chcąc jej pomóc.

- Czy już ci dziękowałam, Abbot? Ja naprawdę zdaję sobie sprawę, ile pracy tu włożyłaś.

Przystanąła na chwilę, jakby oszołomiona tym, co usłyszała, po czym znowu zajęła się pakowaniem balonów do plastikowej torby.

- Bardzo proszę. Cieszę się, że nie odszedł ten, kto te balony nadmuchiwał - dodała. - Wtedy rzeczywiście byłabym w kłopotcie.

- A więc jest coś, czego nie potrafisz?

Jakby dla zaprzeczenia, wzięła do ręki jeden z balonów, szybko go nadmuchiwała i mocno zawiązała. Balon zamienił się w niewielką czerwoną rurę.

- Proszę! - rzekła, wręczając mu balon. - To waż.

Roześmiał się, biorąc go do ręki. Uśmiech, który nagle pojawił się na ustach Abby, przyprawił go o drżenie. Desperacko szukając czegoś, co odciągnęłoby jego uwagę od jej twarzy, spojrzał w dół na imponującą talie.

- Zawsze uważałem, że znakomicie wyglądasz w spodniach - zauważył - ale te są chyba zbyt ekstrawaganckie, nie sądzisz?

Szybkim ruchem podciągnęła je do góry i rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Lepiej ze mną nie zaczynaj, Kincaid. Jest mi okropnie gorąco i padam na twarz ze zmęczenia. Spędziłam pięć godzin z prawie tysiącem dzieciaków, z których każde chciało mieć na twarzy jednoroźca i raketę kosmiczną.

- Potrafisz namalować jednoroźca? - zawołał z udanym podziwem.

- Oczywiście, że nie potrafię. Skończyło się więc na kwiatkach. Żartowałam z nimi i opowiadałam różne kawały. Szczerze mówiąc, Kincaid, płacąc mi takie grosze, robisz na mnie niezły interes.

Chwyliła ścierkę ze stołu, na którym było mnóstwo różnych słoiczków i farb. Nabrała na ściereczkę trochę kremu do zmywania twarzy i zaczęła wycierać nią czoło. Po chwili zmarszczyła brwi, obserwując w lusterku, jak nikłe są rezultaty jej wysiłków.

- Cholera, to wygląda jak farba drukarska.

Wyjął ścierkę z jej ręki.

- Pozwól, że ja to zrobię.

Chciała się od niego odsunąć, lecz chwycił ją za ramię. Ustąpiła z rezygnacją, z jaką poddaje się losowi skazaniec. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, a oczy powędrowały do góry, by po chwili zatrzymać się na płóciennym suficie, jakby dostrzegły tam coś godnego uwagi. Zaczął delikatnie wycierać jej policzki, zataczając coraz szersze koła. Gdy dotarł do kącików nienaturalnie rozciągniętych czerwonych ust, nagle uświadomił sobie, jak bardzo chciałby je pocałować.

Jego ręka znieruchomiała. Spod białej farby, którą usunął z jej policzka, nagle wyłonił się rumieniec.

- Jakie kawały? - zapytał cicho.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co?

- Jakie kawały opowiadałaś dzieciom?

- Och. Wszystkie kawały prawnicze, które uznałam za nadające się dla niewinnych uszu.

Walczył z sobą, by się nie roześmiać. Zawsze twierdziła, że zupełnie nie radzi sobie z dziećmi, wyobrażał więc sobie, jak się czuła otoczona chmurą dzieciaków, z których każde chciało zwrócić na siebie uwagę. Musiała się zorientować, o czym myśli, bo się cofnęła, bezpowrotnie niszcząc rodzącą się między nimi bliskość, i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co cię tak śmieszy?

- Zastanawiałem się, co pomyślałby twój szef, gdyby cię teraz zobaczył.

Wykrzywiła się do niego i ściągnęła czapkę z głowy. Niecierpliwym ruchem ręki odsunęła opadające na twarz włosy.

- Jak minęła reszta dnia?

- Wspaniale. Ale niczego bym nie osiągnął, gdyby nie wasza pomoc. Nie wyłączając twojej.

Zabrała mu ściereczkę i kilka razy przetarła nią twarz. Większość farby na szczęście zniknęła.

- Chyba zjawilo się trochę twoich przyjaciół.

- Rzeczywiście było kilku.

Abby przystąpiła do porządkowania stołu. Zbierała kredki, zakręcała słoiczki i usuwała śmieci.

- Kim jest ten długonogi rudzielec, z którym tak długo rozmawiałeś? - zapytała w końcu. - Jakaś stara przyjaciółka?

Przerwał zawiązywanie worków ze śmieciami i spojrzał na nią uważnie, starając się zrozumieć, o co jej chodzi. Pytanie zabrzmiało dosyć dziwnie.

- To Leslie, moja fizykoterapeutka.
- Ach, tak.
- Jest ładna, nie uważasz? - dodał z satysfakcją.
- Jeśli komuś się podobają takie chude z okładek...
- Jej mężowi również się podobają.

Wyglądała na zaskoczoną. Nagle, jakby szukała czegoś, czym mogłaby zająć ręce, wetknęła akcesoria do malowania twarzy pod pachę.

- Przebiorę się i pojedę do domu.

Obserwując, jak idzie w kierunku magazynu, Riley pomyślał, że nigdy nie widział równie atrakcyjnego klauna. Zabrał obydwie worki i ruszył w stronę pojemników na śmieci. Był już w połowie drogi, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Czyżby Abby była zazdrosna o Leslie? A właściwie dlaczego? Przecież jasno dała mu do zrozumienia, że obchodzi ją jak zeszłoroczny śnieg. Ścisnął palce, te, które tak niedawno ścierały z jej twarzy farbę. Ten skurcz jej warg broniących się przed dotykiem... Dlaczego więc nie powiedziała o tym wprost? Dlatego, że tak naprawdę nie ma to dla niej żadnego znaczenia, czy też dlatego, że właśnie ma?

To była dla niego zagadka. Jeszcze przed chwilą sądził, że jego uczucie do Abby jest jedynie jednostronne.

Czyżby się mylił?

Abby usunęła w łazience resztki makijażu i przebrała się w dzinsy i koszulkę. Marzyła o cieplej kąpieli. Była wyczerpana i zła, że dotyk Riley'a sprawiał jej taką przyjemność.

Linda, postępując zgodnie z pozostawioną przez Janet instrukcją, uporządkowała ladę i zamknęła kasę.

- Riley powinien za chwilę wrócić - poinformowała ją Abby.

Kiedy weszła do biura po torebkę, zauważyła, że zielony plecak Danny'ego wciąż wisi na wieszaku. Zdjęła go. Był bardzo ciężki, pomyślała więc, że musi zawierać przynajmniej z pół tuzina książek.

- Czy Danny jest jeszcze? - zapytała Lindę.

- Nie. Odjechał na motorze dobrą godzinę temu. - Widząc plecak w rękach Abby, dodała: - Podczas lunchu uczył się i pewnie zapomniał go zabrać.

- Ciekawa jestem, czy nie będzie mu potrzebny - mruknęła Abby.

W jej głowie zaczął się rodzić pewien pomysł. Wszystkie informacje dotyczące Danny'ego i jego wuja, jakie udało się dotychczas zebrać, były bardzo niejasne. Wizyta w domu chłopca może pomóc dowiedzieć się czegoś więcej. Jeśli zawiezie plecak, może dopisze jej szczęście i spotka Woody'ego Torrence'a...

Zamyśliła się. Gdyby powiedziała o tym Rileyowi, ten mógłby wszystko zepsuć. A to znaczy, że powinna jechać bez jego błogosławieństwa. Poza tym nie ma zamiaru zrobić niczego złego. Będzie to po prostu zwykła, przyjacielska wizyta kogoś, kto odwozi pozostawioną w pracy rzecz. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej niewinnego?

Jeśli naprawdę ma zamiar to zrobić, lepiej żeby zrobiła to szybko. Riley może wrócić w każdej chwili. Przerzuciła plecak przez ramię i wtedy coś błyszczącego wysunęło się z jego bocznej kieszeni i upadło na dywan. Schyliła się i podniosła zgubę. Serce zabiło jej szybciej.

Wewnątrz malej, plastikowej torebki leżała złota moneta, starożytny pieniążek wydobyty z dna oceanu. Poznała, że był to jeden z przedmiotów wydobytych z wraku statku zatopionego w pobliżu Zatoki Meksykańskiej, które wraz z ojcem parę dni temu umieszczała w gablocie.

Jak Danny mógł to zrobić? Była oburzona. Riley zasługuje na większą lojalność. Najwyższy czas, aby wreszcie coś z tym zrobić. Wsunęła monetę do kieszeni, podeszła do biurka Riley'a i szybko przejrzała stojącą na nim kartotekę. Po chwili z adresem Danny'ego w ręku wsiadała do samochodu.

Po piętnastu minutach była już po drugiej stronie Eastland Mail. Ulicę bez trudu zlokalizowała na planie, który znalazła w schowku samochodu. Niezawodny stary Mac. Nigdy nie wybierał się nigdzie bez planu miasta.

Rozejrzała się dookoła i odetchnęła z ulgą. Okolica, w której mieszkał Danny, wyglądała na dosyć przyzwoitą. Domy, przeważnie bungalowy z lat czterdziestych, miały nieduże werandy i maleńkie jak znaczek pocztowy podwórka. Dom Danny'ego znajdował się w samym centrum, ale nie miał, jak pozostałe, szczególnych znaków, które odróżniałyby go od innych. Nie było tu ani małych baseników z wodą dla ptaków, ani stojących na drodze rowerów, o które można by się potknąć, ani zawieszonych nad garażem obręczy do gry w koszykówkę. Nic, co świadczyłoby, że mieszkają tu dzieci.

Zatrzymała samochód przy krawężniku i weszła szybko na werandę. Rozejrzała się, nigdzie jednak nie dostrzegła motoru Danny'ego. Weranda tonęła już w mroku, ale wewnątrz domu było doskonale widoczne przez drzwi z siatki. Zerknęła do środka. Nie zauważyła niczego niepokojącego. Salonik wyglądał dosyć

typowo: telewizor, dookoła komplet solidnych mebli, podniszczone dywany na podłodze.

- Halo? - zawołała, pukając do drzwi. - Jest tam kto?

Za salonikiem dojrzała światło. Był tam niewielki pokój, a właściwie kuchenka. Sterta brudnych naczyń zapełniała zlew, a w powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa. Chwilę później zauważyła w środku mężczyznę. Szedł w stronę drzwi, wycierając ręce w ścierkę do naczyń. Ponieważ wiedziała, że nie ma tu żadnego innego dorosłego, domyśliła się, że ma przed sobą wuja Danny'ego.

Stał po drugiej stronie drzwi i patrzył na nią szklanymi jak u lalki oczami. W jego twarzy nie zauważyła żadnego podobieństwa do Danny'ego. Proste, czarne jak heban włosy i ogorzała twarz niewiele o nim mówiły. Miał na sobie dobrze już znoszone dżinsy i drelichową koszulę bez rękawów, która uwydatniała jego imponujące mięśnie. Abby przypomniała sobie, że wuj Danny'ego był pracownikiem fizycznym i teraz, kiedy na niego patrzyła, nie miała co do tego wątpliwości. Mężczyzna był doskonale zbudowany i nie miał na sobie nawet grama tłuszczu.

- Jestem Abigail MacAllister - powiedziała, chcąc przerwać przedłużającą się ciszę. - Pracuję z Dannym na przystani.

Zauważyła, że do drzwi wejściowych zbliża się mały chłopiec. Była to kopia Danny'ego w miniaturze, ze słodką dziecinną buzią i szczerbą po przednich zębach. Ponieważ Woody Torrence nie zrobił nic, by jej pomóc, Abby postanowiła sama zapoznać się z chłopcem.

- Ty musisz być Ned. Danny wiele mi o tobie mówił - rzekła z uśmiechem.

Stojący za chłopcem mężczyzna poruszył się niespokojnie.

- Danny'ego nie ma, wysłałem go po mleko. Właśnie przygotowujemy się do kolacji.

- Bardzo przepraszam. Nie miałam zamiaru przeszkadzać. - Pociągnęła nosem. - Jaki wspaniały zapach.

- To tylko burgery - wtrącił nieśmiało Ned.

Abby nie miała nadziei, że zostanie zaproszona na kolację. Prawdę mówiąc, wszystko wskazywało na to, iż nawet nie wejdzie do środka. Mężczyzna nadal stał w drzwiach. Wyciągnęła przed siebie plecak.

- Tu są książki Danny'ego. W tym całym zamieszaniu pewnie zapomniał je zabrać z biura.

- Przekażę mu.

Wciąż stała, czekając, że w końcu otworzy drzwi i odbierze od niej plecak. Mężczyzna nie ruszył się. Patrzył na nią tak, jakby była oglądanym pod mikroskopem insektem.

Niczego nie osiągnęła. Ta wyprawa okazała się jedynie stratą czasu. Torrence jest silnie zbudowanym, milczącym typem, ale to wcale nie znaczy, że musi być jednocześnie brutalny.

- No cóż... - Odwracała się od drzwi, gdy przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. - Danny doskonale pracuje - dodała. - Wszyscy jesteśmy z niego bardzo zadowoleni.

Twarz Woody'ego Torrence'a zeszywniała.

- Czyżby?

- Tak. Riley zaferował mu pracę w pełnym wymiarze latem, jak tylko skończy się szkoła.

Abby czuła, że Torrence'owi nie spodobały się jej słowa i nie miała pojęcia, co się za tym kryje. Czekała na jego reakcję. Torrence położył rękę na ramieniu chłopca i odwrócił go tyłem do drzwi.



- Ned - powiedział - rozłóż sztucce na stole i nalej wody do szklanek. No, idź.

Abby już miała zamiar odejść, kiedy drzwi nieoczekiwanie się otworzyły i Woody wyszedł na werandę.

- Niech pani posłucha - zaczął, wyciągając w jej kierunku palec. - Powie pani swojemu szefowi, żeby nie robił żadnych planów. Chłopak tego lata będzie pracował ze mną na budowie.

- Czy Danny o tym wie?

- Nie wie, ale to nie ma znaczenia. Już podjąłem decyzję. - Było tyle złości w jego twarzy, że Abby cofnęła się. - Może pani powiedzieć Kincaidowi, żeby nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy. Chłopak należy do mnie.

- Niezupełnie, panie Torrence. Może pan być opiekunem, ale...

Jego oczy zwięzły się.

- Kim, do cholery, pani jest?

- Powiedziałam panu...

- Co pani wie o mnie i tych dzieciakach? Kto pani o nas naopowiadał?

- Nikt.

Napierał na nią, sądząc, że się przestraszy. Kilka razy w jej prawniczej karierze zdarzyło się, że obrońca użył w stosunku do niej tego triku, sądząc, że będąc kobietą, szybko straci grunt pod nogami.

- Czy Danny o mnie coś mówił? - warknął.

- Nigdy o panu nie wspominał.

- A więc kto?! - krzyknął i tym razem jego silne palce zacisnęły się na jej ramieniu.

Podniosła do góry głowę i patrząc rozwścieczonemu mężczyźnie w oczy, rzekła chłodno:

- Panie Torrence, proszę mnie puścić.

- A jeśli nie? - Szczęki miał tak zaciśnięte, że Abby dziwiła się, iż w ogóle mógł cokolwiek powiedzieć.

- Zrobiłbym to, gdybym był na twoim miejscu - odezwał się inny męski głos i kiedy obydwójce odwrócili głowy, zauważyli stojącego na schodach Riley'a. - Ta pani tak doskonale zna się na prawie, że zanim się zorientujesz, będziesz już w pudle.

Woody puścił ramię Abby i ruszył w stronę intruza.

- A cóż to jest, dom publiczny? Kim pan jest?

Riley powoli wchodził po schodach i Abby musiała przyznać, że z ulgą przyjęła jego nagłe pojawienie się. Riley zdawał się nie dostrzegać, że fizycznie wuj Danny'ego miał nad nim znaczną przewagę. Tylko raz surowo spojrział na Abby, po czym nie spuszczał już wzroku z przeciwnika. Nagle spokojnie wyciągnął do niego rękę.

- Jestem Riley Kincaid, panie Torrence. To do mnie powinien pan mieć pretensję, ale być może dojdziemy jakoś do porozumienia.

Zaskoczony Woody uściśnął podaną mu dłoń. Jego brwi wznosiły się i opadały, a wzrok krążył między Rileyem i Abby. Jego oczy wciąż były zimne i nieufne, ale zachowanie jakby mniej agresywne.

- Wyjaśniałem właśnie pańskiej sekretarce, że jeśli chodzi o pracę Danny'ego w czasie wakacji, to podjąłem już decyzję.

- Tak, słyszałem. I chociaż doceniam wysiłki mojej pracownicy - rzucił w kierunku Abby protekcyjnalne spojrzenie, co spowodowało, że miała ochotę go uderzyć - to jednak nie miała prawa wypowiadać się w moim imieniu. Oczywiście, Danny ma przede wszystkim obowiązki w stosunku do swojej rodziny. Ale może moglibyśmy dojść do porozumienia.

- Nie rozumiem...

- Z tego, co wiem, jest pan stolarzem - ciągnął Riley. - Pan zaś z pewnością wie, że właśnie otworzyłem przystań tuż obok publicznej plaży. Mógłbym skorzystać z pańskich cennych rad przy budowie hali. Byłby pan zainteresowany?

- Myślę, że mógłbym się tego podjąć - odrzekł Woody. - Jutro?

- O dziewiątej?

Mężczyzna skinął głową.

- A więc do jutra - rzekł Riley z uśmiechem i odwrócił się do Abby, która ze zdumieniem przysłuchiwała się ich rozmowie. - Idziemy, panno MacAllister. To był długi dzień.

Jego jeep stał tuż przy krawężniku, ale zamiast do niego, Riley poszedł wraz z nią do auta jej ojca. Kiedy Abby usiadła za kierownicą, pochylił się, opierając łokcie na drzwiach samochodu.

- Sekretarka! - mruknęła z przekąsem. - To ogromny zaszczyt...

- Jedź do domu. Ja pojedę za tobą.

Nagle zorientowała się, że jest na nią zły. Jego twarz była prawie tak samo zacięta jak twarz Woody'ego Torrence'a.

- Riley, mogę ci wyjaśnić...

- Z pewnością - odrzekł spokojnie. - Jedź już.

Zatrzymał się przy podejździe do domu MacAllisterów, tuż za samochodem Abby. Wieczorne światło sączyło się z werandy tak łagodnie jak morelowy krem. Abby wysiadła i oparłszy się o drzwi samochodu, czekała.

Riley chwilę jeszcze siedział w jeepie, pogrążony w myślach. Nie był na Abby zły. Był tylko zły z powodu swego żalosego udziału w tej szopce. Zawarta z Abby i jej ojcem umowa, by pomóc Danny'emu, przyniosła dotychczas niewielkie efekty.

On i Mac spotkali się wreszcie z dyrektorem Jessupem, ale nie uzyskali wiele. Abby powiedziała im, że prześladowane dzieci często źle się uczą i rzadko przyjaźnią z rówieśnikami, lecz w szkolnych aktach Danny'ego nie znaleźli nic na poparcie tej tezy. Chłopak miał dobre oceny i aktywnie uczestniczył w życiu szkoły. Jedyna negatywna uwaga dotyczyła spotkań na parkingu z chłopcami, których wyrzucono w ubiegłym roku ze szkoły.

Riley musiał przyznać, że od tamtej pory niewiele zrobił, by pchnąć sprawę do przodu. Pomimo ostrzeżeń Abby, nie zdobył się na męską rozmowę z Dannym. Zajęty tysiącem spraw związanych z otwarciem przystani, wciąż nie mógł znaleźć na to czasu.

To nie była jej wina, tylko jego. To on powinien był zjawić się pod drzwiami Torrence'a. To on powinien był zmierzyć się z tym typem. Był wściekły, że Abby znalazła się w takiej sytuacji, a jeszcze bardziej, że tę niemądrą decyzję podjęła bez niego. Wciągnąwszy głęboko powietrze w płuca, wysiadł z samochodu i wolno ruszył w jej stronę.

Wyprostowała się. Charakterystyczne odęcie ust wskazywało, że spodziewała się kłopotów. W jej spojrzeniu był spokój, jaki zwykle panuje przed burzą, a skrzyżowane na piersiach ręce ostrzegały, by trzymał się na dystans.

- A teraz posłuchaj - zaczęła tonem zapowiadającym otwartą wojnę. - Wiem, że jesteś wściekły, ale jeśli sądzisz, że to upoważnia cię do robienia mi awantury, to lepiej to sobie daruj. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - odrzekł.

I nagle, w ciszy przerywanej jedynie biciem ich serc, przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. Zaczął ją całować, wyładowując w tych pocałunkach całą nagromadzoną przez dziesięć lat miłość i całą frustrację, którą tłumił w sobie od tej pamiętnej nocy w ogrodzie. Powoli jej opór słabł. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne, aż w końcu poczuł, że Abby zaczyna reagować.

Wtuliła się w niego i całowała go mocno, sprawiając, że serce waliło mu jak szalone. Jej usta zdawały się przekazywać mu płonący w niej ogień. Jej palce wpiły się w jego kark, starając się przyciągnąć go do siebie tak blisko, jak tylko to było możliwe. Była miękka i uległa i dużo więcej czuła, niż chciała okazać. Jego uparta, piękna Abby. Gotowa zabić najgroźniejszego potwora w obronie kogoś, kogo kocha.

Kochaj mnie, Abby. Zostań ze mną.

Kiedy w końcu się rozdzielili, Riley, trzymając Abby pod rękę, odprowadził ją do schodów. Objęci usiedli na stopniach werandy.

- Myślałam, że jesteś na mnie zły - powiedziała cicho.
- Jestem zły - potwierdził.
- W dziwny sposób to okazujesz.

Odwrócił się, chcąc patrzeć na jej twarz oświetloną blaskiem księżycy.

- Wiesz, co czułem, kiedy zobaczyłem, jak ten typ cię traktuje? - Podniósł rękę i pogładził ramię, na którym niedawno zacisnęły się palce Torrence'a. - Mógł zrobić ci krzywdę, Abbot.

Położyła rękę na jego dłoni i uśmiechnęła się.

- Nie zrobiłby tego. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, ale w pracy zetknęłam się z wieloma rozwścieczonymi ludźmi. Coś mi mówiło, że nie posunąby się aż tak daleko. - Po chwili milczenia dodała: - Skąd wiedziałeś, że tam pojechałam?

- Linda wspomniała, że wychodząc z biura zabrałaś plecak Danny'ego. Kartoteka na moim biurku otwarta była na adresie Danny'ego. Nie potrzebowałam zbyt wiele czasu, żeby się domyślić, dokąd pojechałaś. - Nachylił się, aby ucałować wewnętrzną stronę jej dłoni. - Tak mi przykro, że nie było mnie przy tobie. Nie chciałbym widzieć, jak cierpisz. Nigdy.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Zastanawiał się, jak by się zachowała, gdyby jej powiedział, że ją kocha i że nigdy nie przestał jej kochać. Pochyliła głowę i zakryła twarz rękami.

- Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? - roześmiała się nerwowo, jakby chciała ukryć drżenie głosu.

- Nie musi - rzekł spokojnie i odetchnął głęboko. - Porozmawiajmy o czymś innym. Dlaczego tam pojechałaś? Poza chęcią zobaczenia, gdzie Danny mieszka i poznania Torrence'a.

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła złotą monetę.

- Ta moneta wypadła z plecaka Danny'ego. To jedna z tych, które są u ciebie w gablocie.

- Tak, to jedna z nich.

- Byłam wściekła, i postanowiłam z nim porozmawiać. Nie miał prawa cię okradać. Jesteś jego przyjacielem i pracodawcą...

- Dałam mu ją trzy dni temu.

Patrzyła na niego oniemiała.

- Co?

- Dałam mu ją, a właściwie wypożyczyłam. Przygotowuje na zajęcia z historii specjalny referat o zatonięciu statku Dona Isabela. Chce wykonać rysunek monety na okładkę.

- Wyjął z jej palców małe plastikowe etui. - Obiecał, że dziś przyniesie ją z powrotem.

- O Boże, nie! - wykrztusiła Abby. - Myślałam...

- Wiem. Mogło tak wyglądać. - Schował monetę do kieszeni.

- Czy wspomniałaś o tym Torrence'owi?

- Nie.

- A więc nie ma powodu, żeby Danny myślał, że go o coś podejrzewamy. Pomijając fakt, że Torrence nie grzeszy dobrym wychowaniem, co tak naprawdę o nim sądzisz?

Z twarzy Abby ustąpiło napięcie.

- Woody traktuje Danny'ego jak swoją własność, jest chyba nawet zazdrosny o twoje stosunki z Dannym. Być może to jest powodem niesnasek między wami.

- Ciekawe, czy powie Danny'emu o naszej wizycie.

Poruszyła się niespokojnie.

- Och, Riley, czy nie uważasz, że Danny'emu coś grozi? Nie mogę o tym myśleć...

- Uspokój się, Danny to rozsądny chłopiec. Wie, jak postępować ze swoim wujem. Poza tym sama powiedziałaś, że ten Torrence nie wygląda na zupełnie pozbawionego rozumu.

- To prawda, ale...

- Posłuchaj, jutro jest niedziela i Danny będzie cały dzień na przystani. Myślę, że znaleźliśmy się w punkcie, z którego nie ma odwrotu. Zaciągnę go do biura i powiem o naszych podejrzeniach. Zagrozę mu konsekwencjami, jeśli będę do tego zmuszony. Przedtem jednak go wysłucham i jeśli wyczuje, że ma jakieś kłopoty w domu, zabiorę go do siebie. Może u mnie zostać, zanim czegoś nie wymyślimy.

- A co z jego bratem?

- Możemy go odebrać od opiekunki, do której Danny go odprowadza, kiedy idzie do pracy. Tak długo, jak Danny będzie z nami, zatrzymam obydwu chłopców.

- Z prawnego punktu widzenia możesz mieć kłopoty. Wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi. Jeśli Danny potrzebuje pomocy, nie zostawię go samego.

Abby źle spała tej nocy. Nazajutrz, gdy uczyła Lindę księgowania na komputerze, zupełnie nie mogła się skupić. Na przystani było pełno klientów i robotników, którzy wywozili sprzęt wypożyczony na wczorajsze otwarcie.

Nie mogła się doczekać, kiedy przyjdzie Danny, a jednocześnie obawiała się tego spotkania. Jak chłopak zareaguje? Jeszcze bardziej się zatnie? Rozzłości? Odetchnie z ulgą? Rozważała dziesiątki różnych możliwości, aż w końcu rozbolała ją głowa.

Potem zjawił się jakiś lokalny dziennikarz, który chciał zrobić reportaż o odbudowie przystani. Abby odprowadziła go do nabrzeża, gdzie od rana pracował Riley. Wciąż nurtowało ją pytanie, czy Torrence dotrzyma słowa i przyjdzie o dziewiątej. W drodze powrotnej do biura przysiadła na jednej z ławek przy



doku. Może powinna chwilę odpocząć? Poczekać, aż aspiryna, którą niedawno popiła zimną kawą, zacznie działać.

Słońce jak ciepły płaszcz grzało jej plecy. Wiał lekki wiatr, a powietrze przesycone było typowym zapachem przystani: paliwem do łodzi i solonymi rybami. Na szklistej powierzchni portowego basenu wodne chrząszcze rysowały misterne wzory, uciekając przed ścigającymi je pyskami wiecznie głodnych ryb.

Spojrzała w kierunku wjazdu na przystań. W każdej chwili Danny może się pojawić na swoim motorze, pełen energii i zapału do pracy. Był dobrym dzieckiem i czuła ulgę, że chłopak otrzyma pomoc, jeśli jej będzie potrzebował. Zasłużył na coś lepszego niż to, co widziała wczorajszego wieczoru.

Wczorajszy wieczór... Nie wszystko było okropne. Zadrżała na wspomnienie pieszczot i pocałunków Riley'a. Przymknęła oczy i to, co niedawno przeżywała, wróciło jak żywe.

Czyżby była w Riley'u zakochana?

O Boże! Wszystko na to wskazuje. Gdyby tylko mogła być pewna... Wiedziała, że wciąż ją pociąga fizycznie, ale to trochę za mało na budowanie związku. Nie mogła nie myśleć o tym, że dziesięć lat wiele w ich życiu zmieniło. Każde z nich poszło swoją drogą, doświadczając wielu goryczy i rozczarowań i teraz nie była pewna, czy to, co kiedyś ich łączyło, jeszcze istnieje.

Wciągnęła głęboko powietrze, po czym wolno je wypuściła. A może niepotrzebnie o tym myśli? Riley nie powiedział, że zależy mu na czymś więcej niż kontakty fizyczne. A ona zdażyła się już przekonać, że do szczęścia nie wystarczy dobry, zdrowy seks. Jeżeli oczywiście ma zamiar zostać w Fort Myers.

Zmarszczyła brwi. Zostać? Kiedy zaczęła brać to pod uwagę? I to teraz, gdy wszystko wskazuje na to, że zostanie współnikiem firmy w Bostonie.

Zadzwoiła w końcu do Bradleya Leverette'a, który powiedział jej, że z dobrych źródeł wie, iż Boresson zdecydował się na nią, a nie na Petersa. Krótka rozmowa ze Stephanie tylko to potwierdziła. To było wspaniałe ukoronowanie długich lat pracy. Powinna czuć, że dotarła na szczyt, dążyć do jak najszybszego powrotu. Dlaczego więc tak nie jest?

Przesłoniwszy ręką oczy, patrzyła na przystań. Promienie słońca odbijały się od powierzchni wody, luksusowe jachty lekko kołysały się na falach, a pod idealnie błękitnym niebem krążyły gromady rozwrzeszczanych mew. I chociaż to miejsce było takie malownicze, wcale nie dlatego centrum Bostonu nagle wydało jej się mniej atrakcyjne niż dawniej. Poza tym to było marzenie Riley'a.

Jej marzenia i aspiracje uległy korekcie zaledwie parę dni po otrzymaniu dyplomu w college'u, w tym samym dniu, kiedy spotkała się twarzą w twarz ze swą prawdziwą matką i kiedy poznała prawdę o swym pochodzeniu. To półgodzinne spotkanie, o którym nigdy nikomu nie powiedziała, nawet Rileyowi, zmieniło całe jej życie.

Jak mogła o tym zapomnieć?

Kątem oka zauważyła Riley'a, który szedł w jej kierunku. Po chwili zatrzymał się przed nią.

Wygląda na zmartwionego, pomyślała z niepokojem. Spojrzała na zegarek. Minęła dziesiąta. Danny dawno już powinien być w pracy.

- Danny się spóźnia - powiedziała.

Riley pokręcił głową.

- On nigdy się nie spóźnia.

Czuła, jak mocno bije jej serce.

- Mnie to samo przyszło do głowy. Może jednak coś go zatrzymało. Albo po prostu zaspał.

- Torrence również się nie zjawił.

Przeraziła się.

- O Boże, Danny...

- Jadę do jego domu - oświadczył Riley. - Sprawdzę, czy tam jest.

- Jadę z tobą.

Ku jej zaskoczeniu nie protestował. Rzucił w przelocie kilka słów Janet i personelowi przystani i poszedł wraz z Abby do jeepa. Milczeli, podczas gdy samochód mknął przez puste ulice Fort Myers w stronę Heron Drive.

Frontowe drzwi bungalowu były tym razem zamknięte. Riley głośno pukał, ale nikt nie odpowiadał. Dom wyglądał pusto i nieprzyjaźnie, jakby jego mieszkańcy spakowali się nagle i gdzieś wyjechali. Riley podszedł do najbliższego okna. Osłoniwszy rękami oczy, zajrzał do środka. Po chwili odwrócił się do Abby i pokręcił przecząco głową.

- Nic nie widzę. Żaluzje są zaciągnięte.

Abby czuła, jak powoli ogarniają przerażenie.

- Nigdzie nie widać motoru Danny'ego. Ale przecież ktoś musi tu być. Ciężarówka Woody'ego stoi przy podjeździe.

- Dlatego właśnie mam złe przeczucie. Chodź ze mną.

Szli wzdłuż bocznej ściany domu. Okna znajdowały się zbyt wysoko i Riley bez słowa wyjaśnienia splótł palce, aby utworzyć w ten sposób stopień. Abby szybko się po nim wspięła i prawie siedząc na jego ramieniu, usiłowała zajrzeć do środka. Po chwili, kiedy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, ujrzała coś, co dosłownie zaparło jej dech w piersiach.

- Co widzisz? - zawołał z niepokojem Riley.

- Ktoś siedzi w fotelu, ale się nie rusza.

Obraz nagle odpłynął, ponieważ Riley opuścił ją na ziemię. Musiała biec, żeby za nim nadążyć. Błyskawicznie znalazł się znowu na ganku. Tym razem walił w drzwi z całych sił.

- Torrence? Danny? Jesteście tam?

Ponownie odpowiedziała im cisza. Riley nacisnął klamkę i spojrzął na Abby ze zdumieniem. Dom nie był zamknięty.

Ostrożnie weszli do środka, starając się przyzwyczaić do ciemności. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie szmerem lodówki. Riley szedł prosto w stronę fotela.

Siedział w nim Woody Torrence. Jego głowa spoczywała na piersiach, a ręce bezwładnie zwieszały się po bokach. Na jego koszuli widniały czerwone plamy. Plamy krwi.

Klnąc pod nosem, Riley ukłękął przy fotelu.

- Daj trochę światła - rzucił w stronę Abby, wskazując głową na stojącą w pobliżu lampę. Następnie delikatnie oparł głowę mężczyzny o poduszkę fotela.

Powieki mężczyzny drgnęły pod wpływem silnego strumienia światła, lecz Abby nie mogła oderwać wzroku od widniejących na jego twarzy zaschniętych plam krwi, która najwyraźniej wypłynęła spod białego zwoju bandaża po lewej stronie czoła. Mężczyzna jęknął, usiłując dotknąć ręką głowy. Gwałtowny ruch spowodował, że pusta butelka po dżinie zsunęła się z jego kolan i spadła na podłogę.

- Woody! - zawołał Riley. - Czy pan mnie słyszy?

Woody znowu jęknął, starając się odwrócić głowę. Odgarnawszy na bok czarne włosy rannego, Riley zerknął pod opatrunek i skrzywił się.

- To nie wygląda dobrze. Dzwon po karetkę.

Podczas gdy Abby łączyła się z pogotowiem, Riley znalazł czyste bandaże na kuchennym stole, przy którym Torrence najwyraźniej usiłował udzielić sobie pierwszej pomocy. Błyskawicznie usunął stary opatrunek i założył nowy, po czym zmierzył rannemu puls. Woody przez cały czas był na wpół przytomny i Riley kilka razy musiał prawie krzyknąć, aby nie zemdleł. Po chwili Abby uklękła przy nich.

- Są już w drodze.

Riley skinął głową i znowu pochylił się nad Torrence'em.

- Jak to się stało?

Mężczyzna patrzył na nich niepewnie, ale wydawało się, że ich poznaje. Abby z lękiem czekała na jego odpowiedź.

- Pokłóciłem się rano z chłopakiem.

- O co poszło?

- O wszystko. O ciebie. O mnie.

- Uderzyłeś go?

Oczy Torrence'a rozbłysły gniewem.

- Nie! - Podniósł drżącą dłoń do skroni i krzywiąc się z bólu, dodał: - Boże, jak strasznie boli mnie głowa.

- Niedługo otrzymasz pomoc - obiecał Riley. Po chwili zapytał ponownie: - Jak to się stało?

- Upadłem. Uderzyłem głową o stół. Nie powinienem był pić.

- A więc to nie Danny ci to zrobił? - zapytała Abby.

- Nie. On i Ned dawno stąd odeszli.

Riley jeszcze bardziej się nad nim nachylił.

- Co masz na myśli, mówiąc „odeszli”?

Woody popatrzył na niego, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym dzieckiem.

- Uciekli. Poszedłem po papierosy i po drodze wszystko mi przeszło. Kiedy wróciłem, już ich nie było. Jego rzeczy zniknęły. Przeklęty chłopak uciekł na motorze; zabrał ze sobą Neda.

Gardło Abby było tak ściśnięte ze strachu, że kiedy w końcu się odezwała, jej głos przypominał szept:

- Dokąd?

Mężczyzna niespokojnie pokręcił głową, a jego twarz wykrzywiła się z bólu.

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Nigdy mi o niczym nie mówi.

- Co ze sobą zabrał? - dopytywał się Riley.

- Nie wiem...

- Pomyśl, Woody! - naciskał.

- Nie wiem - uparcie powtarzał mężczyzna.

- Czy zawiadomiłeś policję? - zapytała Abby.

- To nie ich zakichany interes, jak wychowuję te dzieciaki. Wróca. Nie mają dokąd pójść.

- Spokojnie. - Riley położył mu rękę na ramieniu i znowu przykucnął przy nim. - Po prostu odpocznij. Zajmiemy się wszystkim.

Woody, westchnąwszy głęboko, zamknął oczy i oparł głowę o poduszkę fotela. Wciąż był przytomny, lecz jego cera nabierała ziemistego odcienia, a oddech z każdą chwilą stawał się płytszy. Abby odciągnęła Riley'a na bok i zniżając głos, powiedziała:

- Musimy zawiadomić policję, nawet jeśli on się temu sprzeciwia.

Riley, nie spuszczać oczu z Woody'ego, skinał głową.

- Sprawdź, czy jest tu jakiś inny telefon.

Na szczęście przyjechało pogotowie. Sanitariusze szybko zbadali Torrence'a, po czym zabrali go do karetki. Woody

protestował, głośno przeklinając obsługę. Jeden z sanitariuszy, zamknawszy tylne drzwi karetki, odwrócił się do Abby i Riley'a.

- Zawsze to miło, kiedy człowieka doceniają - powiedział z uśmiechem.

- Czy to coś poważnego? - zapytała Abby.

- Chyba nie. Jedźcie z nami do szpitala?

- Musimy jeszcze coś załatwić - odparł Riley, odwracając głowę w stronę nadjeżdżającego właśnie samochodu policyjnego.

Dwaj funkcjonariusze byli ogromnie życzliwi, ale niewiele mogli zrobić. Ponieważ chłopcy zostali uznani za uciekinierów, a nie za ofiary przestępstwa, policjanci nie wykazywali specjalnej ochoty do kontrolowania wszystkich dróg i przystanków, aby ich odnaleźć.

- Nie martwiłbym się za bardzo - rzekł starszy funkcjonariusz, chowając długopis do kieszeni koszuli. - Znajdą się zanim zapadnie zmrok. Sam kiedyś kilka razy uciekałem, ale szybko wypuszczałem parę i uznawałem, że najwyższy czas wracać do domu.

Abby spojrzała na niego z ukosa.

- Prawdopodobnie Torrence znęcał się nad dziećmi i sądzę, że ten incydent był dla Danny'ego ostatnią kroplą, która przepelniła czarę. On z własnej woli tu nie wróci. Jestem tego pewna.

Policjant zmarszczył brwi i skinał głową.

- Dobrze. Przekażemy naszym posterunkom rysopisy dzieciaków. Porozmawiamy również z ich sąsiadami. Być może coś wiedzą. A jutro, jak Torrence dojdzie do siebie, poprosimy go o nazwiska i adresy wszystkich przyjaciół, z którymi Danny mógłby się skontaktować. Na razie nic więcej nie możemy zrobić.

Czy macie zamiar zawiadomić czerwoną linię pomocy dla dzieci maltretowanych?

- Oczywiście - odparła Abby.

Kiedy policjanci odjechali, Riley zadzwonił do Janet i poprosił, by do końca dnia zastąpiła go na przystani. Następnie wsiadł razem z Abby do jeepa.

Abby przez cały czas analizowała informacje, które zdołała wyciągnąć od Torrence'a. Nie mogła spokojnie myśleć o tych dzieciakach, wałęsających się gdzieś po ulicach. Co myśli Danny? Czy rzeczywiście był już tak zdesperowany, że nie widział innego wyjścia jak ucieczka?

Czy powinna siebie winić za to, co się stało? Czy jej wizyta u Woody'ego doprowadziła do jeszcze większego zaognienia stosunków między chłopcem a wujem?

Riley zatrzymał się przed jej domem.

- Idź na lunch - powiedział. - Porozmawiamy później.

- A co ty masz zamiar robić? - spytała trochę zdumiona i trochę rozczarowana, że Riley nie chce natychmiast przystąpić do działania. Im więcej czasu minie od ucieczki, tym mniejsze będą szanse na odnalezienie chłopców.

- Jestem zmęczony. Muszę spokojnie usiąść i jeszcze raz wszystko przemyśleć.

- Nie domyślasz się, dokąd Danny mógł pojechać?

- Nic nie przychodzi mi do głowy.

- Policja nie działa zbyt energicznie. Nie możemy pozwolić, żeby te dzieciaki... zniknęły.

Riley chwilę milczał, zatopiony w myślach, po czym widząc, że Abby nie wysiada, wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Abby, wiem, że muszę coś zrobić, ale daj mi trochę czasu. Zgoda?



Wcale jej się to nie podobało. Co się dzieje z Rileyem? Czy nie rozumie, że trzeba działać natychmiast?

- Przykro mi - rzekła chłodno, pchnęła drzwi auta i wysiadła. - Zobaczymy się wieczorem.

Skinął głową i ruszył w kierunku swojego domu.

Abby w milczeniu usiadła do stołu. Podczas lunchu nie odezwała się ani słowem. Mac i Maggie zbyt dobrze ją znali. Jej zachowanie ich zaniepokoiło. Zatopiona w myślach, prawie nie zdawała sobie sprawy, że jej palce uderzają o blat stołu, zanim ojciec nie przykrył ich dłonią.

- Co się dzieje, Abigail?

Dalsze udawanie nie miało sensu.

- Danny uciekł - oznajmiła cicho - i zabrał ze sobą brata. Powiadomiliśmy policję, ale to chyba za mało.

- A więc zastanówmy się wspólnie, co robić - zaproponowała matka.

Cała trójka długo siedziała, zastanawiając się, gdzie dwaj uciekinierzy mogą znaleźć schronienie na noc. Przeanalizowali wszystkie rozmowy Abby z Dannym, lecz nie znaleźli nic, co mogłoby im posłużyć za wskazówkę. Chłopak nigdy nie wspominał o innych krewnych czy jakimś szczególnym miejscu, w którym chciałby być.

Okolo pierwszej nerwy Abby napięte już były do granic wytrzymałości, a dziesiątki pytań i odpowiedzi wciąż krążyły jej po głowie. Wyciągała naczynia ze zmywarki i ustawiała je w kredensie.

- Riley powinien tu być - odezwał się jej ojciec. - Jestem pewien, że on i Danny często prowadzili męskie rozmowy.

Abby skinęła głową. Niezależnie od przyjaźni, jaką darzyła Danny'ego, nigdy między nimi nie będzie istniała ta szczególna zażyłość, która łączy jego i Riley'a. On i Riley bez wątplenia...

On i Riley...

Pochłonięta myślami, zamknęła drzwi kredensu i oparła się o kuchenny blat. Ojciec ma rację. Danny i Riley w ciągu wielu tygodni wspólnej pracy mogli rozmawiać o wielu sprawach. Łączyła ich więź, jakiej z pewnością nie było między chłopcem a jego wujem. Wydawało się jej nieprawdopodobne, by Riley nie miał jakichś podejrzeń, gdzie chłopcy się ukryli, albo żeby mogło mu to być obojętne.

Nagle przyszło jej do głowy, że Riley wie więcej, niż mówi, i dla jakichś powodów zatrzymuje to dla siebie.

- Myślę, że powinnam porozmawiać z Rileyem - poinformowała rodziców.

Przeszła przez salon i minawszy drzwi, zatrzymała się na werandzie. Ponieważ ich domy znajdowały się obok siebie, nie mogła dostrzec, co dzieje się w środku, ale jeep Riley'a stał na podjeździe.

Zdecydowana poznać prawdę, wyszła na ścieżkę i już po chwili stała pod drzwiami Riley'a. Zapukała głośno, po czym skrzyżowała ręce na piersiach. Kiedy Riley otworzył szeroko drzwi, wojowniczo podniosła do góry głowę.

- Dokąd on uciekł, Riley? - zapytała. - I co masz zamiar z tym zrobić?

Jej obecność zdawała się nie robić na nim wrażenia i pytanie, jakie mu postawiła, pozostawił bez odpowiedzi.

- Idź do domu, Abby - rzekł spokojnie.

- Nawet o tym nie myśl. Nigdzie nie pójde, zanim się nie dowiem, co wiesz albo czego się domyślasz.

Minęła go i weszła do salonu. Buster opuścił swą kryjówkę i ocierając się o jej nogi, domagał się pieszczot. Abby schyliła się i pogłaskała go na powitanie. Po chwili wyprostowała się i wtedy ze zdumieniem ujrzała leżący na kanapie, w połowie już spakowany plecak. Odwróciła się do Riley'a i dopiero teraz zauważyła, że zamiast szortów i koszulki polo, które zwykle nosił w ciągu dnia, miał na sobie dżinsy i flanelową koszulę z długimi rękawami.

- Jedziesz go szukać, przyznaj się? - nalegała.

- Abby...

- Gdzie on jest?

- Mam pewne podejrzenie.

- Riley - spojrzała na niego błagalnie - widziałam, w jakich strasznych miejscach lądują takie dzieci. To są miejsca, o których istnieniu one nie powinny nawet wiedzieć. Z przerażeniem myślę, że mogłoby to spotkać Danny'ego i jego brata. Riley, ja muszę coś zrobić, inaczej oszaleję.

Coś w jej głosie go poruszyło.

- No dobrze - rzekł z rezygnacją. - Dzwoniłem do szpitala. Postanowili zatrzymać Torrence'a na obserwacji, ale jak się zdaje, odzyskał zdolność logicznego rozumowania. Mówi, że zniknęła większość ciepłych ubrań chłopców.

- A więc co to może znaczyć?

- Samo w sobie nic. Ale Torrence, zanim zdecydował się utopić kłopoty w alkoholu, zajrzał do schowka, gdzie trzymają sprzęt kempingowy. Pewne rzeczy również zniknęły.

- Może Danny postanowił trzymać się z daleka od miejsc publicznych.

- Podejrzewam, że jedzie do Flamingo Junction. To miasteczko, w którym się wychowywał. Na północ od Everglades.

- Przecież to bagna! Tam są tylko węże i krokodyle!
- Krokodyli nie tak dużo. Więcej aligatorów.
- Dlaczego miałyby jechać właśnie tam? - zapytała, opadając na kanapę.

- Pewnie dlatego, że to nie jest złe miejsce, jeśli ktoś chce się ukryć. Danny doskonale je zna. - Zatrzymał się przed nią. - Jego rodzice często jeździli tam na kemping. Danny kocha to miejsce. Taki wybór wydaje się logiczny.

- Logiczny? Wcale mi się tak nie wydaje. Może być zupełnie gdzie indziej.

- A więc gdzie? Gdyby został w Fort Myers, nie potrafiłby ukryć brata. Spodziewa się, że policja będzie go szukać. - Kiwał głową w zamyśleniu. - Tak, musi być tam.

- Ale gdzie konkretnie?

- W miejscu zwanym Two Finger Key.

- Gdzie to jest? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Ale chyba wiem, jak je odszukać. Flamingo Junction trudno znaleźć na mapie, ale można kogoś zapytać. - Znowu zajął się pakowaniem. W milczeniu obserwowała, jak wciska zwinięte skarpetki w róg plecaka. - Poprosiłem Janet, żeby, w miarę swoich możliwości, zajęła się przystanią do mojego powrotu. Mac jej pomoże. Ty również. To nie jest najlepsze rozwiązanie, ale mam nadzieję, że wrócę za dwa dni.

- Jadę z tobą - oświadczyła.

- Nie - odparł, nie przerywając pakowania.

Oczywiście, spodziewała się odmowy.

- Nie muszę cię pytać o zgodę. Po prostu jadę i już.

- Nie ma mowy.

- Mogę ci pomóc.

Parsknął ze złością.

- Ciekaw jestem jak. O ile wiem, w Bostonie nie ma bagien.

- Miałam na myśli Danny'ego - ciągnęła nie zrażona jego ironią. - Jeśli go znajdziesz, co zrobisz dalej? Wezmiesz go za kark i siłą zmusisz do powrotu? Ja mam doświadczenie w przekonywaniu dzieciaków do robienia tego, co nie zawsze im się podoba.

- I dlatego nie chciałem ci nic mówić! - zawołał ze złością. - Przeszkadzałybyś tylko.

- Dlaczego? Ponieważ jestem kobietą?

- Nie. Ponieważ jesteś mieszcuchem i nie masz pojęcia, co znaczy nocować pod gołym niebem.

- Często wyjeżdżałam na kempingi.

Jego śmiech był wymowny.

- Abby, wyprawy w klimatyzowanych przyczepach kempingowych to coś zupełnie innego. Tam, gdzie jadę, trzeba liczyć wyłącznie na siebie. Tam nie ma miękkich materaców ani ciepłego prysznica. Są tylko insekty, trujące rośliny i aligatory.

- No cóż, czy mogłabym cię jakoś przekonać?

- Nie.

- Dobra, ale zmuszona jestem cię uprzedzić, że jeśli mnie nie zabierzesz, to i tak pojedę. Na własną rękę. Kupię mapę i spróbuję dotrzeć do tego Two Finger Key. Pewnie się zgubię i skończę w paszczy aligatora, ale za to później będę cię straszyć do końca życia.

Wciąż patrzył na nią sceptycznie, lecz widać było, że jest bliski kapitulacji. W końcu z ponurą miną skinął głową.

- No cóż, czy mógłbym cię jakoś przekonać...

Zerwała się z kanapy tak gwałtownie, że Buster, który spał na dywanie tuż przy jej nogach, podskoczył z przerażenia.

- Spakuję się w parę minut. Co mam zabrać?

Szybko wyrecytował krótką listę niezbędnych rzeczy. Chciał jechać z jak najmniejszym obciążeniem i tak szybko, jak tylko to możliwe.

- Parę razy będziemy musieli się zatrzymać, ale jeśli wyruszymy natychmiast, myślę, że do Flamingo Junction dotrzemy w parę godzin.

- W porządku. Będę gotowa - rzuciła Abby od drzwi i spojrzała na Bustera. - Chcesz, żeby rodzice się nim zajęli?

- Buster jedzie z nami.

- Po co?

- To przecież pies myśliwski. Niech pokaże, co potrafi.

RS

Wyjeżdżając zatrzymali się na przystani. Riley wszedł do biura i zabrał czapkę Danny'ego.

- To jedyna rzecz, która zachowała jego zapach - wyjaśnił.

Podetknął czapkę pod nos psa. Buster powąchał ją i ziewnął szeroko. Abby się skrzywiła.

- Nie wygląda na zainteresowanego. Nie możemy wziąć czegoś z domu Torrence'a? Koszuli czy jakiegoś przedmiotu?

- Nie. Chyba że zdecydujemy się na włamanie.

Kręcąc głową, obserwowała Bustera, który o wiele więcej zainteresowania okazywał wyrzuconej do śmieci puszcze. Prawdopodobnie wciąż jeszcze pachniała hamburgerami, które pracownicy jedli na lunch.

- Pozostaje więc mieć nadzieję, że obudzi się w nim jakiś instynkt - powiedziała.

Po drodze wstąpili do sklepu sportowego. Riley wziął z półek śpiwory, plecak dla Abby, ręczne latarki, dwa opakowania środka przeciw moskitom. Ponieważ jedynym wygodnym obuwiem, jakie Abby przywiozła z Bostonu, były tenisówki, kazał jej zmierzyć solidne buty z wysoką cholewką.

Kiedy już zaopatrzyli się we wszystkie potrzebne rzeczy, ruszyli na wschód dwupasmową drogą lokalną. W ciągu tych wszystkich lat, które spędziła na Florydzie, Abby nie pamiętała, by kiedykolwiek podróżowała bocznymi drogami, nawet podczas studiów, gdy razem z Rileyem szukali ustronnych miejsc, gdzie mogliby się skryć przed rodzicami.

Przejechali już wiele mil, a widok przez okno samochodu był wciąż tak samo monotony. Żadnych śladów cywilizacji. Po

obydwu stronach drogi ciągnęły się puste pola i pastwiska, a trochę dalej widać było wykopane ręką człowieka kanały, które wiodły w kierunku bagien.

W pewnej chwili Abby usłyszała za sobą sapanie i odwróciła głowę, by sprawdzić, co się dzieje na tylnym siedzeniu. Buster leżał na grzbiecie, a jego łapy kurczowo zaciskały się w powietrzu, jakby łapał we śnie królika. Pokręciła głową i powiedziała:

- Nasz nieustraszony tropiciel...

- On jest o wiele sprytniejszy, niż na to wygląda - odezwał się Riley w obronie swego ulubieńca. - Przynajmniej nas ostrzeże przed niebezpieczeństwem.

- Na przykład jakim?

- Przed panterą albo aligatorem.

- Ach tak. - Spojrzała z respektem na śpiącego psa.

- Może byś trochę odpoczęła? - zasugerował Riley. - To potrwa jeszcze jakiś czas.

- Co zrobimy, jeśli nikt w miasteczku nam nie pomoże? - zapytała, pełna najgorszych obaw.

- Jeśli Flamingo Junction jest tak małe, jak przypuszczam, to w końcu musimy trafić na kogoś, kto zna to miejsce, a może nawet będzie znał Osborne'ów. Two Finger Key nie może znajdować się daleko od bitych dróg, inaczej rodzice Danny'ego nigdy by tam nie zabrali dzieci na kemping.

- A jeśli chłopców tam wcale nie ma?

- Wtedy wrócimy do punktu wyjścia - przyznał.

W końcu Abby zdrzemnęła się, ale kiedy promienie słońca wpadły przez szybę i jeep skręcił z szosy na drogę, która wiodła przez rezerwat Immokalee, natychmiast się obudziła.



Okolica wyglądała dokładnie tak, jak Abby sobie wyobrażała. Ciągące się bez końca pastwiska, pasące się na nich bydło, szukające pożywienia białe czaple oraz sępy amerykańskie i śpiew cykad w kępach traw.

Riley zatrzymał na chwilę samochód, by jeszcze raz spojrzeć na mapę, po czym skręcił w lokalną drogę. Mały zielony znak informował, że Flamingo Junction jest już bardzo blisko. Inny znak zapowiadał wjazd do Everglades i Abby odetchnęła z ulgą. Miasteczko jest dosyć spore, jeśli wierzyć reklamom.

Jednak gdy po kilku minutach wjechali do centrum, mina jej zrzedła. To miejsce w niczym nie przypominało centrum. Właściwe nie było podobne do niczego. Po obu stronach drogi stały zapyziałe, rozwalające się domy. Żadnej sygnalizacji świetlnej, żadnych znaków drogowych. Jeszcze bardziej zdumiewający był fakt, że mimo wczesnych godzin popołudniowych nigdzie nie było widać żywej duszy. To miejsce sprawiało wrażenie, jakby mieszkały tu jedynie duchy.

Riley wolno mijał stare, rdzewiejące auta, opuszczone domy i porośnięte chwastami podwórka.

- Mam nadzieję, że dalej będzie lepiej.
- A ja mam nadzieję, że wystarczy nam benzyny, żeby wrócić do cywilizowanego świata.

I rzeczywiście było trochę lepiej. Miejscowość zaczęła przypominać miasteczko. Oczywiście, nie było tu nic szczególnego, czym mogliby zainteresować się chętni do kupienia kawałka ziemi. Ale w tych otoczonych cyprysami, porośniętych mchem chałupach był jakiś urok. Nawet uważny obserwator nie znalazłby żadnych natrętnych śladów współczesnej cywilizacji. Flamingo Junction sprawiało wrażenie, jakby od trzystu lat nic się tu nie zmieniło.

Minęli niewielki bar, obok którego znajdował się parking zapchany dosyć już leciwymi samochodami. W pobliżu kręciło się kilka osób, najprawdopodobniej mieszkańców miasteczka.

Riley zaparkował jeepa przed małym sklepikiem z konfekcją. Nad drzwiami wisiał ogromny łeb aligatora. Wzdłuż bocznych ścian leżały czółna do wynajęcia, natomiast z tyłu, przy brzegu kanału, kołysała się na wodzie mała flotylla pontonów. Przy ustawionym niedaleko wejścia stole ciemnoskóry szczupły mężczyzna patroszył żółwie morskie i splukiwał je wodą z gumowego węża.

- Zostanę tu z Busterem - zaproponowała Abby, krzywiąc nos, gdy dotarł do niej zapach surowego żółwiego mięsa.

Z mapą w rękę, Riley wysiadł z auta. Chwilę rozmawiał z mężczyzną, po czym wszedł do środka. Abby położyła głowę na oparciu siedzenia i czekała. Chociaż właściciele sklepiku powinni dobrze znać okolicę, wcale nie jest powiedziane, że potrafią zlokalizować Two Finger Key na mapie.

Po pewnym czasie Abby zniecierpliwiło czekanie. Słyszając śmiech dzieci, odwróciła głowę. Na pobliskim placyku bawiła się grupka chłopców i dziewcząt. Założyła Busterowi smycz i wysiadła z jeepa. Dzieci przerwały zabawę i z ciekawością patrzyły na psa. Podeszła do nich, a gdy jakiś mały chłopczyk wysunął się do przodu, cała reszta szybko poszła w jego ślady.

- Mój tata ma psa na szopy. Jest bardzo podobny do tego. Jaka to rasa? - z przejęciem pytał chłopiec.

- To pies myśliwski.

Buster, choć doskonale wiedział, że powinien się przyzwocić zachowywać, obwąchiwał ich ręce w poszukiwaniu smakołyków. Nie znalazłszy niczego, zaakceptował pieśczośliwe poklepywania.

- On jest cały pofałdowany - zauważył chłopiec.  
- Ma za dużo skóry - dodało inne dziecko.  
- To prawda - zgodziła się Abby. - Wykapałam go i trochę się rozciągnął. - Przesunęła ręką po zwieszających się fałdach skóry psa. - Teraz nic już się nie da zrobić.

Dzieci wybuchnęły śmiechem. Obserwując ich buzie, zorientowała się, iż niektóre z nich były święcie przekonane, że powiedziała prawdę. Rzuciła okiem na sklepik. Riley powinien już wyjść.

- Czy któreś z was nie widziało dziś przejeżdżających tędy na motorze dwóch chłopców? Jeden mniej więcej w waszym wieku, drugi znacznie starszy. Mogli wyglądać, jakby wybierali się na kemping.

Siedem małych główek uroczyście zaprzeczyło.

- A co wiecie o Two Finger Key? Czy któreś z was zna to miejsce?

Po chwili odezwała się jakaś dziewczynka:

- Maya może wiedzieć. Ona jest bardzo stara. Wie wszystko.

- A kto to jest Maya?

- Prowadzi bar.

Abby odwróciła się w stronę budynku, który wskazała dziewczynka. W barze było rojno i gwarno.

Po chwili dzieci wróciły do swej zabawy. Pomachały Busterowi i Abby na pożegnanie i już po paru sekundach zupełnie o nich zapomniały.

W kwadrans później zjawił się Riley. Wyglądał na zmartwionego. W rękę trzymał pomiętą mapę.

- Nie udało się? - zapytała Abby.

- Wydaje im się, że wiedzą, gdzie znajduje się Two Finger Key, ale pewności nie mają. Chętnie wynajmą nam łódź.

- A czego dowiedziałeś się o chłopcach?

- Nikt ich nie widział.

- Czy znali Osborne'ów?

Mars na jego czole jeszcze bardziej się pogłębił.

- Niestety nie. Ci ludzie niedawno przejeździ ten sklep. Nie są stąd.

- Mam pewien pomysł.

W jego oczach pojawił się wyraz sceptycyzmu, gdy wyjęła mu mapę z ręki.

- Chodź ze mną.

Godzinę później wypływali z doku na kanale wynajętą we Flamingo Junction motorówką. Abby siedziała z przodu, Riley zajął miejsce przy silniku, a między nimi rozłożył się Buster, otoczony zapasami prowiantu na cztery dni. Słońce wciąż było wysoko na bezchmurnym niebie. Panująca nad bagnami cisza otaczała ich ze wszystkich stron, a wolno płynący pod łodzią prąd sprawiał, że mętna woda barwy herbaty wyglądała obco i tajemniczo.

Właścicielka baru Maya i jej przyjaciel Dave bardzo im pomogli. Mieszkali we Flamingo Junction przez całe życie. Znali Osborne'ów. Spotykali się z nimi od czasu do czasu. Pamiętali też ich synów i raz spotkali nawet Woody'ego Torrence'a. Sądząc z ich min, nie wspominali go z sympatią.

Najważniejsze, że sporo słyszeli o Two Finger Key. Przed laty wielu okolicznych mieszkańców wyjeżdżało tam na polowania i na ryby. Urbanizacja południowej Florydy i zanikanie terenów bagiennych spowodowały ogromne zmiany i Two Finger Key przestało przyciągać turystów. Z rybami było coraz gorzej, a dzikie zwierzęta przeniosły się na inne tereny. Teraz nikt już tam

nie jeździ, chociaż nadal można tam dotrzeć łodzią w ciągu kilku godzin lub łądem, idąc cały dzień.

Chłopcy wprowadzie mieli nad nimi przewagę paru godzin, ale jeśli rzeczywiście wyruszyli do Two Finger Key i byli zmuszeni pójść pieszo, może się zdarzyć, że dotrą na miejsce później niż Riley i Abby.

Nieustanny warkot silnika uniemożliwiał rozmowę i późnym popołudniem Abby marzyła o postoju. Ból głowy, głód i palące promienie słońca zrobiły swoje. To wszystko niewiele już miało wspólnego z przygodą.

- Wyglądasz na zmęczoną! - zawołał Riley, pokonując hałas silnika. - Chcesz, żebyśmy się zatrzymali?

- Ile nam jeszcze zostało? - odchrząknęła.

- Myślę, że mniej niż godzina.

Już miała otworzyć usta, by powiedzieć „tak”, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Obiecała, że nie będzie jęczeć ani narzekać, chociaż, w miarę jak oddalała się od cywilizacji, miała na to coraz większą ochotę. Musiała przyznać, że nie czuła się tu najlepiej, ale nie miała zamiaru zbyt tanio sprzedać swej skóry.

Przypomnij sobie Katarzynę Hepburn w „Afrykańskiej Królowej”, Abby, i przestań się zachowywać jak dziecko. Danny i jego brat mogą gdzieś tu być. Czy zapomniałaś o tym?

- Płynmy dalej - odparła z uśmiechem.

Riley spojrział na nią ze zdumieniem, ale nie odezwał się ani słowem. Po chwili skierował łódź w kolejną, pokrytą zielenią wodną drogę.

Była wykończona. Riley podziwiał ją, że przez cały czas tak dobrze się trzyma. Gdy jednak przybili do Two Finger Key,

wyglądała jak rozbitek, któremu trzeba rzucić linę ratunkową. I szczerze mówiąc, nie mógł mieć o to do niej pretensji.

Podróż okazała się długa i męcząca. Za nimi były dziesiątki mil bezkresnych bagien. A jeśli nie znajdą tu odpowiedzi?

Musiał przyznać, że odetchnął z ulgą, gdy po raz pierwszy rzucił okiem na Two Finger Key. To miejsce wcale nie robiło tak przygnębiającego wrażenia, jak przypuszczał. Prześliznął się przez szuwary, wyłączył silnik i przybił do brzegu porośniętego sosnami i drzewami palmowymi. Powietrze było chłodne i przesycone zapachem tropikalnej wilgoci, ale ziemia wydawała się dostatecznie sucha, by móc swobodnie się po niej poruszać. Najbardziej jednak pocieszający był widok cyprysowej chatki pod baldachimem wysokich drzew. Znajdująca się z tyłu przybudówka miała świadczyć, że zadbano tu o niemal wszystkie niezbędne wygody.

Po godzinach spędzonych na łodzi wśród ogłuszającego warkotu motorówki nagła cisza robiła wręcz surrealistyczne wrażenie. Tylko Buster zdawał się niczym nie przejmować. Bez namysłu wyskoczył na brzeg i pobiegł do najbliższej kępy krzaków. Abby wciąż siedziała bez ruchu, rozglądając się wokół.

Riley wyciągnął łódź na brzeg i przywiązał ją, po czym, wyciągnawszy do niej rękę, rzekł z uśmiechem:

- Nie ma to jak w domu, pani mecenas.

Abby usiłowała wstać. Po długich godzinach spędzonych w jednej pozycji czuła, że jej nogi drżą. Widząc to, Riley chwilę czekał, aż dojdzie do siebie, po czym pomógł jej wysiąść na brzeg. Do zapadnięcia zmroku zostało jeszcze parę godzin, więc nie tracąc czasu, zabrał się do wyładowywania przywiezionych rzeczy.

- Nie rozumiem, co go tu ciągnie? - zapytała Abby.

- Myślę, że Danny czuł się tu kiedyś bezpiecznie. Być może potrzebuje bliskości rodziców i to właśnie miejsce tę potrzebę zaspokaja.

- Czy sądzisz, że już tu są?

- Wkrótce się dowiemy.

Lecz kiedy obejrzeni chatkę, nie mieli wątpliwości, iż dawno tu nikt nie zaglądał. Schodki pokrywała gruba warstwa zaschniętych ptasich odchodów, deski w podłodze były spaczone i powyginane. Na drzwiach wisiała zardzewiała kłódka, ale wystarczyło jedno pchnięcie i zamek ustąpił. Hałas wypłoszył małą kolonię szaroniebieskich ptaków, które z wrzaskiem wyfrunęły przez okna przesłonięte podartymi moskitierami.

- Niestety, to nie Ritz - skomentował Riley. - Ale lepsze to niż spanie na ziemi. - Odwrócił się do Abby, która z niepewną miną spoglądała na zwisającą z krokwi wyschniętą skórę węża. - Czekaając na chłopców, możemy tu trochę posprzątać, nie uważasz?

Skinęła głową, wciąż patrząc na sufit.

- Jaki jest numer do biura pomocy domowych?

Zanim zaszło słońce, chatka nadawała się do... zamieszkania. Wprawdzie nigdzie nie znaleźli czegoś takiego jak miotła, ale Riley ściął trochę liści palmowych i wspólnie z Abby zdołali oczyścić wnętrze z najmniej dekoracyjnych ozdób. Buster polował przed domem na jaszczurki, podczas gdy oni wymiatali z kątów misterne festony pajęczyn, usuwali z paleniska opuszczone ptasie gniazda i kłęby wyschniętych ciem z obudowy kominka. Riley ściągnął z góry skórę węża i, na ile to było możliwe, umieścił pozrywane moskitiery z powrotem w oknach.

- Wiesz, czego tu jeszcze brak? - zapytał, układając na ruszcie paleniska drewno na opał.

Abby podniosła głowę znad sterty przyniesionych z łodzi rzeczy.

- Taranu do rozbiórki domów?

Z zadowoleniem pomyślał, że nie opuściło ją jeszcze tak typowe dla niej poczucie humoru. Pokręcił głową.

- Mebli. Może kołyski albo łóżka z wielkimi, miękkimi poduszkami. - Przewrócony do góry nogami stół był tu jedynym całym meblem. W kącie walały się resztki piętrowego łóżka. Riley pokazał na nie ręką. - Czy nie możesz sobie wyobrazić leżącego tam ogromnego materaca? Zасыpania przy płonąym kominku?

Popatrzyła na niego tak, jakby właśnie poinformował ją, że przybył z innej planety.

- Mały domek na prerii nie jest moim marzeniem. Zadzwoń do mnie, jak będziesz chciał napić się gorącego rumu na tarasie górskiego domku w Kolorado.

Skrzywił się, rozczarowany, że tak mało w niej awanturniczego ducha, po czym przeciągnął się i spytał:

- Co mamy na kolację?

Spojrzała spod oka, po czym, zdjawszy pokrywę z turystycznej lodówki, wyjęła kupione w barze kanapki.

- Co wybierasz? - zapytała. - Masło orzechowe i dżem czy... dżem i masło orzechowe?

Roześmiał się.

- Zdumiewasz mnie.

Gdy ogień wesoło już płonął na kominku, usiedli przed nim i zabrali się do jedzenia, podczas gdy Buster z apetytem pochłaniał zabraną z domu suchą karmę dla psów. Po skończonym posiłku przygotowali posłanie z rozłożonych śpiworów.



Riley obserwował, jak Abby szuka czegoś w bagażu. Spodnie koloru khaki, aczkolwiek luźne, podczas ruchu uwydatniały jej kształty. Nogawki wpuszczone były do środka sportowych butów, rękawy bluzki dla obrony przed insektami opuszczone, a kołnierzyk zapięty wysoko pod szyją. I chociaż Riley nie mógł dostrzec ani kawałka odkrytego ciała, to jednak musiał przyznać, że Abby wygląda bardzo pociągająco.

- Czego ty tam szukasz? - zapytał bardziej nerwowo, niż zamierzał.

Wyciągnęła torebkę z jego ulubionymi kulkami serowymi.

- Możesz mi powiedzieć, co to tu robi? To nie jest dla ciebie dobre, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wszyscy mi to mówią, ale ja bardzo je lubię.

Spojrzała na niego tak, jakby naprawdę wątpiła w jego zdrowy rozsądek.

- Szukam aspiryny.

- Apteczka jest w twoim plecaku.

Przy okazji spróbuj znaleźć coś dla mnie, chciał dodać. Coś, co ochłodzi moje libido...

Przy złożonych w rogu pomieszczenia plecakach urzędował Buster. Abby zauważyła, że pies dziwnie się zachowuje. Obwąchuje stertę rzeczy, które przywieźli z sobą, i cicho skowyczy, potracając łapą jedną z paczek. Abby podeszła do niego i zaczęła go ciągnąć za obroże.

- Zostaw to! - zawołała. - Zostaw to w spokoju, Buster.

W tej samej chwili z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia. Riley rzucił się w jej stronę i odepchnął na bok. Buster wściekle ujadł. Pomimo dosyć kiepskiego oświetlenia, na jednej z paczek Riley zauważył zwiniętego w kłębek węża. Był to wprawdzie

nieszkodliwy czarny wąż, ale na tyle duży, że każdemu mógł napędzić strachu.

Szybko unieszkodliwił gada i wyszedłszy na zewnątrz, cisnął go w krzaki. Kiedy wrócił, Abby znowu szperała w plecaku, ale jej ruchy zdradzały dużą nerwowość.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Oczywiście - odparła z irytacją. - Po prostu usiłuję znaleźć tę przeklętą aspirynę.

Bez słowa sięgnął do plecaka i wyciągnął apteczkę.

- To tylko nieszkodliwy wąż, Abby.

- Wiem, ale ja tak nie cierpię węży.

- Te węże są bardzo pożyteczne. Zjadają myszy, żaby oraz inne węże. Są nam potrzebne...

- Nie gadaj tyle, Riley - powiedziała. - Po co ten wykład.

- On cię po prostu zaskoczył - dodał spokojnie.

- Tu wszystko mnie zaskakuje. Nie cierpię tego miejsca. Nie cierpię masła orzechowego i dżemu. Nie cierpię insektów i brudu. Jest mi duszno, mam pęcherze na stopach od tych nowych butów i nie mogę się porozpinać, jeśli nie chcę, żeby mnie zjadły moskity...

- Abby...?

- Czego chcesz?!

- Czyż nie ostrzegałem cię przed tym?

Zagryzła wargi, aby powstrzymać potok skarg, i dłuższy czas patrzyła na niego w milczeniu. Delikatnie ją do siebie przytulił. Zadrżała, lecz kiedy odsunął się nieco, chcąc spojrzeć jej w twarz, zaśmiała się nerwowo.

- Złamałam obietnicę, prawda?

Obserwował ją przez chwilę, po czym ostrożnie dotknął jej policzka. Był zimny, a głębokie cienie pod oczami świadczyły o

ogromnym znużeniu. Powoli zamknęła powieki i jej usta lekko się rozchyliły. Jego palce przesunęły się po jej policzku. Potrząsnął głową, starając się stłumić w sobie pragnienie, które chciało go zaprowadzić tam, gdzie, jak przysięgał, nigdy już więcej zaprowadzić się nie da. Pokusa jednak okazała się zbyt silna. Dotknął ustami jej warg. Jeśli rozum zaczyna szwankować, to przynajmniej zmysły działają normalnie.

Przytuliła się do niego. Wziął ją na ręce i położył na ułożonym ze śpiworów posłaniu. Powoli osunął się obok i przyciągnął ją do siebie. Przywarła do niego, wsuwając mu głowę pod ramię, jak robiła to kiedyś przed laty. To było cudowne uczucie, znowu mieć ją koło siebie. Tak bardzo pragnął nigdy już nie wypuścić jej z ramion.

- Przepraszam - szepnęła, wzdychając z zakłopotaniem. - Wszystko przez ten ból głowy. A do tego jeszcze ten okropny wąż. To zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi. W Bostonie nie mamy węży.

- Jedynie ich dwunożną odmianę.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nigdy nie potrafiłeś zrozumieć, dlaczego tam zostałam?

- Nigdy - przyznał. - Po prostu przyjąłem do wiadomości, że kariera jest dla ciebie ważniejsza niż ja.

Zmarszczyła brwi.

- Och, Riley. Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Kochałam cię, bałam się tylko małżeństwa zaraz po studiach, no i przerażała mnie perspektywa prowadzenia własnego biura prawnego.

Kochałam cię. Nie powiedziała: kocham, lecz kochałam, pomyślał ze smutkiem. Dziesięć lat to za długo, by wciąż kochać.

- A więc wolałaś się ukryć za plecami znanej firmy w wielkim mieście. Balaś się rzucić od razu na głęboką wodę.

- Wcale nie chciałam się kryć za czyimiś plecami.

Wyciągnął rękę w geście poirytowania.

- Wiesz co, dawno temu przysiągłem sobie, że nigdy nie będę zabiegał o poznanie prawdy. Ale do diabła! Uważam, że na to zasługuję. Czego właściwie szukałaś w Bostonie? Aż do uzyskania dyplomu nie miałaś żadnych wątpliwości, po czym jednego dnia wszystko się nagle zmieniło. Co to takiego było, czego nie mogłem ci dać?

- To nie miało nic wspólnego z tobą.

- A więc co?

Przekręciła się i podparła na łokciach, by dokładniej widzieć jego twarz. Jej palce mocno się z sobą splatały, rozdzielały i ponownie splatały.

- Nigdy ci o tym nie powiedziałam - zaczęła po dłuższej chwili milczenia - ale po rozdaniu dyplomów spotkałam się z moją prawdziwą matką. Okazała się zupełnie inna, niż się spodziewałam.

Był wstrząśnięty. Nie miał pojęcia, że Abby kiedykolwiek spotkała się ze swoimi biologicznymi rodzicami.

- A czego się spodziewałaś?

- Myślałam, że ucieszysz się ze spotkania.

- A tak nie było?

Uśmiechnęła się smutno.

- Gorąco wierzyłam, że moi rodzice byli młodymi, desperacko w sobie zakochanymi ludźmi, i że tylko z powodu wieku czy jakichś innych niesprzyjających okoliczności zmuszeni byli mnie oddać. Nic bardziej odległego od prawdy. Moja matka powiedziała mi, że właściwie nawet nie jest pewna, kto był moim

ojcem. Spędziła weekend z przyjaciółmi na plaży, dużo zabawy na słońcu, alkohol. Było więcej chłopców, nie jeden... - Pokręciła głową i wciągnęła głęboko powietrze. - Żaden nie chciał ponosić odpowiedzialności.

Riley wyciągnął rękę, chcąc odgarnąć z jej twarzy kosmyk włosów. Wyglądała żałośnie i serce ścisnęło mu się z bólu.

- Abby...

- Kiedy się urodziłam, bez oporów się ze mną rozstała. Nawet na mnie nie spojrzała, po prostu oddała mnie położnej.

- A więc straciła okazję przekonania się, jaką piękną ma córkę - powiedział cicho.

- Jej zależało wyłącznie na tym, żeby jak najlepiej urządzić się w życiu. No i osiągnęła swój cel. Kiedy widziałam się z nią dziesięć lat temu, była żoną znanego biznesmena i matką dwójki dzieci. Oświadczyła mi, że dla niej nie istnieje. Byłam owocem błędu, który nigdy nie powinien był się wydarzyć i lepiej, żebym teraz nie usiłowała wdzierać się w jej życie. Ona w ogóle nie chce o mnie słyszeć. Zgodziła się ze mną spotkać tylko dlatego, żeby mi powiedzieć, żebym nie liczyła na dalsze kontakty. - Pokręciła głową, jakby wciąż nie mogła w to uwierzyć. - Wiesz, przez chwilę miałam uczucie, że ona się boi, że będę ją szantażować.

- Przyjemna damulka.

- Byłam wściekła. I zraniona. Przede wszystkim dlatego, że traktowała mnie, jakbym nic nie była warta, jakby uważała, że niepotrzebnie przyszedłam na świat. Prawdopodobnie w ogóle bym się nie urodziła, gdyby jej rodzice nie odkryli ciąży i gdyby nie zabronili jej zabiegu.

- Abby...

Spojrzała na niego tak, jakby zobaczyła go po raz pierwszy.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Wiem, że miałam ogromne szczęście, ponieważ zostałam adoptowana przez mamę i tatę. Nie mogłabym wymarzyć sobie lepszych rodziców. - Wzruszyła ramionami. - Jednak wtedy zapragnęłam udowodnić mojej biologicznej matce, że jestem coś warta, że potrafię czegoś dokonać. Postanowiłam stać się taką córką, z której mogłaby być dumna, gdyby tylko uznała ją za swoją.

- I dlatego przyjechałaś tę pracę w Bostonie...

- Myślę, że w znacznej mierze to właśnie skłoniło mnie do tej decyzji. Po prostu uważałam, że jeśli będę miała władzę albo prestiż... Wiem, jak głupio to teraz brzmi... - Próbowała się uśmiechnąć. - Wiem, że bardzo cię zraniłam, nigdy jednak tego nie chciałam.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś o matce?

- Nie mogłam. Nie mogłam powiedzieć nikomu. Wciąż myślałam o tym, jak ona wtedy na mnie patrzyła. Jakbym była czymś wyjątkowo odrażającym...

Przytulił ją do siebie tak, jakby chciał ją obronić przed nią samą.

- Abby, przestań...

- Powinam była ci to powiedzieć. Zawsze tak doskonale mnie rozumiałeś.

- Chyba wszystko popsulem - mruknął z niezadowoleniem. - Byłem zbyt zapatrzonej w siebie, żeby dbać o potrzeby innych.

- To nieprawda. Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze mnie wspierałeś. W trudnych chwilach nigdy nie byłam sama. Zawsze miałam mamę i tatę. Ciebie i Rocketa.

Roześmiał się.

- Co za ulga wiedzieć, że na tej liście zajmuję wyższą lokatę niż Rocket.

Westchnęła z ulgą, jakby cała nagromadzona od tyłu lat złość nagle z niej wyparowała. Nabrała głęboko powietrza w płuca, po czym wolno je wypuściła. Przez dłuższy czas obydwójce milczeli, wsłuchując się w dochodzące z bagien odgłosy.

- Widzisz, chyba nie jest już tak źle? - zapytał. - Posłuchaj szumu wiatru w koronach drzew. - Leżeli obok siebie, patrząc w sufit. Delikatnie wodził palcami po jej twarzy.

- Riley? - Podniosła głowę z jego ramienia i spojrzała mu w oczy. - Czy chciałbyś mnie znowu pocałować?

Doskonale wiedział, ile te słowa ją kosztowały.

- Abby, nie zadawaj mi takich pytań.

- Dlaczego?

- Ponieważ to może zaprowadzić nas tam, gdzie nie chciałbym się znaleźć.

Leżał w milczeniu. W uszach i w głowie słyszał przyspieszone bicie swego serca. On i Abby nie należą już do siebie. Powtarzał sobie w myślach, że powinien zachować spokój. Jeśli mu się uda, Abby powinna zrezygnować. Jednak adrenalina dawała o sobie znać, a ręce Abby wcale nie miały zamiaru się poddać...

Nagle usiadła, obydwoma rękami zebrała włosy i odgarnęła je do tyłu. Obserwował, jak odpina guziki przy mankietach koszuli, następnie kilka pierwszych guzików przy szyi. Nie spuszczała oczu z jego twarzy, gdy wyciągała koszulę ze spodni i gdy potem zdejmowała ją przez głowę. Po chwili cisnęła ją w ką. Za nią powędrował koronkowy stanik. Ślicznie wyglądała w blasku płonącego kominka. Być może innego dnia, w innej sytuacji, mógłby się oprzeć, ale teraz... czuł jedynie pożądanie, którego nie był w stanie opanować. Ponownie położyła się obok niego, lecz tym razem jej ręce znalazły się na jego koszuli.

- Dokądkolwiek zechcesz mnie zabrać, pójdę z tobą - wyszeptała. - Chcę być z tobą.

Rozchyliła górną część jego koszuli, całowała skórę. Jego oddech stał się krótki i przyspieszony. Wplatając palce w jej włosy, usiłował spojrzeć w oczy.

- Mój Boże, Abby - wyszeptał. - Czy wiesz, co robisz? Uśmiechnęła się.

- To tylko dziesięć lat, Riley. Pamiętam wszystko. Każde miejsce, które sprawiało ci rozkosz.

Po czym, jakby chciała to udowodnić, wzięła do ust jeden z twardniejących sutków. Jego zmysły wyłączyły rozum i nie miał już siły, by ją powstrzymać. Czuł, jak palący żar wlewa się w jego biodra i nie pozostawało nic, jak tylko odpowiedzieć na żądanie ciała.

- Nie przestawaj... - Jego głos brzmiał obco, jakby nie należał do niego. - Bądź ze mną, Abbot. Zostań...

- Zostanę - obiecała, tuląc do niego rozpaloną twarz i pokrywając pocałunkami jego szyję i ramiona.

Nieprzytomny z pożądania przewrócił ją na plecy. Gorączkowo usiłowała zrzucić buty, podczas gdy on odpinał jej pasek od spodni, by po chwili ściągnąć je wraz z bielizną. Jego ręce przesuwaly się po jej ciele, rozkoszując się dotykiem gładkiej, pulsującej od wewnętrznego żaru skóry, przypominając sobie każdy kształt, każde zagłębienie. Jego usta całowały jej piersi i brzuch, na nowo odkrywając wszystkie, niegdyś tak dobrze znane tajemnice.

Szybko ściągnął z siebie ubranie, po czym położył się na niej. Oparła dłonie na jego biodrach i przyciągnęła go do siebie.

Pragnał, by ich akt trwał jak najdłużej, lecz nie był już w stanie zapanować ani nad swoim, ani nad jej pożądaniem. Jęk



rozkoszy wydobył się z jej ust. Pochylony nad nią szeptał jej do ucha najślıodsze słowa miłości. Czoło Abby, wilgotne i gorące, zmarszczyło się, a oczy nagle stały się ogromne. Czuł, jak mocno bije jej serce, kiedy drząc, oddawała mu całą siebie.

Potem opadł tuż obok niej, oddychając ciężko. To było niesamowite uczucie. Miał wrażenie, jakby przed chwilą został... zdobyty.

Był tak wyczerpany, że wystarczyło mu siły jedynie na odwrócenie głowy. Popatrzył na Abby, wtuloną w zagłębienie jego ramienia. Miała zamknięte oczy. Podniósł rękę do jej policzka i powiódł palcami po wilgotnej, zaróżowionej skórze.

- Kocham cię - szepnął.

Minęło trochę czasu, zanim się zorientował, że Abby śpi.

Tuż przed świtem obudziła się z najwspanialszego snu. Riley szeptał jej cicho do ucha, że ją kocha.

Dziesięć lat to dużo. Nigdy nie przypuszczała, że seks między nimi może być wciąż taki fantastyczny. Nie, to nieprawda. Wiedziała o tym już wtedy, gdy pocałował ją na drabinie w magazynie na przystani. Nie zapomnieli, jak się dotykać, jak smakować, jak doprowadzać do granic ekstazy i jak tę granicę przekraczać. Owładnęło nią uczucie spokoju. Uczucie tak słodkie, że była bliska lez.

Ogień na kominku przygasł i w powietrzu czuło się pierwsze zwiastuny świtu. Patrząc przez okno widziała, że gwiazdy prawie już zniknęły z nieba. Nim minie godzina, światło dzienne pokona mrok. Leżeli obok siebie spleceni ramionami.

Delikatnie wodziła palcami po jego piersi. Ciało Riley'a było opalone, wspaniale umięśnione, ale wciąż jeszcze nosiło ślady tamtych strasznych cierpień. Ogromna blizna biegła wzdłuż jego prawego boku i sięgała aż do uda. Nie mogła spokojnie myśleć, jaki to musiał być koszmar. A gdyby Riley zginął podczas tej eksplozji, która zniszczyła przystań?

Podniosła głowę, jakby chciała się upewnić, że nie zginął. Riley nie spał, obserwował ją. W jego oczach widziała łagodność, tkliwość i oddanie.

- Czy to wciąż boli? - zapytała, wskazując na zablźniającą się ranę.

- O tak! - odrzekł z diabelskim uśmiechem i zerknął w kierunku miejsca, które niewiele miało wspólnego z poparzeniem.

- Świntuch! Doskonale wiesz, że miałam na myśli twoje obrażenia w czasie pożaru.

Spojrzał na nią z udanym rozczarowaniem.

- Och, nie! Wcale nie boli. Jedynie wtedy, gdy się zbyt mocno sforsuję. Leslie mówi, że nieźle sobie radzę.

- Leslie?

- Moja fizykoterapeutka. To ta, o którą byłaś zazdrosna.

Grzotnęła go pięścią w klatkę piersiową.

- Wcale nie byłam zazdrosna!

- Może żartowałaś - odrzekł, rozcierając miejsce, gdzie go uderzyła. - Ale mnie się to spodobało.

Westchnąwszy z zadowoleniem, znowu się w niego wtuliła. Niedaleko nich Buster skomlił we śnie.

- Kiedy wrócimy do Fort Myers - zaczęła Abby - przypomnij mi, żebyśmy kupiła Busterowi ogromny, soczysty stek. Zasłużył na to, ratując mnie przed tym okropnym węzem. - Słyszac chichot Riley, dodała: - Nie śmiej się. Byłam dosłownie sparaliżowana ze strachu.

- Wiem.

- W takich warunkach nie czuję się zbyt pewnie.

- Doskonale to nadrabiasz innymi talentami.

- Tak myślisz? - Uśmiechnęła się szeroko. - Na przykład jakimi?

Spodziewała się, że Riley powie coś na temat minionej nocy albo że pozwoli sobie na jakiś złośliwy komentarz, ogromnie więc była zaskoczona, kiedy poważnym tonem rzekł:

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś potrafił tak skłonić kogoś do mówienia. Znakomicie sobie poradziłaś z tą kobietą i jej przyjacielem w barze. Oni dosłownie jedli ci z ręki.

Słowa Riley sprawiły jej ogromną satysfakcję.

- No cóż, w takich sprawach chyba rzeczywiście jestem niezła.

Podniósł do ust jej dłoń i ucałował każdy palec.

- Jesteś Abby. Jesteś wspaniałym prawnikiem. Podczas procesu Lindsaya wyglądałaś jak trzymający kość terier. Nigdy nie zwolniłaś uścisku.

Jej palce zacisnęły się kurczowo na wspomnienie tego procesu, w który tak bardzo się zaangażowała.

- Rzeczywiście nigdy - powiedziała cicho.

Nie chciała psuć nastroju rozmową o procesie. Odwróciwszy głowę, zaczęła całować jego bliznę, dotykając, muskając i pieszcząc ustami miejsce przy miejscu, aż jego przyspieszony oddech przeszedł w jęk. Przez chwilę wydawało się, że jej wysiłki przyniosą zamierzony skutek, lecz zamiast pozwolić, by znowu połączyła ich namiętność, palcami podniósł do góry jej twarz i spojrzał w oczy. Serce Abby zadrżało,

- Stop - powiedział ochryplym głosem. - Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

- O czym?

- O tym, dlaczego nie chcesz mówić o procesie.

- To stara historia - odparła. - A to, co robimy, jest znacznie przyjemniejsze.

Nie dał się zbyć.

- Jaki jest ten Paul Lindsay?

Poruszyła się niespokojnie i westchnęła.

- Abby...

- No dobrze - odparła z rezygnacją.

Przez jakiś czas, który zdawał się trwać wieki, milczała, usiłując znaleźć właściwe słowa. W końcu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

- To socjopata. Uważa, że nie musi przestrzegać praw, które obowiązują innych. Paul Lindsay zasłużył na to, co go spotkało. Napastował seksualnie swoją siostrę, kiedy byli jeszcze dziećmi. Latami poszturchiwał swoją żonę, nawet wtedy, gdy już zdobył fotel w Kongresie i stał się osobą publiczną.

- Ale zabić własnego syna...

- Żona Lindsaya zeznała, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy życia chłopca widziała na jego ciele siniaki niewiadomego pochodzenia. Dziadkowie małego przysięgali, że ostrzegali Lindsaya, żeby nie był taki bezwzględny w stosunku do dziecka, ale on ich wyśmiał. Nawet lekarz, który zajmował się Michaelem na pogotowiu, oświadczył, że obrażenia chłopca nie mogły być rezultatem upadku z łóżeczka.

- Jednak biuro prokuratora okręgowego nie wystąpiło z oskarżeniem o przestępstwo.

- Myślę, że Lindsay ma wystarczająco dużo przyjaciół w rządzie, żeby do tego nie dopuścić. Przynajmniej na razie. Ale kiedy dziadkowie dziecka zgłosili się do nas, żebyśmy w ich imieniu wytoczyli mu proces cywilny, czuliśmy, że go mamy.

- Zeznania opiekunki chłopca musiały być dla tej sprawy kluczowe. Jak ona się nazywała?

Abby drgnęła. Nie chciała więcej mówić o procesie, a szczególnie o tym, czego się najbardziej wstydziła. Jednak teraz nie mogła się już wycofać; wiedziała, że Riley nie ustąpi.

- Carla - odparła bezbarwnym głosem. - Carla Matos.

- Ona widziała, jak ten kongresman potrząsał chłopcem.

- Tak - przyznała Abby. - Tak właśnie zeznała, a przysięgli jej uwierzyli.

- Ale ty nie uwierzyłaś?

Pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego?

Drugi śpiwór służył im za przykrycie. Abby podciągnęła go do góry i usiadła. Przeczesiała palcami zmierzwione włosy, po czym zakryła nimi twarz. Jak powiedzieć mu prawdę? Na odwrót było już jednak za późno.

- Na pół godziny przed powołaniem jej w sądzie na świadka Carla powiedziała nam, że skłamała. Nie widziała, żeby Lindsay potrząsał chłopcem w dniu jego śmierci. Odwołała wszystko, co zeznała przed procesem.

- Dlaczego to zrobiła?

- Przyznała się, że robiła Lindsayowi awanse, ale on ją odrzucił. Chciała się zemścić, może nawet mieć swoje pięć minut podczas procesu. Później doszła jednak do wniosku, że nie może tego zrobić.

- Ale przecież zeznała przed sądem...

Spojrzała na niego przez ramię.

- Riley, ona zeznała to, co jej kazano zeznać.

Zmarszczył brwi.

- Ty kazałaś jej skłamać?

- Nie! Nigdy bym tego nie zrobiła - zaprzeczyła.

Zachowaj spokój, zachowaj rozsądek, pomyślała. Odwróciła wzrok i przez chwilę patrzyła przed siebie nie widzącymi oczami, klnąc w myślach Riley'a, że nie chce zostawić tej sprawy w spokoju.

- Była naszym jedynym świadkiem, ale ja uważałam, że mamy inne ważne dowody. Jeśli Carla chciała się wycofać, to według mnie i tak mogliśmy wygrać. Ale Joe i Ed, koledzy z zespołu, byli innego zdania. Poza tym wiedzieliśmy, że nasz szef, Borreson, nie będzie zadowolony z ewentualnego uniewinnienia, tak więc powiedzieli jej, że jeśli odwoła zeznanie, wystąpimy

przeciwko niej z oskarżeniem o wprowadzenie nas w błąd. W efekcie straci zieloną kartę i zostanie odesłana do Nikaragui. Straszili ją, powiedzieli, że osobiście dopilnują, żeby trafiła do więzienia. Kiedy skończyli, biedna kobieta tonęła we łzach. Była śmiertelnie przerażona. Tak więc, kiedy stanęła przed ławą przysięgłych, podtrzymała swoje pierwotne zeznanie.

- Tylko ty nie uwierzyłaś.

- Tak - potwierdziła ledwie słyszalnym szeptem. Z trudem przełknęła ślinę. - Musisz zrozumieć, świadkowie często zmieniają zeznania. Ze strachu, że tracą pracę, że zniszczą rodzinę lub też z jakichś innych powodów. Trudno więc stwierdzić, kiedy mówią prawdę. Trzeba polegać na instynkcie. I właśnie w tym przypadku mój instynkt powiedział mi, że Carla Matos nigdy nie widziała, żeby Lindsay robił krzywdę swojemu dziecku.

Riley przez cały czas milczał. Abby zastanawiała się, o czym myśli. Chcąc zająć czymś ręce, zaczęła wyglądać drobne fałdki na śpiworze, lecz natychmiast przestała, gdy zauważyła, że jej palce drżą.

- Abby, spójrz na mnie.

Przez chwilę się opierała, po czym wolno podniosła wzrok.

Patrzył na nią badawczo.

- To wcale nie znaczy, że ten człowiek jest niewinny.

- Wiem o tym. Nasze dowody były solidne nawet bez zeznań tej kobiety. Jednak to, co oni zrobili, co pozwoliłam im zrobić, wstrząsnęło mną. Nie po to poszłam na prawo, żeby wymuszać zeznania na świadkach. Zawsze pragnęłam wygrywać w uczciwej walce, jednak mam wrażenie, że w ciągu tych kilku ostatnich lat trochę się zagubiłam. - Opuściła wzrok, jakby nie mogła sobie poradzić z doborem słów. Wyciągnęła rękę do śladów oparzeń na

udzie Riley'a. Delikatnie wodziła po nich palcami, jakby w obawie, że może sprawić mu ból.

- Zawsze starałam się pomagać ludziom - rzekła cicho. - Teraz wydaje mi się, że jedyną rzeczą, na której mi naprawdę zależy, jest to, czy o mojej firmie piszą w gazetach.

- Abby, gdybyś rzeczywiście nie pomagała ludziom, nie byłoby cię tutaj, skoro to ostatnie miejsce na świecie, gdzie mogłabyś się dobrze czuć.

- Nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy zauważyłam w sobie te zmiany - ciągnęła. - Może zachodziły one tak stopniowo, że zanim się spostrzegłam, było już za późno.

- Nigdy nie jest za późno.

- Nie wiem, Riley. Kiedyś wszystko wydawało się proste. Miałam jasno określony plan, co chcę osiągnąć w życiu. I nie było w nim nic z tego, co dziś wydaje się takie ważne.

Wyprostował się, ostrożnie położył jej ręce na ramionach i podniósłszy do góry jej włosy, pocałował w szyję.

- A więc to zmień - wyszeptał jej prosto do ucha. - Stwórz nowy plan.

Razem z tobą? - miała ochotę zapytać. Razem z tobą?

Nie miała jednak odwagi. Ta noc była cudowna, ale czy coś tak niezwykłego może trwać długo? Sądząc po czułości i namiętności, jakimi tej nocy ją obdarzył, musiał do niej coś czuć. Ale czy to była miłość? Czy kiedykolwiek, nawet w chwili najwyższego uniesienia, dał jej odczuć, że może być między nimi coś więcej? Tak. Nie. O Boże, nie mogła sobie przypomnieć.

Wiedziała, że Riley czeka na odpowiedź.

- Myślisz, że to takie proste - zauważyła - ale wcale tak nie jest. Potrzebowałam dziesięciu lat, żeby dojść tam, gdzie jestem.



I czy to dla mnie dobre, czy złe, nie mogę tego z dnia na dzień porzucić. Potrzebny będzie czas i ogromne zaangażowanie...

- Doskonale wiem, jak się zaczyna od nowa - przerwał jej. - Jeśli czegoś bardzo się pragnie, trzeba o to walczyć. W przeciwnym razie... - Urwał nagle i Abby spostrzegła, z jakim trudem oddycha. Po chwili spokojnym głosem dodał:

- Oczywiście, mnie nie nęcono udziałami w firmie. Wyobrażam sobie, że rezygnacja z tego może okazać się trudna lub wręcz niemożliwa.

Zesztywniała. Aczkolwiek to, co Riley powiedział, było bolesne, wiedziała, że ma rację. Długo i ciężko pracowała, aby osiągnąć cel, który sobie postawiła. Kiedyś jednak nie było mowy o żadnych wyrzutach sumienia, żadnych wątpliwościach. Jak mogłaby teraz zrezygnować z tamtego marzenia, skoro właśnie ono kierowało jej życiem przez tyle lat?

Nie chcąc pokazać, ile w niej drzemało wątpliwości, usiłowała nadać głosowi spokojne brzmienie.

- Kłamałabym, gdybym twierdziła, że to, co osiągnęłam, nie było tym, do czego dążyłam przez tyle lat...

Umilkła nagle, niezadowolona, że zaczyna się usprawiedliwiać. W tej chwili najbardziej brakowało jej dystansu, czasu na spokojne przemyślenie, z daleka od Riley'a i erotycznych przeżyć. Wstała i zaczęła porządkować swe rzeczy.

- Już świta - zauważyła, nie patrząc na Riley'a. - Jeśli rzeczywiście wierzysz, że Danny i jego brat mogą się zjawić w każdej chwili, to nie powinniśmy wyglądać jak para nowożeńców, która przyjechała tu na miesiąc miodowy.

Przez ułamek sekundy miała ochotę cofnąć swoje słowa i znowu znaleźć się obok niego na śpiworze. Już za nim tęskniła. Jednak wiedziała, że z chwilą gdy znajdzie się w jego ramionach,

nic innego nie będzie miało znaczenia. Zauważyła, że Riley ją obserwuje, lecz udawała, że jest jej to obojętne. Ubrała się, rozczesała włosy i umyła zęby, korzystając z wody, którą przywieźli z sobą. W tym czasie Riley również się ubrał i zwinąwszy śpiwory, skierował się w stronę drzwi. Buster ruszył za nim.

- Idę z Busterem na spacer - oznajmił. - Nie chcę, żeby wpadł na coś, z czym sobie nie poradzi. Mamy jeszcze płatki i trochę mleka w lodówce. Trzeba je zużyć, zanim lód się rozpuści. Za chwilę wracam.

Skinęła głową, chociaż Riley nie czekał na odpowiedź. Drzwi leciutko trzasnęły i została sama. Bezwzględne stanowisko Riley'a zabolowało ją, ale czy mogła się czegoś więcej spodziewać? Zawsze wierzył, że życie składa się z prostych wyborów. Jeśli jesteś ze swojego życia niezadowolony, to je zmień. Jakie to łatwe.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślała ze złością.

Rileya nie było już dosyć długo. Zjadła śniadanie, posprzątała i ponownie spakowała ich rzeczy, zwracając baczną uwagę na to, czy w jakimś zakamarku nie ukryło się jakieś paskudztwo. Kiedy Riley zjawił się wreszcie z wlokącym się tuż za nim Busterem, siedziała w miejscu, gdzie poprzednio leżały śpiwory, i przeglądała stertę starych czasopism.

Wyjście Riley'a umożliwiło jej pozbieranie myśli i zastanowienie się nad wieloma sprawami. Nie musiała się przed nim tłumaczyć. Odzyskała już panowanie nad sobą i jeśli ma zamiar dyskutować z nią o jej przyszłości, jest gotowa. Obserwowała go znad poźólkłych stron gazet, starając się odgadnąć, w jakim jest nastroju.

- Przygotowałam ci płatki - powiedziała. - Banany są trochę nieświeże, ale jabłka wydają się w porządku. Są tam, jeśli masz ochotę.

- Dzięki.

Odwrócił się do niej tyłem i zaczął szperać w przenośnej lodówce. Pod drelichową koszulą jego mięśnie napinały się i prostowały jak części dobrze naoliwionej maszyny. Przypomniała sobie, jak pochylał się nad nią ubiegłej nocy... Broniąc się przed tymi myślami, usiłowała skupić całą uwagę na trzymanym w ręku czasopiśmie.

Odwrócił się do niej z kawałkiem jabłka w jednej ręce i śniadaniem dla Bustera w drugiej. Przykucnąwszy, karmił psa suchą karmą z plastikowej torby.

- Co czytasz? - zapytał.

- Członkowie komisji Watergate nie są pewni, czy Nixon mówi prawdę. Sytuacja prezydenta nie wygląda najlepiej. - Z leżącej obok niej sterty wyciągnęła inne czasopismo i podniosła je do góry tak, aby Riley widział okładkę. - Tu jest coś, co powinno cię zainteresować. Naturalnie, musisz pamiętać o tym, że ta kobieta w kostiumie kąpielowym dziś już pewnie ma wnuki.

Roześmiał się, kiedy rzuciła pismo w jego kierunku. Poruńnięto z szelestem, jak trzepocący skrzydłami ptak. Chwycił je jedną ręką i krzywiąc się zabawnie przy każdym kęsie, zaczął je z zaciekawieniem przeglądać.

- Boże, chyba ją sobie przypominam - oznajmił, przyglądając się kolorowemu zdjęciu nagiej modelki. - Dzięki ci za to. Czuję się, jakbym miał sto lat.

Ucieszyło ją, że panująca niegdyś między nimi atmosfera koleżeństwa zdaje się znowu powracać. Jeśli mają zamiar pomóc

tym dzieciakom, muszą nadawać na tej samej fali, muszą być zdolni do swobodnej, przekonującej rozmowy.

A co do ostatniej nocy... No cóż, to był błąd. Nie przyniesie nic dobrego, wręcz przeciwnie - jedynie skomplikuje ich stosunki. Żadnego seksu, obiecała sobie z westchnieniem. Zastanowiło ją tylko, dlaczego nagle poczuła się jak skazaniec, któremu pluton egzekucyjny podaje opaskę na oczy.

Riley wepchnął czasopismo do worka na śmieci, który mieli zabrać ze sobą do Flamingo Junction, i poszedł w kierunku zatopionej w lekturze Abby. Zatrzymał się przy niej, a kiedy podniosła na niego oczy, wszystkie problemy Nixona związane z aferą Watergate nagle przestały istnieć.

- Abby, muszę z tobą porozmawiać o ostatniej nocy.

W jej głowie zaświeciło się światełko ostrzegawcze. Jego słowa nie zapowiadały niczego dobrego.

Nagle, gdzieś z tyłu, dobiegł ich jakiś podejrzany dźwięk. Buster najeżył się i zaczął warczeć, patrząc w kierunku zamkniętych drzwi. Po chwili drzwi szeroko się otworzyły i stanął w nich Danny, a tuż za nim, jakby do niego przylepiony, jego mały braciszek, Ned. Gdyby nie powaga sytuacji, wyraz twarzy Danny'ego można by uznać za komiczny. Otworzył usta, kilka razy zamrugał powiekami, następnie gwałtownie się odwrócił, nieomal przewracając Neda.

Zanim Abby zdążyła się podnieść, Riley był już przy drzwiach. Doszło do krótkiej szamotaniny, kiedy Riley chwycił Danny'ego za kołnierz i wciągnął go do środka. Chłopak wił się, machał rękami i nogami, chcąc za wszelką cenę się uwolnić.

- Danny, uspokój się! - zawołał Riley.

- Puść mnie!

Chłopiec wciąż się szarpał. Abby błyskawicznie zamknęła drzwi i zasłoniła je sobą. Buster wył jak pies Baskerville'ów, a tuż obok przerażony Ned zaczął płakać. Abby przytuliła go do siebie.

- Danny, nie rób tego! - zawołała. - Przestraszyłeś Neda. Puść go, Riley.

W ułamku sekundy szamotanina ustała. Chłopak ciężko oddychał, jakby dopiero co ukończył bieg, a bezsilność malująca się w jego oczach nadawała jego twarzy prawie dziecięcy wygląd.

- Chcemy tylko z tobą porozmawiać - rzekła spokojnie Abby.

Danny gwałtownie pokręcił głową.

- Nie chcemy wracać. Nie możecie nas zmusić.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby was do czegokolwiek zmuszać. Jesteśmy po to, żeby wam pomóc - odrzekła, przyklękając przy Nedzie. Płacz chłopca przeszedł teraz w rozpaczliwe łkanie. Abby otarła rękawem bluzki jego zalaną łzami buzię. - Już dobrze, Ned. - Uśmiechnęła się do niego. - Chodź, popatrz na Bustera. Wygląda groźnie, ale to wcale nie znaczy, że zrobi ci krzywdę.

Podprowadziła go do psa. Chłopiec ledwie trzymał się na nogach. Abby wciąż do niego mówiła; pytała, czy jest głodny, czy lubi psy, co widział po drodze. Chciała wzbudzić w dziecku zaufanie. Czują, jak jego ramiona drżą.

- Jak się tu dostaliście? - zapytał Danny. - I skąd wiedzieliście, gdzie nas szukać?

- To nie ma znaczenia - odrzekł Riley. - Najważniejsze, że siedzimy tu razem i że rozmawiamy. Powiedz nam więc, jakie masz plany, a potem, jeśli zechcesz stąd wyjść i zniknąć gdzieś w tych bagnach, nie będziemy cię zatrzymywać. Prawda, Abby?

Spojrzała na niego ze zdumieniem, lecz nie zaprzeczyła. Najwyraźniej Riley starał się zdobyć zaufanie Danny'ego.

- Nie, nie będziemy.

- Dlaczego miałbym wam wierzyć? - W głosie Danny'ego zabrzmiała podejrzliwość.

- Czy kiedykolwiek cię okłamałem? - zapytał Riley. - Czy kiedykolwiek odniosłeś wrażenie, że nie możesz mi ufać? Okradałeś mnie od pierwszego dnia, kiedy cię spotkałem, ale czy kiedykolwiek wykorzystałem to przeciw tobie?

Cisza, jaka nagle zapanowała po tych słowach, wkrótce dla wszystkich stała się nie do zniesienia. W pewnej chwili Abby, sadowiac Neda na kolanach i namawiając go, by pogłaskał Bustera, kątem oka zauważyła, że Danny ściąga z ramion plecak i stawia go na podłodze. Riley usiadł na turystycznej łódce, a w parę sekund później Danny, oparłszy się o ścianę, osunął się do pozycji siedzącej i z rezygnacją pochylił głowę.

- Nie chciałem zabierać tych rzeczy - wyjaśnił ponuro. - Zamierzałem zwrócić każdego centa. To dlatego, że... Ned i ja potrzebowaliśmy pieniędzy, żeby uciec i mieć coś na początek. Nie wiedziałem, skąd je wziąć.

- Uciec od czego, Danny? - zapytała Abby. - Od wuja?

- Nie macie pojęcia, co musieliśmy znosić. Nigdy nie wiedziałem, czy następnego dnia przyniesie dwudziestolitrowy pojemnik lodów, czy kopniakiem nie zepchnie któregoś z nas ze schodów. Z nim jest coś nie tak.

- Jeśli to prawda, to możemy go zmusić, żeby zaczął się leczyć - wtrąciła Abby. - Nikt nie wymaga od was, żebyście mieszkali tam, gdzie grozi wam niebezpieczeństwo.

Riley pochylił się do przodu.

- Jeśli facet był agresywny, dlaczego nikomu o tym nie powiedziałeś?

- Myślałem o tym, ale chcieliśmy z Nedem być razem. On jest całą moją rodziną i nie zamierzam pozwolić, żeby jakiś urzędnik nas rozdzielił.

- Powinieneś być przyjsć z tym do mnie - odparł Riley - albo do Maca. Mogliśmy ci pomóc.

- Nie mogłem. To krępujące. - Podniósł głowę i w milczeniu patrzył w sufit, jakby szukał właściwych słów, a kiedy w końcu się odezwał, jego głos był chrapliwy. - Jestem już prawie dorosły, prawda? Powinienem sam rozwiązywać swoje problemy.

Ned już prawie zasnął w ramionach Abby. Skrzyżowała mu ręce na piersiach, a głowę umieściła w zagłębieniu swego ramienia.

- Od czasu do czasu każdy potrzebuje pomocy, Danny.

- Dlaczego uciekliście? - zapytał Riley.

- Następnego ranka po tym, jak byliście u nas, wybuchła straszliwa awantura. Woody zażądał, żebym się zwolnił z przystani i pracował z nim przez całe lato. Ale ja już wcześniej zdecydowałem, że uciekniemy. Potem odkryłem brak monety w mojej torbie. - Spojrzał na Abby. - Od paru dni wiedziałem, że podejrzewacie mnie o kradzież i pomyślałem, że przyszlście to wyjaśnić. Nie chciałem trafić do sądu dla nieletnich czy jeszcze gorzej.

Abby poczuła się urażona.

- Nie jestem twoim wrogiem - zaprotestowała. - Poza tym... - spojrzała wymownie na Riley'a - powiedziałeś, że pożyczyłeś mi tę monetę.

- Chciałem cię powstrzymać od konfrontacji z Danny'm. Chciałem ten problem rozwiązać sam. - Riley zwrócił się do chłopca. - Ona jest naprawdę po twojej stronie, dzieciaku. Może nam pomóc wy dostać was z tego szamba.

Opowiedział w skrócie, co przydarzyło się Woody'emu, kiedy on i Ned uciekli. Wydawało się, że informacja o stanie wuja nie zrobiła na Danny'ym żadnego Wrażenia i Abby zaczęła podejrzewać, że Woody musiał te dzieciaki rzeczywiście źle traktować.

- Nie mamy zamiaru wracać.

- Danny, co ty chcesz zrobić? - zdenerwowała się Abby. - Zawlec swojego brata głębiej w te bagna, aż wpadniecie w takie tarapaty, z których już nie będzie wyjścia? - Wskazała na jego niechlujny wygląd. - Spójrz na siebie. Spójrz na Neda.

Twarz chłopca spochmurniała.

- Sam mogę zająć się moim bratem.

- To przecież małe dziecko - powiedziała cicho. - I nieważne, że nie chcesz o tym słyszeć. Musisz przyjąć do wiadomości, że nie możesz się nim zajmować.

- Rodzice nauczyli mnie, jak przeżyć w takich warunkach. Nie boję się tego.

- Ale Ned z pewnością się boi. Myślę, że jest tak samo przerażony tym miejscem, do którego go przywiozłeś, jak i życiem w domu wuja. On chce ci wierzyć, ale nie może pamiętać, jak tu było kiedyś. Twój rodzice są już dla niego jedynie mglistym wspomnieniem. Być może nawet nic złego was nie spotka, ale te bagna to nie jest odpowiednie miejsce dla ośmiolatka, który zna jedynie życie w mieście.

Danny z zaciśniętymi ustami słuchał jej argumentów, po czym z uporem powtórzył:

- Mogę go uczyć, tak jak mój tata uczył mnie.

- W porządku - odezwał się Riley, ponownie włączając się do rozmowy. - Powiedzmy, że potrafisz go nauczyć, jak nie wpaść na węża czy aligatora. Co jednak zrobisz, kiedy go rozboli ząb, kiedy



skaleczy sobie rękę albo kiedy spotka go coś innego, co często przytrafia się dzieciom? A co z zapewnieniem mu dachu nad głową, co z nauką i towarzystwem chłopców w jego wieku? Masz prawie osiemnaście lat. Jeśli chcesz zostać pustelnikiem albo zwykłym włóczęgą i żyć z tego, co uda ci się ukraść, to twoja sprawa. Ale czy możesz to zrobić Nedowi?

Danny nachmurzył się. Przez dłuższy czas w milczeniu ich obserwował, po czym, mamrocząc coś pod nosem, z trudem wykrztusił:

- Co się stanie, jeśli wrócimy?

Żal ścisnął serce Abby.

- Wydział do Spraw Dzieci i Rodziny umieści was w domu dziecka do czasu, aż zarzut o stosowanie przemocy się wyjaśni.

- A co potem?

- Jeśli zarzut się potwierdzi, wasz wuj zostanie pozbawiony prawa do opieki.

Danny, sprawiając wrażenie kompletnie przybitego, wetknął ręce do kieszeni kurtki.

- Wylądujemy w dwu różnych domach. Z obcymi.

- Być może tak będzie na początku - przyznała, nie chcąc chłopca wprowadzać w błąd. - Przynajmniej wtedy, gdy będą sprawdzać wuja. Ale przyrzekam, że zrobię wszystko, żeby tak się nie stało. Mam wielu wpływowych przyjaciół, Danny. Poruszę wszystkie możliwe sprężyny, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo i jak najlepszą opiekę. Bardzo chciałabym, żebyś mi uwierzył.

Oczywiście, nie było to łatwe.

Riley i Abby musieli użyć jeszcze wielu argumentów, by Danny uznał powrót do Fort Myers za jedyne rozsądne wyjście. Martwił się, co się z nimi stanie, lecz już nie protestował. Ned z wyraźną ulgą przyjął decyzję o powrocie.

Podczas gdy chłopcy spali przytuleni do Bustera na tylnym siedzeniu jeepa, oboje uzgodnili, że następnego dnia, zamiast przyjść na przystań, Abby skoncentruje się na możliwie szybkim załatwieniu wszystkich formalności prawnych, związanych z sytuacją chłopców.

Riley, z ogromnym sceptycyzmem odnoszący się do urzędowych procedur, był przekonany, że biurokratyczne tryby Wydziału do Spraw Dzieci i Rodziny będą się obracały zbyt wolno. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu Abby w ciągu dwóch dni osiągnęła to, co wydawało się prawie niemożliwe.

Oskarżenie przeciwko Woody'emu Torrence'owi o stosowanie przemocy zostało sporządzone błyskawicznie. Woody popełnił błąd, stawiając opór funkcjonariuszowi, który zjawił się u niego, by go wstępnie przesłuchać, i w efekcie wylądował w areszcie, oskarżony o czynną napaść.

Riley i Abby spotkali się z Julią Hathaway, pracownikiem socjalnym wydziału, i przekonali ją, by zażądała badania psychiatrycznego Torrence'a. Abby i Maggie pojechały z chłopcami do domu Woody'ego po ubrania, podręczniki i rzeczy osobiste, po czym zawiozły ich do Riley'a.

Riley ze zdumieniem obserwował, jak Abby wydzwania do wszystkich, którzy kiedykolwiek coś jej zawdzięczali, jak

wykorzystuje kontakty, żeby tylko nie dopuścić do rozdzielenia chłopców.

Drugiego dnia po powrocie Riley nadzorował przy nabrzeżu dostawę trzech łodzi na skład. Podniósł wzrok znad trzymanyh w ręku umów i zobaczył zbliżającą się w jego kierunku Abby. Ubrana w kostium i buty na wysokich obcasach, podkreślające smukłość jej długich nóg, wyglądała tak samo profesjonalnie jak w dniu, kiedy ponownie wkroczyła w jego życie. Nie było nawet śladu po tamtej kobiecie, która tak bardzo bała się węży, czy też po klaunie, zabawiającym dzieci opowiadaniem kawałów. Lecz wiedział, że te obydwie kobiety istnieją i że w obydwu jest nieprzytomnie zakochany.

W nawale zajęć związanych z przystanią, Dannym i Nedom ani on, ani Abby nie mieli czasu porozmawiać o tamtej nocy w domku na bagnach. Riley chciał jej powiedzieć, jak wiele to dla niego znaczyło, jak wiele ona dla niego znaczy.

Nie mógł sobie przypomnieć, z jakiego powodu uznał, iż zasługują na drugą szansę. Może ze sposobu, w jaki Abby reagowała na niego, z jej zachowania, kiedy się kochali, z dotyku ręki w ciemnościach. Wciąż znakomicie do siebie pasowali, jakby nie było tych minionych dziesięciu lat.

Był pewien, że Abby czuje to samo. Pod wpływem tych myśli nadzieja znowu wstąpiła w jego serce i kiedy Abby zatrzymała się przed nim, uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie mogłaś wytrzymać, tak?

- Przed chwilą wyszłam z biura Julii Hathaway. Podjęła już decyzję, gdzie będą przebywać chłopcy do czasu wyjaśnienia sprawy.

Oficjalna mina Abby zaniepokoiła Riley'a.

- I...?

- Pobyt w rodzinie zastępczej. Musimy spakować rzeczy chłopców jeszcze dziś wieczorem.

- Cholera! - Był pewien, że Abby przekona Julię. Wydawało się, że są w tej sprawie zgodne, ale teraz wszystko wskazywało na to, że Danny i Ned zostaną wciągnięci w tryby maszyny sądu dla nieletnich. Spojrzał na nią niepewnie. - Powiedz mi, że przynajmniej udało ci się ją przekonać, żeby ich nie rozdzielano.

- Tak, to mi się udało. Jednak ci ludzie od lat mieli do czynienia z dziećmi.

Riley z irytacją oparł ręce na biodrach.

- A więc jak, do diabła, poradzą sobie z wychowywaniem Danny'ego i Neda?

- Och, nie mam pojęcia, ale ze mną poradzili sobie doskonale.

Spojrzał na nią z ukosa, a ona nagle uśmiechnęła się do niego.

- Co powiedziałaś?

- Mama i tata chcą wziąć chłopców. Rozmawialiśmy o tym do świtu. I jeśli Torrence straci prawo do opieki - a przecucie mi mówi, że straci - chcą, żeby to było na stałe.

Patrzył na nią ze zdumieniem.

- Mówisz poważnie?

Skinęła głową.

- Dawno nie widziałam, żeby rodzice byli aż tak podnieceni. Są trochę starsi niż większość rodzin zastępczych, ale spędziłam dwie godziny na przekonywaniu Julii, że sądząc po tym, jak wychowali mnie, z chłopcami również dadzą sobie radę. I co ty na to?

- Och, Abby... - Przyciągnął ją do siebie i delikatnie musnął ustami jej szyję. - Myślę, że Mac i Maggie będą fantastycznymi rodzicami. Myślę również, że z ciebie cholernie dobry prawnik.

Wydawała się uszczęśliwiona tą uwagą.

- Muszę przyznać, że to, czego dokonałam w ciągu ostatnich dwóch dni, sprawiło mi więcej radości niż wszystko, co zrobiłam przez ostatnie sześć miesięcy.

- Jesteś wspaniała - powiedział, trzymając ją w objęciach. - Sam nigdy bym sobie z tym nie poradził.

- Poradziłbyś sobie. Wiesz, ty również jesteś wspaniałą. Delikatnie wodził palcem po jej dolnej wardze.

- O ile dobrze pamiętam, podobne słowa wypowiedziałaś tamtej nocy w domu na bagnach.

Roześmiała się.

- Skromny jak zawsze.

- Wyjdź ze mną wieczorem. Uczymy to.

- Masz na myśli randkę?

- Sama się przekonasz.

Jej serce nagle mocniej zabiło.

- Wpadnij po mnie o siódmej.

Punktualnie o siódmej Riley zjawił się przed frontowymi drzwiami domu Abby. Neda i Danny'ego zostawił przed telewizorem z wypożyczonymi kasetami i ogromną porcją pizzy. Następnego dnia chłopcy mieli się przenieść do domu MacAllisterów. Dziś wieczorem, kiedy on i Abby wyjdą na kolację, Mac i Maggie porozmawiają o tym z nimi.

Riley nie przewidywał żadnych kłopotów. Danny lubił i szanował MacAllisterów, a jeśli Danny będzie szczęśliwy, Ned również. Poza tym mały z poważną miną zwierzył się Riley owi,

że pani MacAllister doskonale gotuje, a pan MacAllister ma ekstra samochód. Jak się zdaje, ta zmiana nie będzie dla niego bolesna.

Zanim Riley zdążył zapukać do drzwi, Maggie już je otworzyła. Uśmiechnęła się do niego i Riley pomyślał, że wygląda, jakby nagle odmłodziła.

- Wejdz - powiedziała, odsuwając się na bok, by go przepuścić. Jej oczy lustrowały go od głowy aż do lśniącego jak lustro butów. - Boże, jaki ty jesteś przystojny. Gdybym była trzydzieści lat młodsza, rzuciłabym tego starego bałwana i pognałabym za tobą jak chart za królikiem.

Riley puścił do niej perskie oko.

- Gdybyś była trzydzieści lat młodsza, pozwoliłbym się złapać.

Poklepała go po ramieniu, po czym nachmurzyła się, spoglądając w stronę kuchni, skąd dobiegały podniesione głosy.

- Idę do chłopców, a ty powiedz temu facetowi, żeby przestał nękać naszą córkę.

- Jakieś problemy?

- Nie mam pojęcia - odparła. - Sprzeczali się, co powinni zrobić z wujem Danny'ego i Neda. Kiedy godzinę temu szłam na górę, żeby się przebrać, wciąż o tym mówili. Bóg jeden wie, o co chodzi tym razem. Bawcie się dobrze, moi drodzy.

Riley skierował się do kuchni, gotów przyjąć na siebie rolę arbitra, jeśli zajdzie potrzeba. To był dla nich bardzo ważny, bardzo specjalny wieczór. Nie miał zamiaru dopuścić, by nieporozumienie między Abby i jej ojcem zepsuło im nastrój.

Zatrzymał się w drzwiach. Abby stała przy zlewie, ubrana w koktajlową suknię w kolorze szmaragdowej zieleni. Plecy miała prawie zupełnie odkryte i Riley nagle poczuł ochotę, by podejść

do niej i obsypać tę nagość pocałunkami. Ani ona, ani Mac nie zauważyli go; byli zbyt zajęci sprzeczką. Riley milczał, usiłując zrozumieć istotę sporu.

Abby podeszła do ojca i złożyła błagalnie ręce.

- Tatusiu, proszę, nie rób tego. Mówiłam ci przecież, o co im chodzi.

- Teraz to już nigdy cię nie zobaczymy - mruknął Mac.

- To tylko przystąpienie do spółki, a nie bilet w jedną stronę na inną planetę.

- A jak często tu przyjeżdżałaś, odkąd zaczęłaś dla nich pracować? Przystąpienie do spółki jeszcze bardziej cię z nimi zwiąże. Oni cię wycisną jak cytrynę, Abigail.

Abby coś mówiła, ale do Rileya prawie nic nie docierało. Zapamiętał jedynie kilka słów, które jak echo wciąż do niego powracały. Te słowa sprawiły, że serce nagle podeszło mu do gardła, a w piersiach zabrakło tchu. Przystąpienie do spółki...

Tracę ją, pomyślał. Przegrywam konkurencję z Bostonem. Uświadomienie sobie tej strasznej prawdy poraziło go. Jak przez mgłę słyszał słowa Abby:

- Proszę, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej...

Zdenerwowana, odwróciła się i wtedy go spostrzegła. Jej oczy były smutne. To, że musiała stoczyć walkę z kimś, kogo tak bardzo kochała, bardzo ją przygnębiło.

Pomyślał, że on sam musi wyglądać niewiele lepiej, ale chciał jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że nie musi niczego wyjaśniać. On rozumie. Chciał jej to wszystko powiedzieć, nie był tylko pewien, czy przez gardło przecisnie mu się takie kłamstwo.

Wypieki zabarwiły jej policzki. Mac, widząc zakłopotanie córki, również się odwrócił. Riley w milczeniu przysunął jedno z

kuchennych krzeseł i usiadł. Na stole stała w połowie opróżniona miseczka z lodami, które zdążyły się już rozpuścić w słodką, mleczną ciecz. Patrząc na nią, czuł się tak, jakby to samo stało się z jego marzeniem.

Mac wyszedł z kuchni bez słowa. Cisza stawała się nie do zniesienia. Jakby szukając czegoś, czym mogłaby się zająć, Abby zabrała miseczkę i wstawiła ją do znajdującego się za nim zlewu. Po chwili Riley usłyszał jej westchnienie.

- Miałam ci o tym powiedzieć wieczorem. Lester Borreson dzwonił.

- Kiedy odlatujesz?

- Jutro.

A więc to już. Jakie to dziwne, że ten wieczór, jeszcze przed chwilą taki obiecujący, w ciągu kilku minut zamienił się w pogrzyb jego marzeń.

- Moje gratulacje - powiedział, starając się, aby zabrzmiało to szczerze.

Nie odpowiedziała i nie wykonała żadnego ruchu. Jego własne ręce i nogi ciążyły mu jak kamienie. Siedział w kompletnej ciszy, prawie nie oddychając, jakby tlen w jego płucach nie mógł znaleźć ujścia.

Nagle poczuł dotyk jej dłoni na ramieniu. Gwałtownie uniósł głowę, zdumiony, że mimo grubej warstwy materiału czuje ciepło tego dotyku. Tak bardzo pragnął ująć tę drobną rękę, jednak nie miał odwagi. Cóż to za męka, być tak blisko niej, a jednocześnie tak daleko.

- Riley...

Podniósł głowę, uśmiechając się blado.

- Wszystko w porządku. Nic nie...

- Nie powiedziałam „tak”.



Te słowa na nowo obudziły w nim nadzieję, lecz natychmiast przywołał się do porządku. Nieważne, jak bardzo niezadowolona była ostatnio ze swej kariery; propozycja, którą jej złożono, była czymś, na co pracowała przez wiele lat. Nie mogła tak po prostu się od niej odwrócić. Słyszał to w jej słowach, czuł to w biciu jej serca, w żalu widniejącym w jej oczach.

- Ale nie powiedziałaś również „nie”.

- Rzeczywiście - przyznała. - To zbyt ważna decyzja, żeby ją podejmować przez telefon. Muszę się z nimi spotkać.

Skinała głową, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Przynęła jedno z krzeseł i usiadła, tak aby mogli patrzeć sobie prosto w oczy, po czym, pochylając się ku niemu, ciągnęła:

- Tamtego wieczoru na bagnach powiedziałam ci, że ostatni rok mojej pracy wzbudził we mnie wiele wątpliwości. Nie jestem pewna, czy to jest właśnie to, czego rzeczywiście pragnę. Pomóż mi.

Czuł, że gdyby teraz chwycił ją w ramiona i zaczął całować, skłoniłby ją do podjęcia decyzji, jakiej pragnął. Mógł jej powiedzieć, że ją kocha, ale jej prośba skierowana do Maca wciąż dźwięczała mu w uszach: Proszę, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej.

Jeśli naprawdę mu na niej zależy, to czy ma prawo tak na nią naciskać? Nie sądził. Może za tydzień, kiedy strata Abby stanie się nie do zniesienia, będzie tej decyzji żałował, teraz jednak nie mógł postąpić inaczej.

Spojrzał jej w oczy.

- Nie mogę podjąć tej decyzji za ciebie.

- To prawda, ale czy nie moglibyśmy przynajmniej rozważyć wszystkich możliwości? - spytała niepewnie. - Mogłabym zostać tutaj. Otworzyć własną firmę.

Riley pomyślał, że zupełnie nieoczekiwanie bierze na siebie rolę adwokata diabła.

- Przypuśćmy, że tak zrobisz. Co się stanie, kiedy małym-miasteczkowe życie w Fort Myers przestanie ci odpowiadać? Kiedy przeczytasz o procesach, w których mogłabyś uczestniczyć, i wyrokach, na które miałabyś wpływ? Biuro w Fort Myers dziesięć lat temu nie było dla ciebie wystarczająco atrakcyjne. Czy byłoby by teraz?

- Byłoby, gdybym czuła, że robię coś naprawdę pożytecznego.

- Musisz być tego pewna, Abby.

Pokręciła głową, zaskoczona, że jest aż tak rozsądny.

- Nie rozumiem. - W tonie jej głosu słychać było wyraźny zawód. - Myślałam, że chcesz, żebym została. Czy mój powrót do Bostonu ma w ogóle dla ciebie jakieś znaczenie?

Spojrzał na nią uważnie. W jej oczach było tyle bólu.

- Po tym, co się między nami wydarzyło, musisz zadawać takie pytania?

- Muszę to wiedzieć.

- Dobrze - odrzekł spokojnie. - Tak, to ma dla mnie znaczenie. Chcę, żebyś tu została, bardziej niż cegokolwiek na świecie. Pragnę wymazać te dziesięć lat, kiedy tak bardzo za tobą tęskniłem, i mieć szansę zacząć wszystko od nowa. Ale... - Jego twarz nagle spochmurniała. - Chociaż ciężko mi to powiedzieć, sądzę, że będziemy mieli większą szansę, jeśli wrócisz tu w przekonaniu, że robisz to dla siebie. Nie dlatego, że ja proszę, nalegam czy zmuszam cię do pozostania. Czy to ma dla ciebie jakiś sens?

- Sama już nie wiem, co ma sens.

Jej zaciśnięta dłoń leżała na stole, drżąca i bezradna. Pochylił się ku niej i delikatnie ją pocałował. Jego palce lekko musnęły jej policzek, ale szybko się cofnęły. Tak bardzo lubił dotykać jej skóry, jednak teraz było inaczej. Teraz ten dotyk uświadamiał mu, że być może to już się nigdy więcej nie zdarzy.

- Musisz sama zdecydować, czego naprawdę chcesz. Ja będę tu na ciebie czekał.

Blady uśmiech pojawił się na twarzy Abby i w tym uśmiechu Riley widział tyle czułości i oddania, że gdyby w tej chwili miał ocenić szanse na jej powrót, byłyby one wielkie.

- W weekend będę już z powrotem - zapewniła go.
- Mam nadzieję - odrzekł. - Jesteś mi winna kolację.

Następnego ranka zamówiła taksówkę. Mac protestował. Powiedział, że sam ją odwiezie, lecz ona nalegała na pożegnanie w domu. Obawiała się lez na lotnisku. Maggie, doskonale rozumiejąc córkę, skłoniła męża, żeby się zgodził.

Kiedy wychodziła z domu, Danny i Ned szykowali się do szkoły. Uściskała chłopców, obiecując, że będzie z nimi w kontakcie.

Przejeżdżając obok przystani zastanawiała się, czy nie wpaść na chwilę i nie pożegnać się z Janet i jej synkiem. Doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie, jeśli uniknie spotkania z Rileyem. Cóż mogli sobie jeszcze powiedzieć po wczorajszej rozmowie? W głębi duszy wiedziała, że Riley ma rację. Decyzję musi podjąć sama. Niewiele ją to jednak pocieszyło. Prawda była taka, że już za Rileyem tęskniła.

Nieoczekiwanie poprosiła kierowcę taksówki, żeby, zanim dojedzie do szosy prowadzącej na lotnisko, zawiózł ją jeszcze pod wskazany mu adres. Zgodnie z życzeniem Abby, taksówka

zatrzymała się naprzeciwko domu, w którym mieszkała jej prawdziwa matka. Z zewnątrz niewiele można było zobaczyć. Ozdobna brama wjazdowa z kutego żelaza skutecznie broniła przed obcymi znajdującą się za nią rezydencję. Abby wiedziała, że o tej porze jej matka prawdopodobnie jeszcze śpi albo je lekkie śniadanie nad brzegiem basenu, bądź też układa ze swą sekretarką harmonogram spotkań towarzyskich na najbliższy tydzień.

Ciekawa była, jak zachowałaby się jej matka, gdyby przez interkom przy bramie zaanonsowała swe przybycie. Często marzyła, żeby to zrobić i nie zachować się tak jak za pierwszym razem. Nie była już tą nieśmiałą, niepewną dziewczyną, pragnącą akceptacji od kobiety, której nigdy wcześniej nie widziała. Była silną, wzbudzającą respekt osobą, kimś, kto wiele w życiu osiągnął i kto zna swoją wartość. Teraz, jak nigdy przedtem, mogła to marzenie zrealizować. Chciała widzieć wyraz twarzy matki, kiedy jej opowie, czego córka, której ona nigdy nie chciała uznać, zdołała dokonać w ciągu dziesięciu lat.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała zatopiona w myślach na tylnym siedzeniu taksówki. W tym czasie zdążył się zjawić doręczyciel prasy, a z domu wyszła służąca, żeby ją odebrać. Abby słyszała, jak kierowca kilka razy znacząco chrząknął.

I w końcu zdarzyło się coś niezwykłego. Nieoczekiwanie cały nagromadzony w niej gniew i żal, wszystkie te lata, kiedy wyobrażała sobie ostatnią wizytę u matki, po prostu zniknęły. Poczula się wreszcie wolna. Teraz nie musi już nikomu niczego udowadniać.

Zniecierpliwiony kierowca odwrócił się do niej:

- Licznik bije, proszę pani. Czy życzy pani sobie, żebym zaczekał, kiedy pani wejdzie?

- Nie - odparła i uśmiechnęła się do niego. - Nie będę wchodziła. Nie jest mi to już potrzebne.

Piętnaście minut później była na lotnisku.

W sobotę Riley był pewny, że zaryzykował serce i przegrał. Abby nie wróciła, nawet do niego nie zadzwoniła. Rozmawiała ze wszystkimi, tylko nie z nim.

Od Maggie dowiedział się, że dotrzymała obietnicy i na bieżąco informuje ich o stanie sprawy Danny'ego i Neda w Decafie. Przekazała im również wiadomość, że wuj chłopców jest pod opieką lekarzy z powodu depresji maniakalnej, a co najważniejsze, że zrzekł się swoich praw opiekuńczych do obydwu chłopców. W tej sytuacji jest wysoce prawdopodobne, iż prawa te zostaną przekazane MacAllisterom.

Od trzęsącego się z oburzenia Maca usłyszał, że Abby przez cały tydzień była przez szefów firmy zapraszana na kolacje. Mac uważał, że robią wszystko, by przyjęła ich propozycje. Twierdził, że ktoś powinien pojechać do Bostonu i przemówić do rozumu wszystkim, nie wyłączając Abby. Kiedy Riley nie skomentował tych słów, chodził przez cały dzień po przystani skwaszony i gderał.

Nawet Janet musiała w tej sprawie zabrać głos. Zwykła rozmowa szybko przerodziła się w sprzeczkę, kiedy siostra stwierdziła, że sam jest winien, iż historia znowu się powtórzyła, i że gdyby naprawdę kochał Abby, nigdy nie pozwolił- by jej odjechać.

Ta uwaga tak go zdenerwowała, że nie panując nad sobą, warknął:

- Abby nie jest towarem, który można zamknąć na klucz. Ma prawo sama podjąć tę decyzję. To właśnie dlatego, że dziesięć lat

temu usiłowałem zmusić ją do czegoś, dziś znalazłem się w tej sytuacji.

W istocie jednak im więcej czasu mijało od tamtego pamiętnego wieczoru w kuchni MacAllisterów, tym bardziej wzrastał jego niepokój. Coraz częściej przychodziło mu na myśl, że historia sprzed dziesięciu lat się powtórzy.

Czuł, jak pętla przeszłości coraz bardziej się wokół niego zaciska. Dziesięć lat temu Abby ekscytowała się pracą w wielkim mieście, i to nie uległo zmianie. Tym razem miała nawet więcej powodów, by pozostać w Bostonie. Uważał siebie za głupca, ponieważ uwierzył, że kocha go na tyle, by zrezygnować z władzy i prestiżu. Teraz wiedział, jak bardzo się mylił.

Ale czy tym razem mógł jej ofiarować coś więcej? Jest starszy o dziesięć lat, odbudował przystań. Okazał się jednak szaleńcem, ponieważ uwierzył, że wybierze jego.

W weekend będą już z powrotem, powiedziała. Ale weekend już prawie minął, a Abby wciąż nie dawała znaku życia. W niedzielę wieczorem jadł kolację w Bennie's. Celowo wybrał stolik, przy którym kiedyś zawsze siedział z Abby. To miała być kara za własną głupotę. Być może za kolejne dziesięć lat ponownie zjawi się w jego życiu i być może wtedy okaże się mądrzejszy.

Nagle, bez specjalnego powodu, zaklął pod nosem. Doreen, ponownie napełniwszy jego filiżankę kawą, wróciła właśnie do stolika, aby przyjąć zamówienie.

- Czy ten komentarz dotyczył kawy? - zapytała.
- Nie, ogólnie życia.

Uniosła do góry brwi.

- Biedactwo! Na poprawienie humoru przygotowałam to co zwykle. Nasza specjalność, pieczona wieprzowina, zaraz wjedzie na stół.

- Nie! Nie chcę tego co zwykle. Chcę tego co niezwykle. Chcę... Nie wiem, czego chcę, ale nie chcę pieczeni. I żadnego truskawkowego deseru.

Doreen przysunęła się bliżej i położyła mu rękę na ramieniu.

- Posłuchaj, skarbie! Denerwujesz naszych klientów. Tak się składa, że oni właśnie bardzo lubią nasze truskawkowe desery.

Riley, niezadowolony, że dał się ponieść nerwom, szybko ją przeprosił.

- Znowu zgubiłeś swoją przyjaciółkę, prawda? - Spojrzała na niego z politowaniem. - Powinieneś zawiesić jej na szyi dzwoneczek.

Skinał głową, uznając, iż udawanie przed Doreen, która mogłaby z powodzeniem pracować w Scotland Yardzie, nie ma żadnego sensu. Patrzył na stojącą przed nim kawę, żalując, że to nie jest whisky.

- Wiesz, czego ci potrzeba? - rzuciła od niechcienia Doreen. - Zmiany. Nie zachowuj się tak, jakby nie było innych kobiet na świecie. Jest ich tysiące i tylko czekają na takich przystojniaków jak ty. Powinieneś wsiąść w samolot albo w samochód i wybrać się do Mayberry. Wyszumieć się trochę. - Poczekała chwilę, aby dać mu czas na oswojenie się z tą myślą. - Co ty na to?

Do diabła, pomyślał, chyba ma rację!

Był już zmęczony ciągłym zastanawianiem się, dlaczego Abby dokonała wyboru, który nie jest dla niej dobry. Był już zmęczony szukaniem odpowiedzi na pytanie, jak to możliwe, by nie wiedziała, że go kocha. Był już zmęczony ludźmi, którzy mówili mu, co powinien, a czego nie powinien robić. A najbardziej miał

dosyć uzalania się nad sobą. W takim psychicznym dołku nie był od tamtych pamiętnych dni po wybuchu.

Pamiętał złość, a potem straszliwe przygnębienie, jakie go opanowało, kiedy się zorientował, że ogromna część jego życia legła w gruzach. Jednak potrafił się wtedy pozbierać i odbudował przystań od podstaw. I jeśli teraz musi to samo zrobić dla wyleczenia swego serca, zrobi to.

- Masz absolutną rację, Doreen - oświadczył.

Gwałtownie wstał i rzucił pieniądze na stół, nie zapominając o hojnym napiwku. Dobra rada, jak ta udzielona mu przez Doreen, nie może być tania.

- A co z kolacją? - zawołała kelnerka.

- Nie mam czasu - rzucił przez ramię. - Muszę zadzwonić na lotnisko.



## 16

Co najmniej godzinę siedziała na kanapie w swoim mieszkaniu w Bostonie, zanim się otrząsnęła.

Nie mogła w to uwierzyć. To nie może być prawda. Wciąż nie potrafiła znaleźć żadnego sensownego wyjaśnienia.

Zadzwoiła na przystań, by powiedzieć, że miała zamiar przylecieć do Fort Myers pierwszym samolotem w piątek, jednak najbliższym możliwym terminem okazał się poniedziałek. Lecz do telefonu podeszła Janet, a nie Mac, i to, co od niej usłyszała, wciąż krążyło jej po głowie.

- Mac i ja pracujemy na zmianę, Abby. Riley poprosił nas, żebyśmy go na jakiś czas zastąpili. On wyjechał, Abby.

Serce w niej zamarło. Riley wyjechał? Ale dokąd? I na jak długo?

Chyba krzyczała do słuchawki, ponieważ Janet wyraźnie się zaniepokoiła.

- Nie mam pojęcia, Abby. Dobrze wiesz, jaki on jest. Powiem ci tylko, że wziął duży bagaż. I jeszcze coś... Och, Abby, to nie wygląda dobrze... Pytał mnie o nazwisko dobrego agenta nieruchomości, który mógłby się zająć sprzedażą przystani, gdyby się na to zdecydował.

Abby nie mogła tego dłużej słuchać. Wiedziała, co teraz nastąpi. Przypomniała sobie rozmowę z ojcem dziesięć lat temu, kiedy zadzwoniła z Bostonu i dowiedziała się, że Riley przyjął pracę na Teneryfie. Nagle poczuła ten sam co wtedy, przejmujący ból.

Ja to zniszczyłam. Riley odszedł. I nawet nie wie, jak bardzo go kocham.

To boli. O Boże, jak strasznie boli świadomość, że tak niewiele brakowało, a miałyby wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła. Teraz była pewna tego, co wcześniej jedynie przeczuwała. Nigdy nie przestała kochać Riley'a, naprawdę nigdy.

A teraz, być może, on wcale się nie dowie, że postanowiła nie przyjąć decyzji szefów już wtedy, gdy taksówka wiozła ją na lotnisko, kiedy to doszła do wniosku, iż nikomu niczego nie musi zawdzięczać. Ma rodzinę, która ją kocha, i pracę, którą może dostosować do nowej sytuacji, a przede wszystkim perspektywę życia razem z Riley'em, który dał jej wolność dokonania wyboru. Nie odchodzi się bezkarnie od takiego mężczyzny.

Miała ochotę powiedzieć kierowcy, by zawrócił. Jednak, przekonana, że Riley woli czyny od słów, poleciła mu jechać na lotnisko.

W chwili gdy usiadła naprzeciw Lester'a Borresona przy jego ogromnym, mahoniowym biurku, przekazała mu swoją decyzję.

Ubiegły tydzień nie należał do łatwych. Początkowo Lester nie chciał przyjąć do wiadomości jej odmowy. Jednak Abby, mimo różnych form nacisku, nie zmieniła zdania. Zdecydowała się odstąpić swe mieszkanie Stephanie, która najpierw ją za to serdecznie wyściskała, a potem, gdy zrozumiała, że Abby naprawdę wyjeżdża, wylała kubel łez.

Dalej sprawy potoczyły się już szybko. Abby wstrzymała prenumeratę czasopism, wynajęła firmę przewozową i podała listonoszowi adres domu swych rodziców. Następnie zrobiła porządek w szafach i podarowała Stephanie wszystkie swoje zimowe płaszcze i buty.

W ciągu kilku dni miała zamiar wrócić do Fort Myers i natychmiast po przyjeździe zjawić się pod drzwiami Riley'a. Nie

mogła się doczekać, by zobaczyć wyraz jego twarzy, kiedy mu powie, że go kocha. Szaleńczo, nieprzytomnie...

Jednak nic takiego się już nie stanie. Najwyraźniej źle odczytała intencje Rileya. On jej widocznie nie kocha. Nie miał zamiaru na nią czekać. Wyjechał w nieznane.

Złość była silniejsza niż ból i w końcu rozpląkała się, przeklinając siebie za słabość. Podkuliwszy pod siebie nogi, w milczeniu gapiała się na złożone w kącie pokoju pudła.

Do diabła z nim, pomyślała. Nie miał prawa tak jej zostawić na gruzach dotychczasowego życia. Czy te minione dziesięć lat niczego go nie nauczyły?

W pewnej chwili odezwał się dzwonek u drzwi. Nie zareagowała, domyślając się, że to sąsiadka, której obiecała ostatnią doniczkę z kwiatkami. Nie miała ochoty widzieć się z nikim.

Jednak starsza pani najwyraźniej nie miała zamiaru się poddać. Dzwonek uparcie dzwonił. Sąsiadka zapewne wiedziała, że Abby jest w domu. Mrucząc po nosie, otarła wierzchem dłoni mokre od łez policzki i powlokła się w stronę drzwi. Tam wciągnęła głęboko powietrze w płuca, wzięła do ręki doniczkę i otworzywszy drzwi, wyciągnęła ją przed siebie.

- Proszę - powiedziała, zdecydowana skończyć rozmowę jak najszybciej.

- Dzięki - odezwał się męski głos. - Czy to znaczy, że powinienem być przyjsć z kwiatami?

Gwałtownie cofnęła rękę, zerkając przez pokryte listkami gałązki. W drzwiach stał Riley. To wcale nie był wytwór jej wyobraźni, ale najprawdziwszy Riley.

Tak cicho wypowiedziała jego imię, że jej usta prawie się nie poruszyły. Chciała mu się rzucić w ramiona, ale w ostatniej

chwili zrezygnowała. Patrzyła na niego, nie mogąc pozbierać myśli. Czuła, jak serce podchodzi jej do gardła. To musi być wizyta pożegnalna. Ukłon, który powinien złożyć przed nią, zanim opuści miasto.

I rzeczywiście, wszystko wskazywało na to, że udawał się w podróż. Po raz drugi w życiu widziała go w garniturze. Jego włosy były świeżo ostrzyżone, kanty na spodniach zaprasowane, a pod marynarką, rzecz nie do wiary, miał najprawdziwszą kamizelkę! Nigdy jeszcze nie widziała go w kamizelce.

- Co ty tu robisz? - zapytała, gdy w końcu odzyskała głos.

- Jesteś mi winna kolację.

Wyjaśnienie było tak zaskakujące, że przez chwilę milczała, nie wiedząc, co odpowiedzieć, po czym instynkt samozachowawczy wskazał jej linię obrony.

- Jestem zajęta - oznajmiła chłodno.

- Pozwól, że o coś cię zapytam - rzekł, nie zrażony tonem jej głosu. - Kiedy mówiłaś, że w weekend będziesz w Fort Myers, który weekend miałaś na myśli?

Zupełnie nie wiedziała, co o tym sądzić. Jego słowa obudziły w niej nadzieję. Czy jednak powinna ulegać złudzeniom? Starając się zachować spokój, zapytała:

- Riley, dlaczego tu jesteś?

Spojrzał na nią przeciągle, po czym niedbale oparł się o framugę drzwi.

- No cóż, skoro Mahomet nie chce przyjść do góry, góra musi przyjść do Mahometa.

Zacisnęła powieki, starając się za nim nadażyć, po czym kręcąc głową, powiedziała:

- Sądziłam, że nie masz zamiaru wpływać na moją decyzję.

- Oczywiście, że nie mam. Zostaniesz tu tak długo, jak zechcesz. Dużo o tym wszystkim myślałem i przypomniałem sobie pewną radę, której ci udzieliłem tamtego wieczoru w domku na bagnach. Pamiętasz?

- Nie bardzo. Przypomnij mi, proszę.

- Powiedziałem, że jeśli nie jesteś zadowolona ze swoje- go życia, musisz się starać je zmienić. To dotyczy również mnie. Tak więc jestem tu i mam zamiar tu pozostać. Odkurzyłem swój dyplom i doświadczenie zawodowe. Jest parę miejsc, gdzie mógłbym wykorzystać swoje umiejętności.

Była zaszokowana. Myśl, że Riley mógłby dla niej przenieść się do Bostonu, nigdy nie przyszła jej do głowy.

- A co z przystanią? - zapytała.

- Sprzedam ją.

- Przecież ją kochasz!

- To prawda.

- I uwielbiasz pracować na powietrzu, w pobliżu wody.

- Zgadza się - przyznał spokojnie. - Ale Boston leży przecież na wybrzeżu. Może trafi się coś na wodzie. To w końcu nie ma znaczenia, naprawdę...

- Nie ma znaczenia! - przerwała mu. - Wkrótce znienawidzisz siedzenie w jakimś małym, dusznym biurze.

- Abby, jeśli rzeczywiście nie wytrzymam w biurze, zajmę się wynajmowaniem łódek w bostońskim parku. Chociaż nie sądzę, żeby do tego doszło.

- Mówisz poważnie?

- Nigdy nie byłem bardziej poważny.

- Dlaczego? Dlaczego decydujesz się na taką zmianę? Nigdy nie wspomniałeś, że nie jesteś zadowolony z życia.

- Ja byłem zadowolony z życia - odrzekł, strąsając jakiś niewidoczny pyłek z mankietu marynarki - ale teraz już nie jestem.

- Dlaczego?

Zrobił krok do przodu i podniósłszy do góry rękę, musnął palcami jej policzek. Zorientował się, że płakała, i z dezaprobatą pokręcił głową.

- Abbot, czy to naprawdę ty wygrałaś większość spraw w sądzie? Ty głuptasie, nie jestem zadowolony z życia, ponieważ nie ma w nim ciebie. - Patrzył na nią z rozbawieniem. - Kocham cię. Kocham od chwili, gdy starałaś się mnie przekonać, że nie powinienem płacić za twój lunch.

Krew uderzyła jej do głowy, a do oczu znowu napłynęły łzy.

- Nie chcę, żebyś stawiał mi lunch. I nie chcę, żebyś porzucił przystań.

- A co z moim sercem, Abby? - zapytał cicho. - Tak długo na ciebie czekało.

- Riley, tak bardzo cię kocham. Całym ciałem i duszą. - Spazm bólu wykrzywił jej twarz. - Nawet nie wiesz, jak strasznie się bałam, że...

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. W tym pocałunku była tęsknota, czułość i ogromne pożądanie. Gdyby miała jeszcze jakieś wątpliwości, co Riley do niej czuje, ten pocałunek wyjaśniał wszystko. Kiedy wreszcie odsunął się od niej, musiała się przytrzymać, by nie upaść. Chwilę milczeli, po czym Riley, patrząc na nią spod oka, rzekł:

- Mówiłaś...?

- Kocham cię, ale... - spojrzała na niego z pozornym zakłopotaniem - ale nie możesz tu zostać. Musisz wracać do Fort Myers.

- Do diabła, Abbot! Możesz mi powiedzieć, dlaczego?

Podeszła do niego bliżej, poprawiła mu krawat i w końcu uśmiechnęła się szeroko.

- Ponieważ będę potrzebowała pracy u ciebie na przystani. Przynajmniej przez jakiś czas, zanim otworzę biuro. Złożyłam rezygnację z pracy w dniu, w którym wróciłam do Bostonu. Wszystkie moje rzeczy są już spakowane i czekają na transport. Odstąpiłam również koleżance moje mieszkanie. - Pokazała ręką na meble. - Co ja bym z tym zrobiła, gdybym nie mogła wrócić do Fort Myers?

Widziała, jak Riley walczy z myślami. Jego twarz przechodziła gwałtowną metamorfozę od smutku do zdumienia, aż w końcu do nieprawdopodobnej radości.

- Zdecydowałaś się wrócić do Fort Myers?

- Zdecydowałam się wrócić do ciebie. Nie muszę być największą gwiazdą sal sądowych. Nie muszę czytać o sobie w gazetach. Potrzebuję wyłącznie ciebie, Kincaid, i nigdy już nie pozwolę, żebyś ode mnie odszedł.

- Nie mam zamiaru odchodzić - wyszeptał. - Chcę, żebyś za mnie wyszła.

Rzuciła się w jego ramiona. Riley roześmiał się głośno i serdecznie, jak nie śmiał się już od lat. Wśród pełnych radości okrzyków pokrywała pocałunkami jego czoło, nos i w końcu usta.

- Czy to znaczy „tak”, pani mecenas? - zapytał, kiedy, nie mogąc złapać tchu, przerwała na chwilę.

Uśmiechnęła się do niego, wciąż obejmując go za szyję. Chciała powiedzieć coś ważnego, coś wyjątkowego. Jednak w końcu chłodna, prawnicza taktyka ją zawiodła.

- Tak! - szepnęła po prostu. - Och tak! Warto było na to czekać nawet dziesięć lat.

Ceremonia ślubna odbyła się dwa tygodnie później w ogrodzie na tyłach domu MacAllisterów. Nie był to taki pełen przepychu, bogaty ślub, o jakim marzy każda dorastająca dziewczyna, lecz dla Abby był to najwspanialszy ślub na świecie.

Szła po rozłożonym na trawniku białym, atlasowym dywanie, w towarzystwie obydwójga rodziców, niosąc bukiet z wyhodowanych przez ojca klematisów, który później przekazała gospodyni ceremonii, Janet. Wybrany na drużbę Hunter Garret przyleciał z Nowego Jorku z żoną i dzieckiem. Danny i Ned również tu byli. Znakomicie wyglądali w nowiutkich garniturach, a na ich twarzach malowały się skupienie i powaga. Abby, chcąc ich trochę rozruszać, robiła do nich miny, z radością myśląc, że ta dwójka sympatycznych dzieciaków wkrótce może stać się jej nową rodziną.

Po naradzie z Rileyem zdecydowali się na skromną, kameralną uroczystość z udziałem niewielkiej liczby gości: najbliższej rodziny i kilku przyjaciół, wśród których byli Doreen i Bennie. Nie zabrakło również Bustera, chociaż nie wyglądał na specjalnie uszczęśliwionego, ponieważ Ned zawiesił mu na szyi ogromną białą kokardę.

Riley czekał w ogrodzie przy maleńkiej altance. Widząc zbliżającą się Abby, wyszedł jej naprzeciw, oświetlony promieniami słońca, którym udało się przebić przez korony drzew. Kiedy Abby podeszła do niego, ujął ją za rękę i uśmiechnął się do niej. Patrzyli na siebie z miłością.

- Witaj w domu. Kocham cię.



Reszta uroczystości była już tylko jedną barwną plamą. Jak przez mgłę pamiętała, że słowa z trudem wydostawały się przez jej zaciśniętą ze wzruszenia krtani. Natomiast Riley zdawał się nie mieć takich problemów. Słowa małżeńskiej przysięgi wypowiadał mocnym, pewnym głosem, w którym slychać było tyle miłości i bezgranicznego przywiązania, że lzy wzruszenia znowu napłynęły jej do oczu. Pamiętała ich pierwszy małżeński pocałunek i przyspieszone bicie swego serca.

A później były już tylko oklaski, najlepsze życzenia i mnóstwo truskawkowego deseru dla wszystkich gości.

W pewnej chwili Riley wziął Abby za rękę i zaproponował, by na krótko wysliznęli się z przyjęcia, obiecując jednocześnie, że zdążą wrócić na pokrojenie weselnego tortu.

Sądziła, że chce ją zabrać na przystań, ale tuż przed skrzętem w jej kierunku zatrzymali się na parkingu przed niewielkim pawilonem biurowym. Budynek był świeżo wybudowany i najwyraźniej jeszcze nie zajęty przez użytkowników. Abby ze zdumieniem patrzyła, jak Riley, wyciągnąwszy z kieszeni marynarki klucz, otwiera drzwi prowadzące do jednego z mieszczących się tu lokali.

W milczeniu wprowadził ją do trzypokojowego biura. W powietrzu unosił się zapach świeżej farby i nowo położonej wykładziny. Lokal był elegancko i gustownie urządzony, lecz Abby zupełnie nie miała pojęcia, dlaczego Riley ją tu przyprowadził.

- Co o tym sądzisz? - zapytał w końcu.

Wzruszyła ramionami.

- Ładne miejsce.

- Właściciel zgadza się na wprowadzenie zmian, a położenie wydaje się wprost idealne. Widać stąd przystań. - Wyciągnął rękę w kierunku ogromnego panoramicznego okna.

- Masz zamiar powiększyć teren przystani? - Rozejrzała się niepewnie wokół. - Czy nie sądzisz, że będzie ci potrzebna woda?

- Nie - odrzekł pewnym głosem i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął lśniąca, srebrną tabliczkę, po czym podszedł do drzwi wejściowych i przyłożył ją do drewnianej powierzchni, mówiąc: - Ale ty możesz potrzebować tego.

Ze zdumieniem patrzyła na widniejący na tabliczce napis. Abigail Kincaid, prawnik.

Miała tak zaciśnięte gardło, że nie mogła wykrztusić słowa. Spoglądała to na Rileyę, to na lśniąca wizytówkę, a serce waliło jej jak młotem. Widziała, że Riley uważnie obserwuje wyraz jej twarzy i czeka na reakcję.

- Riley, coś ty zrobił?

- To mój ślubny prezent dla ciebie, Abby. Potrzebne ci biuro, więc je znalazłem. Jeśli ci się nie podoba albo jeśli uważasz, że jest zbyt blisko przystani, znajdziemy coś innego.

- Nie! Jest idealne - zaprotestowała. - Ale to musi być piekielnie drogie?

- Jest drogie - przyznał. - Miałem jednak dziesięć lat na oszczędzanie.

Podeszła do niego i zarzuciwszy mu ręce na szyję, mocno go pocałowała, starając się w tym pocałunku przekazać mu, ile dla niej znaczy i jak bardzo pragnie go kochać i dzielić z nim odtąd wszystkie swoje smutki i radości. Z ufnością oparła głowę na jego piersi. Objął ją i mocno przytulił. Ostry, męski zapach drażnił jej nozdrza. Czowała jego usta na swoich włosach.

- Chciałabym specjalizować się w prowadzeniu spraw nieletnich - powiedziała. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że będziesz znakomita, bez względu na to, co postanowisz.

- Na początku może być ciężko. Mogą być duże koszty.

- Będziesz musiała przyjąć dodatkową pracę.

Zauważyła wesołe błyski w jego oczach.

- Masz już coś na oku?

- Co powiesz o pracy na tej przystani? - Ruchem głowy wskazał na okno, za którym w oddali widać było maszty żaglówek. - Znam właściciela. To wspaniały facet, ale będziesz musiała z nim trochę poflirtować, jeśli chcesz dostać tę robotę.

Spojrzała na niego figlarnie.

- Wiesz, że mogłabym mu wytoczyć proces, nawet gdyby mi jedynie coś takiego zasugerował? Byłabym w ten sposób swoim pierwszym klientem. Zmarszczył brwi.

- Pod jakim zarzutem?

- Napastowania seksualnego.

Wtulił twarz w zagłębienie jej szyi. Poczuli, jak jego ręka wędruje w kierunku jej ud i jak palce powoli i delikatnie przesuwają się po nich.

- Co ty robisz? - wyszeptała, kiedy dreszcz rozkoszy wstrząsnął jej ciałem.

- Cóż, skoro facet ma mieć proces o napastowanie seksualne, pomyślałem, że mogłabyś już zacząć formułować oskarżenie. A więc proszę mnie teraz pocałować, pani mecenas.

- Dobry pomysł!